



Jak dzikie gęsi

Porywająca opowieść
o wierze, nadziei i miłości
w czasach gęstniejącego
mroku nazizmu.

AGNIESZKA
OLEJNIK

FILIA

AGNIESZKA
OLEJNIK



Jak
dzikie
gęsi

FILIA

Mojemu Mężowi – na trzydziątą rocznicę ślubu

19 KWIETNIA 1939 ROKU

Słońce stało już wysoko, gdy na pagórku zwanym Schlossberg pojawił się lis o nieco sfilcowanym futerku. W okolicach ogona miał kołtuny, więc przysiadł na chwilę i zwinął się w precel, usiłując je wygryźć, lecz nie mógł dosięgnąć zębami swędzącego miejsca. Potem przez jakiś czas drapał się zawzięcie za uchem.

Gdzieś wysoko, w koronach drzew, rozkrzyczało się czarne ptaszysko, jakby przed czymś ostrzegało. W okolicy nie było jednak nikogo, kto wzięłby sobie do serca to złowróźbne krakanie. Lis nadstawił uszu i rozejrzał się czujnie. Powietrze miało jeszcze w sobie odrobinę chłodu i wilgoci wiosennego poranka. Lekki wiatr przynosił odurzający zapach kwitnących gdzieś w okolicy drzewek owocowych.

Nagle w tej symfonii słodkich kwiatowych zapachów wrażliwy lisi nos wyczuł jakąś obcą nutę. Zwierzę podniosło się i przez dłuższą chwilę węszyło, ustawiając pyszczek pod wiatr. Potem, uznawszy najwyraźniej, że tak nie pachnie niebezpieczeństwo, ruszyło w stronę, z której dochodziła owa intrygująca nitka aromatu.

Zbocze wzgórze, na ogół suche i piaszczyste, tym razem było jeszcze wilgotne po rześistej wiosennej ulewie. W kilku punktach spływające z wierzchołka strugi wody wyłobiły miniaturowe wąwozy, odsłaniając głębsze warstwy ziemi. Lis zatrzymał się

przy jednym z takich miejsc, ponieważ niezawodny nos wskazywał, że ów intrygujący zapach pochodzi właśnie stąd – spod mokrego piasku. Najwyraźniej było to coś, co ktoś zakopał jakiś czas temu, a teraz pod wpływem gwałtownego deszczu zostało wydobyte na światło dzienne. Lis nieufnie podszedł bliżej i przysunął pysk do szczeliny.

Nie był przekonany, czy znalezisko będzie warte zachodu, ale instynkt kazał mu kopać. Po kilku minutach wydobył spod cienkiej warstwy ziemi coś, co prawdopodobnie nadawało się do jedzenia, choć nie pachniało tak apetycznie jak resztki wyrzucane za rzeźnią. Gdyby był człowiekiem, rozpoznałby tonące w brunatnej mazi skrawki wełnianej marynarki. Ale był tylko lisem. Dlatego nadal węszył i grzebał łapami w poszukiwaniu czegoś większego. Wreszcie natknął się na długą kość oblepioną rozkładającymi się tkankami. Zapach był obcy, nieznan, kojarzył się z zagrożeniem.

Jeszcze przez chwilę głód walczył z niepewnością. Wreszcie ta ostatnia zwyciężyła. Lis porzucił znalezisko i czmychnął w pobliskie zarośla.

ROK WCZEŚNIEJ

Ciepły wiatr muskał delikatnie włosy Katrin Dulke, kiedy szła w stronę skweru na spotkanie z przyjaciółką. Była cudownie ciepła wiosenna niedziela. Powietrze aż pulsowało odurzającym zapachem kwiatów, świergotem ptaków i obietnicą czegoś nienazwanego, co budziło słodkie tęsknoty w duszach tych, którzy jeszcze nikogo nie pokochali.

Dziewczyna minęła klasycystyczny budynek teatru i przeszła przez mostek nad wąską w tym miejscu rzeką Alte Lubst, w duchu zachwycając się lśniącoymi w słońcu łebkami kaczorów, prezentujących światu swoje godowe upierzenie. Lubiła tu przystawać i przyglądać się ptakom, lecz tego dnia nie miała na to czasu – była spóźniona.

– Jesteś nareszcie! – zawołała na jej widok Marlene Wiemann, czekająca w cieniu ogromnej lipy. Obok niej przykucnęła blada jak zawsze Anna Kushner. – A już myślałam, że zachorowałam. Nie widziałam cię w kościele.

– Staliśmy z tyłu – mruknęła Katrin. – Mama mówi, że lepiej nie rzucać się w oczy. Niby ma trochę racji, ale przecież nie będę przemykać pod ścianami... Nie zrobiłam nic złego!

– Gdybyż to było takie proste, że kto nie popełnia złych czynków, ten nie musi się niczego obawiać – westchnęła Marlene. – Ale tak nie jest. Odwiedził nas ostatnio mój kuzyn

Peter. Opowiadał, że przypadkiem słyszał w karczmie rozmowę dwóch mężczyzn: jeden żonaty z Czeszką, a drugi... Nie pamiętam, w każdym razie też z jakąś Słowianką. Obaj uznali, że zrobiło się zbyt niebezpiecznie, i postanowili wyjechać, tylko spierali się dokąd.

Anna wstała, zaniepokojona słowami koleżanki, lecz nic nie powiedziała.

– I tak po prostu głośno o tym mówią? – zdziwiła się Katrin.

– Nie, oczywiście, że nie! Szeptali, ale Peter usłyszał – przyznała ze śmiechem Marlene. – Pomaga panu Lehmannowi w karczmie w Leipe, czasem gotuje, zwłaszcza gdy kucharce puchną nogi. Wtedy Peter ją zastępuje. Moja mama twierdzi, że ma prawdziwy talent kulinarny. Gdybyś spróbowała jego zupy gulaszowej! Albo grochówki na wędzonce! Palce lizać! Ale Peter głównie jest na posyłki, robi zakupy na targu, krząta się między stołami, tu doleje piwa, tam zetrze okruszki ze stołu... I w ten sposób zawsze zna najświeższe nowiny. Lubimy, kiedy nas odwiedza, bo dowiadujemy się więcej niż czytając gazety.

– Mój tata nie chce znać nowin – odparła ponuro Katrin, ścisząc głos niemal do szeptu. – Mówi, że wpędzają go do grobu. Znacie jego poglądy: uważa, że naszym krajem rządzi szaleniectwo. Woli udawać, że to wszystko, co się obecnie dzieje, wcale nas nie dotyczy. A mama z kolei twierdzi, że tak nie można. Jak się ostatnio kłócili, mówię wam! Mama porównała go do ślimaka! „Chowasz się do swojej muszli i udajesz, że nic nam nie grozi!”, tak mu powiedziała. „I jeszcze oczekujesz, żebyśmy my też się tak zachowywały! Nie tak powinniśmy żyć! Nie widzisz, że na zewnątrz wciąż jest niebezpiecznie i tylko patrzeć, jak ktoś nas zdepta? Jak zmiażdży wojskowym butem te nasze kruche schronienia!”

Anna skuliła się, słysząc to obrazowe porównanie. Sama zwykle niewiele mówiła; przeważnie starała się trzymać z boku, pozostawać na marginesie zdarzeń. Może to dlatego, że była bardzo chorowita. Cierpiała na epilepsję i w sytuacjach szczególnie emocjonalnych nękały ją wyczerpujące ataki, po których dochodziła do siebie przez kilka dni.

– No już, nie rozmawiajmy o takich ponurych rzeczach! – zawołała Marlene, chcąc rozweselić koleżanki, które wyraźnie posmutniały. – Chodźcie, kupimy sobie coś pysznego i zapomnimy o tym, że na świecie zrobiło się strasznie!

Tak też uczyniły – przespacerowały się Pfarrstrasse w kierunku rynku, by wstąpić na lody do tamtejszej kawiarenki. Katrin i Anna wzięły śmietankowe, Marlene zdecydowała się na malinowe. Lecz nawet siedząc na ławce w cieniu ratusza i delektując się chłodną słodyczą, wszystkie czuły mrok, który zasnuł ich serca. Marlene martwiła się o ulubionego kuzyna Petera, który mimo szykan konsekwentnie odmawiał wstąpienia do Hitlerjugend i deklarował, że nigdy nie weźmie broni do ręki, twierdząc, że tak nakazują mu wiara i sumienie. Anna drżała z lęku o swoją wendyjską rodzinę, zwłaszcza o ojca, który aktywnie działał w związku Serbołużyczan „Domowina” – a przynajmniej dopóki ów związek nie został rozwiązany, ponieważ w nazistowskich Niemczech wszystko, co słowiańskie, było niepożądane.

A Katrin? Katrin także miała wiele powodów do niepokoju. Była pół-Polką. Ojciec przywiózł jej matkę w okolice Sommerfeld osiemnaście lat temu, po wakacyjnej podróży do krewnych z Prus Wschodnich oraz – niejako przy okazji – do świeżo utworzonego Wolnego Miasta Gdańska. Zajechał tam z czystej ciekawości na

parę dni, a został na kilka tygodni, bo zatrzymała go miłość do ślicznej polskiej dziewczyny.

Właściwie powiedzieć, że Urszula Dulke z domu Stern jest narodowości polskiej, było zbyt wielkim uproszczeniem. W rzeczywistości w kwestii „czystości rasy” ta część rodziny Katrin stała na zupełnie straconej pozycji. Mama urodziła się w Gdańsku, jednak babcia Cila pochodziła z Kaszub, zaś dziadek Henryk podobno miał wśród swych przodków nie tylko Polaków, ale także Żydów z Królewca.

Urszula, matka Katrin, dorastała w atmosferze polskości i w duchu patriotyzmu, a gdy podrosła, poszła do polskiej szkoły przy gdańskiej Weidengasse. Jej ojciec działał w Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół” i pisywał artykuły do „Gryfa”. Jednocześnie dzięki temu, że mieszkali na Danziger Höhe, w mieście należącym wówczas do Rzeszy, Ula doskonale posługiwała się językiem niemieckim. Gdyby nie to, nie mogłaby poznać ani pokochać Jacoba Dulke, który przyjechał do Danzig na wycieczkę.

Ich miłość zapłonęła nagle. Wystarczyło, że spojrzeli na siebie w cukierni, gdzie oboje schronili się przed deszczem; potem on ją zagadnął, ona podtrzymała rozmowę i... poszli na spacer. Jacob odprowadził ją do wylotu ulicy, a na odchodne zapytał, czy zobaczą się nazajutrz... Dla obojga noc, która później nastąpiła, okazała się pełna cierpienia, bo torturą było nie widzieć się przez tyle godzin.

Nie potrzebowali długich zalotów, krygowania się, półsłówek ani zawstydzonych uśmiechów. Od razu wiedzieli, że to miłość, i nazywali ją po imieniu. Dopadła ich namiętność, jakiej można ulec tylko wtedy, gdy się ma dwadzieścia lat i kocha po raz

pierwszy. Nagle oboje rozgorzeli, a nie umiejąc inaczej ugasić tego potężnego płomienia, złamali wszelkie zasady, jakie im wpojono.

Tak samo nagle podjęli decyzję o ślubie. Matka Urszuli była niepokieszona, że córka pokochała Niemca, jednak na wieść o tym, że w drodze jest dziecko, darowała sobie pouczenia. Nie zgorszyła się; była mądrą kobietą, która rozumiała, że niekiedy na nic się zdają konwenanse, gdy do głosu dochodzi miłość. Bolała jedynie nad tym, że wszelkie ustalenia zapadały tak nagle, w pośpiechu.

– Najpierw powinny być swaty, *wreje*^[1] – gderała. – Powinnaś go tu do nas przyprowadzić i pokazać chłopaka nam, a jemu nas. I posag byśmy omówili. Potem powinien przyjść z darami na zrękowiny.

– Mamuś, to nie twoja wieś kaszubska, tylko Danzig – odpowiedziała jej wtedy Urszula. – Nie będzie tradycyjnie, z przytupem, z tym waszym tłuczeniem szkła, tylko skromnie i po cichu. Weźmiemy ślub i zjemy obiad w restauracji. Dla mnie i Jacoba to najlepsze wesele.

– *Wesele roz, a bieda jaż do smierce* – mruknęła matka sentencjonalnie. – Ale to tak być nie może, żeby rodzice młodego nie przyjechali. Tak się nie godzi.

– Jacob nie ma już nikogo – wyjaśniła dziewczyna. – Ojciec nie wrócił z wielkiej wojny, a mama i siostra umarły na influencę zeszłej wiosny.

– Toż to golec być musi! Nie dosyć, że taki młody, smarkaty, to jeszcze sam na świecie! Gdzie wy się podziejecie?

– Wcale nie golec, bo odziedziczył dom. Nieduży, nad rzeką, z ogródkiem, niby jak na wsi, ale bliżutko miasta. A poza tym ma dobrą pracę w cegielni. Podobno w Sommerfeld wszyscy pracują albo w cegielni, albo w tkalni.

Tatę bardziej z kolei interesowało to, jakie przyszły zięć ma poglądy, jak ocenia minioną wojnę i jak się zapatruje na przyszłość Niemiec, Polski oraz Związku Sowieckiego. Dlatego przy najbliższej wizycie chłopaka zaprosił go do swojej biblioteki, posadził przy biurku, nalał koniaku, sam zaś począł się przechadzać i niby od niechcienia delikatnie podpytywać o przekonania polityczne.

– Czy traktat wersalski jest sprawiedliwy? Ja nie wiem, proszę pana, czy tylko Niemcy kajzerowskie ponoszą winę za wielką wojnę, czy inne państwa także się do niej przyczyniły. Myślę, że takie rzeczy będzie można ocenić dopiero za kilkadziesiąt lat. Ale wiem jedno: wojna to zło. Moim marzeniem jest, aby nigdy więcej człowiek nie musiał brać broni do ręki – wyznał wówczas Jacob. – Straciłem ojca nie dlatego, że pragnął on walczyć za Cesarstwo Niemieckie. Wręcz przeciwnie, wcielono go do wojska przymusowo, nie pytając o to, w co wierzy i w imię czego gotów jest umrzeć. Pracował na kolei, dobrze nam się wtedy wiodło, miasto się rozwijało... To wszystko odebrała nam wojna. Tata nie chciał iść do wojska, pisał do nas z frontu, że to nieludzkie, aby strzelać do ludzi, którzy nie uczynili mu nic złego i których nawet nie zna. Ja jestem pacyfistą, proszę pana. I mój ojciec też nim był. Należał do Deutsche Friedensgesellschaft, podziwiał Berthę von Suttner, może słyszał pan o niej...? Nauczył mnie kochać pokój, a listy, które dostawaliśmy od niego z frontu, przekonałyby każdego, że wojna to najgorsze, co ludzkość wymyśliła.

Odpowiedź ta całkowicie usatysfakcjonowała Henryka Sterna, choć oczywiście nie byłby sobą, gdyby zadowolił się tak krótką rozmową – ich pogawędka na tematy społeczne i polityczne trwała jeszcze długo.

– Chciałem zobaczyć to miasto na własne oczy – odrzekł Jacob, zapytany o przyczynę wizyty w Gdańsku. – Ciotka opowiadała, że tu są najpiękniejsze uliczki i kamienice... Poza tym idea wolnego miasta wydaje mi się wspaniała. Miejsce, gdzie każdy może żyć na równych prawach, niezależnie od narodowości! Gdyby to ode mnie zależało, każde wielkie miasto ustanowiłbym takim wolnym, niezależnym organizmem! Z własnym parlamentem, prawem i pieniądzem... Wierzę w równość i demokrację, proszę pana!

Henryk mógłby mu wiele opowiedzieć o tym, jak wyglądała ta równość w wydaniu niemieckim. Mógłby wspomnieć o niechęci, wręcz wrogości niektórych Niemców wobec gdańszczan polskiej narodowości. Ot, choćby świeża sprawa: blokada rozładunku sprzętu wojskowego przeznaczonego dla walczącej z bolszewikami armii polskiej.

Zmilczał jednak. Miał przed sobą pełnego wiary idealistę, na dodatek szczerze zakochanego w Uli. Czy warto było otwierać temu chłopcu oczy, odzierać go ze złudzeń? Stern zaniechał więc komentarza, ale przy okazji przetestował możliwości młodzieńca w zakresie spożycia trunków. Okazało się, że po drugiej szklaneczce koniaku Jacob kochał cały świat, gotów był śpiewać i tańczyć, potem zaś z kolei rozczulił się nad utraconymi szansami i zaczął opowiadać o swej miłości do książek, marzeniach o studiach, pragnieniu zostania inżynierem i budowania maszyn. Niestety, gdy wojna zabrała ojca, Jacob rzucił szkołę, musiał bowiem wziąć się do pracy, by zarobić na utrzymanie rodziny.

Usłyszawszy te wyznania, Henryk był już pewien, że siedzący przed nim chłopak będzie odpowiednim kandydatem na męża dla Urszuli.

– To jeszcze młodziak i ledwo co wąż mu się sypnął, ale serce ma ze szczerego złota, nawet jeśli jest to złoto niemieckie –

relacjonował następnego dnia swojej żonie. – Takiemu nie żal oddać naszą Ulkę. Widać, że niewiele pije, bo nie ma wprawy, a to lepsze, niż gdyby chętnie zaglądał do kieliszka. Jak na Niemca rozsądny całkiem, wyciągnął lekcję z wielkiej wojny, nie nosi w sercu żądy odwetu. A co najważniejsze: wydaje się pracowity, zaś rodzinę stawia wyżej niż własne pragnienia. Zadbał o matkę i siostrę, zadba też o żonę. Dobrze będzie naszej Uli z takim człowiekiem.

– Ale żeby Niemiec?! – Cila, do cna przesiąknięta polskim patriotyzmem, w duchu którego wychowywali córkę, nie mogła się z tym pogodzić. – Teraz nie jest to dla nich przeszkodą, bo są zakochani, ale gdy pierwsze zauroczenie minie... Czy nie zaczną się kłócić? Wychowywaliśmy Ulę na dumną Polkę, Heniu. A teraz chcesz ją puścić na te obce ziemie...

– Dolne Łużyce są historycznie słowiańskie – zauważył nie bez racji Henryk. – Czy wiesz, że tam od wieków żyją Serbołużyczanie, którzy mówią językiem podobnym do polskiego? Niemcy nazywają ich Wendami. Zresztą Jacob miał wendyjską prababkę, można więc powiedzieć, że to Niemiec z domieszką słowiańskiej krwi.

– A kościoły tam chociaż mają?

– Mają, Cilu, mają. Jacob wspomniał, że w Sommerfeld jest i ewangelicki, i katolicki. Ula sama zadecyduje, czy zgodnie z naszym wychowaniem pozostanie katoliczką, czy wraz z mężem będzie chodziła na nabożeństwa protestanckie. A zresztą Bóg jest jeden i jak byś się do niego nie modliła, zawsze zrozumie.

Tak oto dzięki mądrymu ojcu oddano Urszulę za żonę Niemcowi, wbrew wszystkiemu, co sobie dziewczyna kiedyś w głowie układała: że pójdzie tylko za Polaka i całe życie spędzi w Danzig. Ślub odbył się właśnie tam, nad ukochanym przez Ulę Bałtykiem,

ale zaraz potem Jacob zabrał młodziutką żonę do owego Sommerfeld, o którym tyle jej opowiadał: że tyle tu lasów, że stary zamek i baszta, uroczy rynek z kamieniczkami, park, rzeka Lubst i jej kanały, nad którymi rozsiadły się młyny, farbiarnie i zakłady przemysłowe. Że przed wojną miasto rozwijało się z roku na rok, wprawdzie ostatnimi czasy trochę podupadło, ale jeszcze odzyska znaczenie w powiecie, skoro i kolej jest, i wodociągi, gazowe lampy na ulicach, szkoły, szpital, cegielnie i fabryki tekstylne, nawet teatr! Ula uśmiechała się, słysząc te zachwyty, bo gdzie tam było malutkiemu Sommerfeld do wspaniałego Danzig, ale nie żartowała z tego, nie chcąc ranić mężowskich uczuć.

Zresztą nie miała wielkich oczekiwań. Rosnące w jej łonie dziecko sprawiło, że zmieniła całkowicie spojrzenie na życie: przetasowała priorytety, pragnienia, potrzeby. Nade wszystko łaknęła teraz spokoju, chciała uwić gniazdo i stać się jego gospodynią. Niewielki, bo zaledwie trzyizbowy domek przy rzece Lubst, wprawdzie nie w samym sercu Sommerfeld, ale naprawdę blisko, zupełnie jej wystarczał, nawet jeśli wyraźnie odczuwało się, że od ponad roku nie tknęła go kobieca ręka – taki panował w nim nieład.

Urszula wkrótce zaprowadziła w swoim gospodarstwie nowe rzędy. Ściany pobielono, podłogi pokryto świeżymi deskami, przed wejściem pojawiły się kwiaty, Jacob zamówił meble u stolarza, a w kuchni znów zapachniało ciastem drożdżowym.

Sąsiedzi przyjęli nową mieszkankę przyjaźnie, a jej narodowość nie interesowała ich jakoś szczególnie, bo na terenach Dolnych Łużyc od wieków mieszały się różne nacje, nie tylko Niemcy i Wendowie. Rzadko, bo rzadko, ale czasem przyjeżdżali za pracą Polacy i Czesi; była również malutka gmina żydowska. Kiedy Uli i Jacobowi urodziła się córeczka – błękitnooka i jasnowłosa po

mamie i dziadku Heńku – nikogo nie dziwiło, że ojciec nazywa ją Katrin, zaś mama woła na nią „Kasia” i mówi do niej po polsku.

Początkowo żyło im się ciężko, jak wszystkim obywatelom kraju podnoszącego się po wojnie, zmagającego się z kryzysem i szalejącą inflacją. Potem jednak nadeszły lepsze czasy: „pięć lat tłustych”, kiedy to nie brakowało im niczego ani pod względem materialnym, ani żadnym innym. Czuli się bezpiecznie, byli zdrowi, mieli własny dom i skrawek ziemi – czegoż chcieć więcej? Latem jeździli wraz z córeczką do Danzig. Dziadek podczas każdej wizyty sprawdzał, czy Ula wychowuje jego wnuczkę w poszanowaniu polskich korzeni; opowiadał dziecku legendy, czytał o przygodach Stasia i Nel, a także uczył na pamięć *Katechizmu małego Polaka*.

Jacob dokładał do tego swoje pacyfistyczne poglądy. Bardzo mu zależało, by córka miała szerokie horyzonty. Niespełnione marzenia o tym, by studiować w wielkim mieście, naznaczyły jego styl rodzicielstwa. Starał się nie narzucać dziewczynie własnych ambicji, lecz dyskretnie pokazywał, jak wiele ma możliwości. Z kolei Urszula uczyła ją miłości do książek i otwartości na odmienność. Od czasu do czasu całą rodziną jeździli do Berlina na wystawy sztuki i do filharmonii. Mała Katrin ćwiczyła głośne czytanie, przeglądając prenumerowane przez ojca postępowe czasopisma: polityczno-kulturalne tygodniki „Die Weltbühne” oraz „Das Andere Deutschland”.

Dopiero w 1933 roku w życiu rodziny Dulke pojawił się niepokój i podstępnie wkradał się, coraz bardziej bezczelny, do serc i umysłów. Lęk przed złymi ludźmi, przed nienawiścią i nieuzasadnioną wrogością. Gdy zaś dwa lata później zatwierdzono ustawy norymberskie i nagle okazało się, że dawni sąsiedzi wyznania mojżeszowego nie są już obywatelami, lecz

„poddanymi” Rzeszy, Jacob pomyślał, że to tylko kwestia czasu, kiedy i dla Słowian zaczną się kłopoty. Póki co, zabroniono zawierania małżeństw niemiecko-żydowskich, ale kto wie, jakie jeszcze chore pomysły zalęgą się w głowach narodowych socjalistów? Może związek Niemca z Polką także okaże się niebezpieczny dla „niemieckiej czci”?

Teraz, osiemnaście lat po ślubie, było znacznie gorzej. Rodzice Katrin żyli w ustawicznym strachu. Na Dolnych Łużycach, podobnie jak w całej Rzeszy, gęstniał ponury mrok nazizmu. Żydów prawie już w Sommerfeld nie było, większość z nich wyprzedła domy i sklepiki za bezcen. Wyjechali, zostawiając po sobie smutne wspomnienia zabarwione nutą poczucia winy, pusty dom modlitwy i niewielki cmentarz przy Pförtener Strasse. Zostali tylko nieliczni – ci, którzy czuli się wystarczająco bogaci i na tyle ustosunkowani, by łudzić się, że naziści zostawią ich w spokoju.

Jak przewidział Jacob, do polskiego pochodzenia lepiej było się nie przyznawać, nie mówiąc już o pacyfistycznych poglądach czy wątpliwościach co do oceny „jedynie słusznych” poczynań partii. Dulke od jakiegoś czasu budził się w środku nocy zlany potem, dręczony lękiem o przyszłość własną i dwóch najbliższych sobie istot – żony i córki. Coraz częściej w rozmowach z nimi napomykał o wyjeździe.

– Wielu pacyfistów zamknięto w więzieniach albo obozach koncentracyjnych. Podobno kto może, płynie do Ameryki – rzekł kiedyś przy śniadaniu. – Może i dla nas znalazłoby się tam bezpieczne miejsce. Sprzedalibyśmy wszystko, wystarczyłoby na bilety...

– I co dalej? Zaczęlibyśmy od zera? Nie mając domu, z jedną walizką w garści? – Urszula lękała się otaczającej ich

rzeczywistości, jednak myśl o nieznanym kraju i języku napawała ją jednakowym przerażeniem.

– Właśnie tak! – przytaknął z zapalem Jacob. – Stany Zjednoczone to kraj wielkich szans i nowych początków!

Jego żona milczała przez chwilę, rozważając te słowa. Przekrzywiła głowę, jakby przyglądała się obrazom wyświetlanym w wyobraźni.

– Nigdzie nie pojedę bez rodziców – odpowiedziała wreszcie. – Jeśli będziesz się upierał, sprzedamy dom i pojedziemy do Danzig, tam możemy wsiąść na statek. Ale musimy zabrać mamę i ojca.

Każda taka rozmowa rozmywała się prędzej czy później – Jacob i Ula przekładali datę ewentualnego wyjazdu, bo przecież niełatwo jest porzucić dom i wszystkie te miejsca, które się kocha, gdzie człowiek czuje się u siebie. W głębi duszy wciąż się łudzili, że nic złego im się nie stanie, Jacob był wszak Niemcem z dziada pradziada, zaś Ula i Katrin wyglądały tak bardzo „niemiecko”, że nikt nie oceniłby ich urody jako „mało aryjskiej”. Poza tym ta ostatnia nawet nie chciała słyszeć o opuszczeniu rodzinnego miasta. Wpadała w rozpacz, ilekroć rodzice próbowali ją namawiać do wyjazdu z Dolnych Łużyc. Tu był jej *Heimat* – mała ojczyzna; ziemia, którą kochała. Innej Katrin nie znała.

W końcu dali za wygraną. Postanowili zostać – mimo dręczącego ich strachu, który potęgował się z każdym dniem przy wtórze złowrogiego łopotu sztandarów ze swastyką, wiszących już niemal na każdym domu.

– Pamiętaj, żeby z nikim nie rozmawiać o naszej rodzinie – pouczała córkę Urszula. – Salutuj jak inni, nie okazuj zniecierpliwienia. Nie wdawaj się w dyskusje o tym, jakie poglądy ma tatko, nie wspominaj o moich polskich korzeniach ani o patriotycznej działalności dziadka Henryka. Na wszelki

wypadek przy ludziach będziemy rozmawiały tylko po niemiecku. A gdyby rówieśnicy pytali o twoje pochodzenie, mów jedynie, że jesteś wnuczką bohatera wielkiej wojny, Karla Dulke, który poległ na polach Flandrii. Nic więcej, pamiętaj. To powinno im zamknąć usta.

– Zjadłabym jeszcze jedną porcję. – Westchnienie Marlene wyrwało Katrin z głębokiej zadumy. – Tym razem wzięłabym czekoladowe.

– Chcesz? Kupię ci – zaproponowała jej przyjaciółka.

Doskonale wiedziała, że Marlene dostaje od ojca niewiele pieniędzy, choć Wiemannom dobrze się powodzi. Nie chodziło nawet o skąpstwo, lecz raczej o styl wychowania. Dziewczyna miała znać swoje miejsce w szeregu, a o wszelkich wydatkach decydował mężczyzna, głowa rodziny.

– Nie, tylko żartowałam – roześmiała się Marlene, chcąc zamaskować zawstydzenie. – Nie mogę jeść tyle słodkości, bo za bardzo się zaokrągliłam.

Urwała nagle i osłoniła dłonią oczy, wypatrując kogoś po drugiej stronie rynku. Po chwili, upewniwszy się, że sylwetka, którą ujrzała z daleka, należy do Rudolfa Hertza, poprawiła grzywkę i na kilka sekund przygryzła wargi, by wydały się czerwieńsze.

– Och, to Rudi – szepnęła tylko, po czym odwróciła wzrok, udając, że wcale go nie zauważyła.

Przez chwilę siedziały w milczeniu. Katrin niemal słyszała, jak serce przyjaciółki wali niczym dzwon. Biedna Marlene kochała się w Rudolfie od prawie roku. Co do niej samej, nie tylko jej się nie podobał, ale wręcz go nie lubiła. Może miał ładną twarz i blond loki nad czołem, ale w jego błękitnych oczach i idealnym uśmiechu czaiło się coś zimnego. Nie umiałyby powiedzieć,

dlaczego w jego towarzystwie czuła się niepewnie. Tymczasem on zdawał się od jakiegoś czasu zabiegać o jej sympatię.

– *Hail Hitler!* Witam koleżanki. – Nawet jego głos wydawał się Katrin nieprzyjemny. – Cóż to, niedzielna przechadzka? A na karuzeli byliście? Przy Bismarckstrasse rozłożyło się wesołe miasteczko z okazji urodzin Führera!

W rzeczywistości urodziny Hitlera fetowano w Sommerfeld prawie dwa tygodnie wcześniej, w środę dwudziestego kwietnia. Najwyraźniej jednak właściciel wesołego miasteczka postanowił nieco zarobić na tym odgrzewanym kotlecie.

– Nie, nie byliśmy jeszcze na karuzeli! – zawołała zarumieniona i podekscytowana Marlene. – Zjadłyśmy tylko lody.

– Jaka szkoda – westchnął teatralnie Rudolf. – Bo gdybyście nie jadły, mógłbym was zaprosić. A może ustrzelić dla was papierowe róże na strzelnicy?

Marlene zaklaskała, zaś Katrin rzuciła jej z ukosa spojrzenie pełne przygany. Nie znała się na uwodzeniu, nigdy nie była zakochana i nie flirtowała, jednak miała niezbitą pewność, że takie krygowanie się nie tylko nie zachęci chłopaka, lecz przyniesie dokładnie odwrotny skutek. Nie chcąc jednak sprawić przyjaciółce zawodu, powstrzymała się od okazania niechęci i wraz z nią ruszyła powoli w stronę wesołego miasteczka.

Trzecia z koleżanek, Anna, swoim zwyczajem milczała, po prostu dając się poprowadzić. Skoro Katrin i Marlene chciały pójść na karuzelę, ona także poszła. Doskonale wiedziała, że nie wolno jej skorzystać z większości oferowanych tam atrakcji, bo od wirowania mogła dostać ataku, ale nawet patrzenie było lepsze niż popołudnie spędzone samotnie w domu.

Wkrótce do ich uszu dobiegały już dźwięki skocznej muzyki, poskrzypywania karuzeli, dziecięcych śmiechów i gwaru rozmów.

Pachniało watą cukrową i kwiatami kasztanowców. Po drodze Marlene paplała wesoło, co rusz poprawiając zalotnym gestem włosy, jednak Rudolf udawał tylko, że słucha. Widać było, że znacznie bardziej od panny Wiemann interesuje go jej towarzyszka o jasnych warkoczach. Z kolei Anna pozostawała dla niego jakby niewidzialna.

– Ładny dzień – zagadnął po chwili, lekko przechylając głowę w kierunku Katrin. – Mam nadzieję, że jutro też będzie słonecznie, bo zaplanowałem dla moich chłopców z Jungenschaftu zawody w łucznictwie.

Gdy wymawiał słowa „moich chłopców”, w jego głosie pojawił się na chwilę chełpliwy ton. Rudolf szczyił się tym, że jest dowódcą i że dzieciaki z Jungvolku wpatrzone są w niego jak w obrazek. Co do Katrin, zupełnie nie robiło to na niej wrażenia. Pacyfistyczne poglądy ojca w połączeniu z wysiłkami mamy, by zaszczerpić w córce polskiego ducha, dały specyficzną mieszankę: Katrin na sam widok munduru Hitlerjugend wzdrygała się z jakimś irracjonalnym lękiem. Sama wprawdzie wstąpiła do BDM, ponieważ rodziny dziewcząt nienależących do organizacji płaciły spore grzywny i były zagrożone szykanami. Choć rodzice nigdy nie wywierali na niej presji, Katrin postanowiła, że dla świętego spokoju i odwrócenia uwagi zapisze się i z pozorną ochotą będzie brała udział w zajęciach. Na szczęście wcale nie było tak źle, jak się spodziewała – poza nieznośnymi pogadankami ideologicznymi, które puszczała mimo uszu, oraz zniechęcającym hasłem: *Sei wahr, sei klar, sei deutsch*^[2] wraz z innymi dziewczętami uczyła się głównie gotować, piec, szyc i udzielać pomocy medycznej. Śpiewały także pieśni patriotyczne, których dźwięki poruszały jakieś czułe struny w jej duszy; w takie dni czuła się bardziej Niemką niż Polką. Ponadto zbierały datki

w ramach Pomocy Zimowej, jeździły na wieś pomagać w czasie prac polowych, opiekowały się dziećmi... Od czasu do czasu organizowały również wycieczki i zawody sportowe, a ponieważ Katrin była bardzo sprawna, to ostatnie dostarczało jej nie lada przyjemności i satysfakcji, jako że zwykle wygrywała wszelką rywalizację.

– Słyszałem, że doskonale jeździsz na łyżwach – podjął Rudolf. – Należysz do klubu?

W Sommerfeld działało towarzystwo łyżwiarskie, z oczywistych względów aktywne jedynie wtedy, gdy na podmokłych łąkach za zamkiem pojawiało się naturalne lodowisko.

– Nie – odparła dziewczyna niechętnie. – Nie lubię klubów ani stowarzyszeń.

Zaledwie wypowiedziała te słowa, spłoszyła się i spojrzała czujnie na swego rozmówcę. Mama przestrzegała ją, aby nie była zbyt szczera w rozmowach z rówieśnikami, nawet tymi, którym ufa. A przecież Rudolf był absolutnym przeciwieństwem kogoś takiego. Przyznawanie się do indywidualizmu, do niechęci wobec idei wspólnoty wielkiego narodu niemieckiego, było proszeniem się o kłopoty.

– Zresztą daleko mieszkam – dodała prędko. – Za miastem, trzeba iść wzdłuż rzeki w stronę Merke. Latem to przyjemny spacer, ale zimą rzadko znajduję czas, żeby zjawić się w miasteczku.

– Ale do szkoły chyba w zimie chodziłaś? Przekopałaś się przez zasy? – zażartował, a Katrin roześmiała się, udając, że jego słowa ją rozbawiły.

– Przekopałam – odparła lekko. – Nie opuściłam lekcji nawet w największe mrozy.

– Więc lubisz naukę?

– Lubię. Chętnie uczyłabym się dalej, ale...

Urwała. Znow o mały włos powiedziała by za dużo: że rodzice odradzili jej dalszą edukację w tym chorym kraju. Przede wszystkim – szkoły dla dziewcząt oferowały tylko dwa kierunki kształcenia: gospodarstwo domowe i języki. Ten pierwszy kończył się sprawdzianem, który zwano pogardliwie „egzaminem z budyniu” – i nie uprawniał do wstąpienia na uczelnie wyższe. Drugi zaś był dla Katrin zupełnie nieinteresujący. Miała bardziej umysł ścisły albo raczej przyrodniczy. Najchętniej uczyła się geografii, a już szczególnie lubiła lekcje poświęcone odkryciom, niepoznanym jeszcze do końca miejscom na mapie, egzotycznym kulturom...

Była także inna przyczyna rezygnacji ze szkoły: otóż Jacob i Urszula wściekli się na wieść o zmianach w programie nauczania. W podręczniku do biologii odkryli na przykład zdanie o podziale na ludzi nordyckich oraz „zwierzęta niższe” – Żydów. Oburzały ich zadania z matematyki, wedle których Katrin miała obliczyć, ile domów dla pełnowartościowych Niemców można by wybudować za pieniądze „zmarnowane” na utrzymywanie pacjentów szpitala psychiatrycznego albo ile tygodni zajmie armii niemieckiej pokonanie krajów sąsiednich, jeśli każdego dnia uda się zabić taką to a taką liczbę żołnierzy. A mama rozplakała się, widząc w notatkach z geografii podyktowaną przez nauczyciela odpowiedź na pytanie, z czego wynika wyższość ludów germańskich i ich prawo do zwierzchności nad Polakami i Czechami.

Co jakiś czas wracał temat wyjazdu gdzieś daleko, za ocean. Jak żyć w kraju rządzonym przez szaleńca? Bo właśnie jako szaleniec jawił im się człowiek, który dążył do kolejnej wojny, kiedy jeszcze na dobre nie porosły trawą groby żołnierzy poległych przed

dwudziestu laty, a w sercu Jacoba i jemu podobnych nie zablizniła się tęsknota za tymi, którzy nigdy nie wrócili.

– Ale najważniejszym zadaniem Niemki jest rodzenie dzieci – dokończył powoli Rudolf, zaglądając jej w oczy. – Nie nauka, ale małżeństwo i macierzyństwo uszlachetniają kobietę, jak mawia nasz Führer.

Zawiesił głos, jakby czekał na potwierdzenie, więc Katrin pokiwała głową, rumieniąc się przy tym odrobinę. Zapewne uznał to za dowód, że ma do czynienia z niewinnym dziewczęciem, które na samą myśl o prokreacji staje w pąsach, bo uśmiechnął się jakoś dziwnie, jakby z satysfakcją.

Anna i Marlene przysłuchiwały się rozmowie w milczeniu. Obie wydawały się nie tyle zawstydzone, ile wręcz zażenowane tą wymianą zdań między Rudolfem a Katrin. Na szczęście doszli wreszcie do lunaparku i stanęli przy strzelnicy, gdzie Marlene zaczęła się krygować, wskazując papierowe kwiaty, gliniane koguciki, lizaki na patyku i wilka ze sklejki, do którego można było strzelać.

– Najbardziej by mnie ucieszył czerwony lizak! – zawołała, pokazując palcem. – Ale kwiaty też są śliczne!

Rudolf skłonił się kurtuazyjnie, po czym zapłacił za dwie kolejki, w ramach których mógł oddać sześć strzałów. Stanął na szeroko rozstawionych nogach, z miną zwycięzcy, która najwyraźniej zachwycała Marlene i być może również Annę, jednak w trzeciej przyjaciółce budziła niesmak. Katrin zmarszczyła brwi i rozejrzała się w poszukiwaniu pretekstu, by się oddalić. Na szczęście nieopodal znajdowała się budka, w której sprzedawano watę cukrową.

– Mam ochotę na coś słodkiego – rzuciła prędko i ruszyła w tamtym kierunku.

Za plecami usłyszała jeden strzał, wkrótce potem drugi, brawa, radosny śmiech dziewcząt, a później Marlene wołającą jej imię. Nie odwróciła się jednak. Wyłuskała z małej torebeczki kilka monet i zapłaciła, po czym zbliżyła twarz do upojnie pachnącego obłoczka na patyku.

– Przepraszam, coś pani upadło – usłyszała nagle.

Odwróciła się i ujrzała młodego mężczyznę podnoszącego coś z ziemi. Przedmiotem, który delikatnie ujął w dwa palce, była nieco wybrudzona batystowa chusteczka z wyhaftowaną stokrotką.

– Niestety, to nie moje – odpowiedziała Katrin i dygnęła odruchowo, za co natychmiast skłęła siebie w duchu. – Ktoś musiał upuścić tę chustkę wcześniej.

Młodzieniec uśmiechnął się szeroko. Miał ujmujący uśmiech, rozpromieniła się cała jego twarz, a najbardziej oczy, których jasne, szczere spojrzenie sprawiało, że cały świat zdawał się jeszcze bardziej słoneczny i wiosenny. Katrin pomyślała, że ktoś, kto się tak uśmiecha, musi być dobry.

– Och, czyli fortel się nie udał! – zawołał i klepnął się dłonią w udo niczym parobek. – A słyszałem, że to niezawodny sposób, żeby nawiązać znajomość z ładną panną.

Zaczerwienił się przy tym nieznacznie, z czego wywnioskowała, że nie był wytrawnym podrywaczem. Zapewne ta próba „nawiązania znajomości” była jeśli nie pierwszą, to na pewno jedną z pierwszych.

– Jest w tym trochę racji – odpowiedziała ze śmiechem, dziwiąc się samej sobie, że chce jej się w ogóle kontynuować tę konwersację. – Bo przecież rozmawiamy. Następnym razem, kiedy pana spotkam, pan ukloni mi się jak swojej znajomej, a ja odpowiem uśmiechem...

– I tylko nie będę znał pani imienia – wszedł jej w słowo. – Więc będzie to uśmiech bardzo tajemniczy. Chyba że zechce mi je pani zdradzić...

– Katrin! Mamy różę i lizaka! – Podekscytowany głos jednej z przyjaciółek przerwał tę rozmowę.

To Marlene biegła w stronę budki z watą cukrową, lecz nagle stanęła jak wryta.

– Peter! – zawołała z radością. – Nie sądziłam, że cię tu spotkam! Przecież dziś niedziela, nie sobota!

Katrin nie zrozumiała sensu tego ostatniego zdania, jednak nie zastanawiała się nad tym dłużej, ponieważ chłopak uśmiechnął się do niej szelmowsko i szepnął:

– A więc znam już pani imię.

– To mój kuzyn Peter – trąkotała Marlene, zatrzymując się przy nich. Zupełnie nie zwróciła uwagi na porozumiewawcze spojrzenia tych dwojga. – Pamiętasz, mówiłam ci o nim. Poznajcie się. To Katrin, moja serdeczna przyjaciółka.

Wymienili uścisk dłoni; szare oczy Petera śmiały się radośnie, a Katrin poczuła, że teraz ona się czerwieni, bo chłopak patrzył na nią z bezczelną aprobatą, jakby tym spojrzeniem mówił jej, że jest ładna, że mu się podoba, że chciałby ją jeszcze spotkać. I choć wcześniej wyczytała to samo we wzroku Rudolfa, wówczas było to dla niej przykre, teraz zaś nic takiego nie czuła. Wręcz przeciwnie – Peter... Peter sprawiał jej przyjemność tym, jak na nią patrzył.

– O, Kessler, i ty tutaj. – Za jej plecami rozległ się głos Hertza.

Katrin odwróciła się zaskoczona, bo ton tego powitania był wyraźnie pogardliwy. Rudolf i Anna podeszli do nich powoli. Peter odpowiedział spokojnym spojrzeniem i skinieniem głowy, ale z jego twarzy zniknął uśmiech.

– Może i ty ustrzelisz pannom róże? – zapytał zaczepnie Rudi. – Potrafisz?

Katrin poczuła złość. W pierwszym odruchu chciała pociągnąć Petera za rękaw i poprosić, żeby to zrobił, żeby poszli do strzelnicy i utarli nosa temu dumnemu, nieznośnemu chłopakowi. Jednak ku jej zdumieniu kuzyn Marlene odparł chłodno:

– Nie, nie potrafię. Nie umiałbym nawet uchwycić wiatrówki.

Po czym spokojnie ukłonił się dziewczynom i odszedł.

To nie była udana niedziela. Anna prędko pożegnała się i wróciła do domu, ponieważ od hałasu rozboleła ją głowa. Katrin nie mogła się doczekać, kiedy zostanie sama z drugą z przyjaciółek, aby móc ją wypytać o dziwne zachowanie kuzyna, jednak jak na złość Rudi nie odstępował ich ani na krok. Marlene była z tego powodu szczęśliwa i zdawała się zupełnie nie zauważać, że młodzieniec całą uwagę kieruje na Katrin.

Wreszcie ta oznajmiła, że chce już wracać do domu.

– Odprowadzę cię – zaoferował Rudolf. – Wspomniałaś, że mieszkasz daleko, w stronę Merke. A po drodze będziemy mijać dom Marlene, więc wszyscy troje pójdziemy w tym samym kierunku.

Katrin zamierzała odmówić – nie uśmiechało się jej, że ma iść drogą wzdłuż rzeki sam na sam z chłopcem, którego niespecjalnie lubiła, jednak Marlene wyglądała na uradowaną i natychmiast przyjęła propozycję.

– Ależ się cieszę, że jest wiosna! – zawołała, a Katrin uśmiechnęła się z czułością, bo po prostu nie potrafiła nie kochać przyjaciółki za tę radość życia. – Kiedy wszystko wokół tak pachnie, człowiek nie może powstrzymać się od marzeń! Tak bym chciała podróżować! Ojciec obiecał, że latem pojedziemy do

Berlina, a może nawet do Wiednia! Teraz, po anszlusie, będziemy się tam czuli jak u siebie! A wy? O czym marzycie? – zwróciła się do Rudolfa i przez chwilę szła niemal tyłem, by móc patrzeć mu w oczy.

– O tym, żeby dokonać czegoś wielkiego, żeby wszyscy byli ze mnie dumni – przyznał po chwili, a Katrin pomyślała, że po raz pierwszy tego dnia zabrzmiał szczerze. Zupełnie jakby na chwilę Rudi stał się małym chłopcem, który bez skrępowania wyznaje prawdziwe uczucia. Ale już po chwili jego ton stwardniał. – Dla Wielkiej Rzeszy, dla Führera. Chcę wstąpić do wojska i służyć ojczyźnie.

Nie wyjaśnił, jakie to wielkie czyny ma na myśli, czym miałby się wślawić, a Katrin przemknęło przez myśl, że może to nie jest zły człowiek. Uległ tylko – jak to kiedyś określił jej ojciec – romantyzmowi wojska. Wyobraził sobie, że walka w imię ojczyzny to rzecz piękna i wzniosła. Katrin zaś postrzegала to inaczej. Czytała listy z frontu wielkiej wojny, które tata wciąż przechowywał w drewnianej szkatułce. Dziadek pisał w nich o wszach, błocie i krwi, o smrodzie gnijących ciał i o braku wiary – już nie tylko w zwycięstwo, ale także w sens samej walki. Nie było w tym nic romantycznego, nic wzniosłego. Chciała to powiedzieć Rudolfowi, lecz znów w porę przypomniała sobie zakaz matki. Nie, nie wolno jej zdradzić się z pacyfistycznymi poglądami, ponieważ mogłaby w ten sposób zaszkodzić całej rodzinie.

– Dziękuję za odprowadzenie. – Marlene dygnęła, bo doszli już do kamieniczki na rogu Pförtener Strasse, gdzie mieszkała. – To był przemiły dzień! Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy...

Zawiesiła głos, jakby chciała dać Rudolfowi szansę, by poprosił ją o następne spotkanie, ale on patrzył na Katrin.

– Chodźmy już – powiedział. – Przecież nie chcemy wracać po ciemku. Do widzenia, Marlene.

Uklonił się i odczekał, aż przyjaciółki uściskają się na pożegnanie, a potem ruszył w stronę zabudowań Hedwigs Mühle, za którym znajdowało się przejście w kierunku rzeki. Katrin pomyślała, że koleżance musiało się zrobić przykro, ale Marlene pomachała im energicznie, uśmiechając się radośnie, po czym weszła do domu.

– Możemy iść okrężną drogą – odezwał się Rudi. – Jeśli chcesz ominąć to parszywe miejsce.

Przez kilka sekund czuła się zupełnie zagubiona, ponieważ nie miała pojęcia, co on może mieć na myśli. Dopiero po chwili dotarło do niej, że „tym parszywym miejscem” określa niewielki cmentarz żydowski, obok którego musieli przejść, by dojść do nadrzecznego skrótu. Zza ogrodzenia widać było starą, lekko przekrzywioną macewę, a obok nowszą, stojącą prosto. Reszta nagrobków ginęła wśród bujnej zieleni. Katrin nigdy by nie pomyślała, że miejsce czyjś pochówku można nazwać „parszywym”, przeciwnie; dla niej cmentarze otaczała atmosfera świętości, niezależnie od tego, jakiej narodowości i jakiego wyznania byli ci, którzy spoczywali w ziemi.

Czy on się nie boi? – zadała sobie pytanie, zerkając trwożnie na wyprostowaną sylwetkę Rudiego, który szedł przodem i deptał kępy pokrzyw, by poszerzyć ścieżkę. Czy wieczorami, gdy już przestaje wykrzykiwać te wszystkie nazistowskie hasła i recytować wyuczone formułki, gdy rozebrany do snu leży w pościeli i staje się znów tylko bezbronnym człowiekiem, nie przychodzi mu do głowy, że kiedyś będzie trzeba zapłacić za całą tę nienawiść?

Jej samej, ilekroć przechodziła obok jakiejś nekropolii, nie opuszczał zabobonny lęk i dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Może to z powodu opowieści taty, który twierdził, że odkąd jego ojciec zginął na wojnie, w każdym ważnym momencie życia Jacob odnosił irracjonalne wrażenie, że papa mu towarzyszy i pomaga podejmować decyzje.

– Jeśli nie wiem, jak postąpić, albo waham się, czy zrobić coś, co wydaje mi się wątpliwe – powtarzał Jacob – to zadaję sobie pytanie, co myślałby o tym twój dziadek.

Katrin nie wiedziała zbyt wiele o swoich przodkach z tej gałęzi drzewa genealogicznego. Byli prostymi ludźmi, którzy ciężko pracowali i starali się żyć przyzwoicie, to wszystko. Dziadek Karl był szanowanym zawiadowcą stacji, babcia prowadziła dom i uprawiała ogródek, zaś starsza siostra taty, Marie, podobnie jak on sam chciała się uczyć. Tyle że jemu rościło się konstruowanie maszyn, ona zaś pragnęła leczyć. Marzył jej się zawód lekarza, a gdyby to się nie udało, mogłaby zostać pielęgniarką. Niestety, najpierw jej sny zniweczyła wielka wojna, a potem epidemia hiszpanki, która przedwcześnie zakończyła jej życie.

Ciocia Marie wiedziała, do czego dąży, a ja? Czego właściwie pragnę? – zadała sobie pytanie Katrin, kiedy przechodziła ścieżką w ślad za Rudolfem, uważając, aby listki pokrzyw, które już zaczynały się podnosić, nie poparzyły jej łydek. Co chciałabym robić? Wyjść wcześniej za mąż, jak to się marzy Marlene? Być wzorową żoną i matką, jak chce tego Hitler? A jeśli nie, jeśli nie pragnę być przykładną kobietą niemiecką, to co powinnam zrobić ze swoim życiem? Dlaczego nie mam marzeń innych niż to, żeby wreszcie zapanował spokój, żebym przestała drżeć z lęku o rodziców i o samą siebie? Żebym nie musiała nieustannie się zastanawiać, co mogę powiedzieć na głos, a czego nie?

Nagle idący przed nią Rudolf zatrzymał się, wyrywając ją z zadumy i sprawiając, że omal nie weszła w jego plecy. Odwrócił się gwałtownie; zanim zdążyła się cofnąć, chwycił jej rękę.

– Nareszcie jesteśmy sami! – wyszeptał gorączkowo. – Katrin, przecież na pewno zauważyłaś, że mi się podobasz!

Wyrwała dłonie z uścisku jego palców i zrobiła krok w tył, prawie upadając. Najchętniej minęłaby go teraz, uciekła do domu, ale zagradzał ścieżkę, w tym miejscu po obu stronach zarośniętą jeżynami, których kolczaste pędy poraniłyby do krwi jej nogi i podarły skraj spódnicy.

Przypomniała sobie, co kiedyś powiedział jej ojciec o bezpiecznych psach: „Jeśli widzisz, że jest groźny, nie uciekaj, bo tylko go rozjuszysz. Zachowuj się tak, aby stracił zainteresowanie. Po prostu zakryj najwrażliwsze miejsca, schowaj je pod skorupę jak żółw. Niech kąsa tam, gdzie mniej boli. I nigdy nie patrz mu w oczy”.

Odwróciła więc wzrok i skurczyła się, zapadła w siebie, jakby chciała wydać się mniejsza i brzydsza.

– Chciałbym, żebyś była moją dziewczyną! – ciągnął Rudolf. Nie miała odwagi mu przerwać, stała jak sparaliżowana. – Nie bój się mnie.

Zamilkł wreszcie, a ona zerknęła na niego. Wpatrywał się w nią natarczywie.

– Nie boję się – skłamała. – Tylko... Rudi, ja jeszcze wcale nie myślę o chłopcach.

– Ależ musisz myśleć.

Na szczęście nie był taki hardy, jak by się mogło wydawać; spokorniał, kiedy zostali we dwoje. Odważył się jedynie musnąć końcówkę jednego z jej warkoczy.

– Masz prawie osiemnaście lat! – podjął szeptem. – W twoim wieku niektóre dziewczęta już się zaręczają... Nasz Führer mówi, że założenie rodziny to powołanie kobiety. Czy to nie piękne zadanie: być strażniczką rodu?

Nie powiedz za dużo! – odezwał się ostrzegawczy głos w jej głowie. Nie zdradź się z tym, że nigdy, przenigdy nie zamierzasz robić tego, czego oczekuje od ciebie Führer.

– Oczywiście nie ponaglami cię! – kontynuował Rudolf. – Ale może mogłabyś mi obiecać, że będziesz na mnie czekała? Po maturze muszę dokonać wyboru: albo pójdę na uniwersytet, albo wstąpię do wojska. – Teraz w jego głosie pojawił się znajomy, chępliwy ton. – Jako mały chłopiec marzyłem, aby zostać marynarzem, ale teraz myślę, że mógłbym spróbować swoich sił w lotnictwie. Minęły już czasy, kiedy stopnie oficerskie były dostępne tylko dla potomków szlacheckich rodów. Obecnie każdy dobry Niemiec może posłać swojego syna do szkoły wojskowej.

Naprężył mięśnie, stanął przed nią w pozie sportowca. W gruncie rzeczy wydał jej się trochę śmieszny. Jakby był na scenie i niezbyt udatnie grał wyuczoną rolę.

– Jestem zdrowy i sprawny, i gotów do poświęceń. Chciałbym strzec z powietrza granic Wielkiej Rzeszy przed zagrożeniem żydowsko-bolszewickim.

Katrin nie zamierzała rozmawiać o Rzeszy, lecz z dwojga złego te przechwałki były lepsze niż wyznania miłości.

– Ale to musi być strasznie niebezpieczne – rzuciła, spoglądając na niego tak, jakby była przestraszonym dzieckiem, a on bohaterem.

Rudolf wyprostował się jeszcze bardziej i wypiął pierś, a wówczas dziewczyna prędko wskazała ręką kierunek.

– Pójdziemy dalej? – zapytała. – Moi rodzice na pewno się niepokoją.

Odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Niebezpieczne – przytaknął, ciągnąc temat, który najwyraźniej interesował go bardziej niż miłość. – A jakże! Trzeba doskonale nad sobą panować, bo każdy błąd można przypłacić życiem! W powietrzu nie ma miejsca na pomyłki!

– I nie boisz się?

– Ech, wy, dziewczęta! – prychnął, udając lekceważenie, ale z jego tonu Katrin potrafiła odczytać, że czuje się mile polechtany. – Czym jest strach? Czy nie stanowi testu dla naszej odwagi? Mój ojciec zawsze powtarza, że tylko człowiek głupi nie boi się wcale. Zresztą gdybym się nie bał, na czym polegałaby odwaga? Strach to rodzaj sprawdzianu dla hartu ducha.

Nie lubiła tego chłopca, lecz musiała przyznać, że teraz, kiedy tak mówił – z zapalem i wiarą w słusność swych słów – wyglądał wspaniale. Był piękny, silny, pełen ideałów, gotów umrzeć za wyznawane wartości, miał więc wszystko to, co powinien mieć idealny kandydat na narzeczonego. A jednak Katrin nie mogła nic poradzić na to, że budził w niej jedynie strach i niechęć.

– Masz rację – przytaknęła, gdy znaleźli się już blisko furtki. – Odwaga polega na przełamywaniu strachu, więc ten, kto się nie boi, nie może się nią wykazać. – Odetchnęła z ulgą, kładąc dłoń na jeszcze ciepłych od słońca sztachetach płotu; teraz wreszcie poczuła się bezpiecznie. – Dziękuję za odprowadzenie, Rudolf. Do widzenia.

– Zaczekaj! – zawołał jeszcze. – Nie odpowiedziałas mi...

Ale jej już nie było, zniknęła za furtką, która skrzypnęła cichutko, a po chwili na drewnianej werandzie rozległ się stukot obcasów jej pantofli.

[1] *wreje* (gw.) – randki

[2] Dewiza organizacji Bund Deutscher Mädel: „Bądź prawdziwa, bądź przejrzysta, bądź niemiecka”.

*

Peter westchnął, wstając z twardego siennika. Poprzedniego dnia, choć była to niedziela, zupełnie niespodziewanie dostał wolne, bo pan Lehmann z rodziną wybrał się do krewnych w Forst i zamknął karczmę. Dziś jednak zaczynał się nowy tydzień wypełniony ciężką pracą. Chłopak obiecał wdowie Trishke, że przekopie jej ziemię pod zasiew fasolki. Potem czekała go praca w kuchni. Musiał także wybrać się do Marienhein, by odebrać od zielarza specyfik na wątrobę dla pani Lehmann. Dzień jak co dzień.

Peter lubił swoje życie i doceniał jego surową prostotę. Rodzice odumarli go we wczesnym dzieciństwie, nawet ich nie pamiętał. Wiedział jedynie, że mama nosiła imię Ingrid i pochodziła spod polskiej granicy, że była czuła i bardzo go kochała. Umarła, gdy miał zaledwie rok, wydając na świat kolejne dziecko, dziewczynkę, która również nie przeżyła. Tyle opowiedział Peterowi dziadek. O tacie chłopaka, a swoim synu, nie mówił wiele. Tyle tylko, że był bardzo pracowity i pobożny, a zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku podczas ścinki drzew.

Peter wychowywał się więc pod okiem dziadków, a kiedy i oni zmarli, zaopiekował się nim Otto Lehmann, karczmarz, najbogatszy człowiek we wsi Leipe. Nie oczekiwał od chłopaka nic poza ciężką, niemalże służalczą pracą, ale Peterowi to

odpowiadało, ponieważ Lehmann był sprawiedliwy, a przy tym szanował odmienne wyznanie chłopaka. O to w tych ponurych czasach nie było łatwo.

Scheda Petera była skromna; miał tylko niewielki murowany dom, dwie szopy – w jednej z nich kiedyś mieściła się dziadkowa stolarnia – i skrawek ziemi z kilkoma drzewkami owocowymi oraz trzema ulami, w których nadal mieszkały pszczoły. Poza tym biedniutkim gospodarstwem jedynym, co mu zostało i co dowodziło, że w ogóle kiedykolwiek miał rodzinę, że istnieli jacyś Kesslerowie, którzy mieli własną historię, było właśnie odziedziczone po przodkach wyznanie. Dziadek mówił, że w szesnastym wieku jego prapradziad wstąpił do braci huterskich, którzy głosili potrzebę powrotu do prostoty życia pierwszych chrześcijan. Odrzucali przemoc, odmawiali służby wojskowej, rezygnowali z wszelkich przedmiotów kultu. Czytali Pismo Święte, a do tego nie potrzebowali kapłana ani świątyni. Żyli zwyczajnie, nie dążyli do bogactwa, tworzyli wspólnoty oparte na braterstwie i jednej własności.

Jakie dokładnie były dzieje rodziny, tego dziadek nie wiedział. Dlaczego Kesslerowie nie trafili do któregoś ze zborów na północy Niemiec? Jakie zawirowania losu sprawiły, że przywędrowali tu, gdzie pozostali obcymi i gdzie traktowano ich jak odmieńców? Czy z powodu prześladowań w czasach kontrreformacji? Odłączyli się celowo, ponieważ nie zgadzali się w jakiejś kwestii z braćmi w wierze? A może sprawił to czysty przypadek? Tego nikt nie wiedział. Nikt nie potrafił nawet nazwać ich religii. Kim właściwie byli? Baptistami? Mennonitami? Badaczami Pisma?

Jedyna krewna Petera, ciotka Lotta Wiemann, mieszkająca w Sommerfeld, wyznawała ewangelicyzm. Ona także nie umiała odpowiedzieć chłopcu na większość jego pytań o korzenie.

– Podobno przywędrowali z Niderlandów. Chyba mieli zamiar udać się dalej na wschód, ale z jakiegoś powodu tu zostali – tłumaczyła. – Może ktoś zachorował w podróży i nie mógł dalej jechać? Tego nie wiem, to zbyt dawne dzieje. W każdym razie twój pradziadek Stefan miał syna i córkę. Synem był właśnie dziadek Johann, u którego się wychowywałeś. A córka, Renate, czyli moja matka, wyszła za mąż za ewangelika, Thomasa. Dlatego nasza część rodziny chodzi do kościoła, a wasza pozostała przy studiowaniu Pisma.

Tak więc całe dziedzictwo Petera mieściło się w garstce informacji, takich jak imiona dziadków i rodziców oraz fakt, że byli w jakiś sposób odmienni od sąsiadów. Żyli po swojemu, ciężko pracowali i czytali Biblię. W przeciwieństwie do pozostałych mieszkańców Leipe nie święcili niedzieli, lecz sobotę. Nie modlili się w kościele, lecz w domu. Zgodnie z tradycją nie zamykali drzwi domu na klucz, okazując w ten sposób lekceważenie dla gromadzenia bogactw i własności prywatnej. Wierzyli, że całym życiem, każdym uczynkiem i słowem człowiek zapracowuje sobie na zbawienie lub potępienie, za najgorszy zaś grzech uważali zabijanie. Babcia, póki żyła, była cenioną krawcową. Dziadek zajmował się drobną stolarką i sprzedawał miód z własnej pasieki. Nie walczył w czasie wielkiej wojny; nie wzięłyby broni do ręki. Ot, cała Peterowa wiedza o korzeniach.

Nic dziwnego, że chłopiec pielęgnował swoją odmienność, był z niej dumny i starał się przestrzegać tych samych zasad, według których żyli jego przodkowie. W końcu było to jedyne, co składało się na jego tożsamość. Oficjalnie nie należał do żadnego wyznania, ponieważ nie został ochrzczony – zgodnie z przekonaniem dziadka chrzest powinien być świadomą decyzją, podjętą przez dorosłego. Niestety, zanim Peter dorósł, został sam na świecie

i nie wiedział, dokąd miałby się udać, aby przyjąć sakrament. A jednak miał niezachwianą pewność, że dla Boga takie rzeczy nie mają znaczenia. O wiele ważniejsze było to, co człowiek nosi w sercu. Umiłowanie pokoju, wdzięczność wobec Stwórcy, pokorę i miłość bliźniego.

Wbrew temu, czego można by się spodziewać po osobie różniącej się od wszystkich dokoła, Peter nie stał się odludkiem. Nie wyrósł także na mrukliwego czy zamkniętego w sobie młodego mężczyznę – wręcz przeciwnie, tryskał radością życia. Był otwarty, ciekaw świata i ludzi, zawsze uśmiechnięty, uczynny. Mieszkańcy Leipe lubili Kesslera i chętnie dawali mu zarobić parę fenigów, zatrudniając go do drobnych prac, choć sami byli w większości ludźmi niezamożnymi.

Od czasu do czasu chłopca brała do siebie ciotka Lotta i wtedy Peter spędzał kilka dni w Sommerfeld, które w porównaniu z rodzinną wsią wydawało mu się wielkim miastem. Bawił się z rówieśnikami nad rzeką Lubst, chodził na dworzec kolejowy, by przyglądać się lokomotywom, a w deszczowe dni kuzynka Marlene uczyła go rachunków.

Jego najlepszym kolegą był wówczas Rudi Hertz, mały blondynek, z którym często urządzali sobie zabawy. Zimą bitwy na śnieżki, jesienią turniej rzucania kasztanami do celu, zaś latem zawody, kto dłużej wytrzyma pod wodą. Niestety pewnego razu Rudi wstrzymał oddech na tak długo, że stracił przytomność i omal nie utonął. Przerażony Peter wyciągnął go wówczas na brzeg i tak długo tarł go za ubranie, że chłopiec się ocknął. Najpierw zwymiotował, potem zaś położył się na trawie i oznajmił, że kręci mu się w głowie i nie ma siły wrócić do domu. Peter pobiegł wtedy z płaczem po pomoc, choć strasznie się bał pana

Hertza, ponurego aptekarza z groźnymi wąsami, spod których nie widać było ust.

Hertz szybkim wojskowym krokiem ruszył zaraz nad rzekę, tak że malec ledwo za nim nadążał. Dotarłszy na miejsce, wziął syna na plecy, jakby to był worek ziemniaków, huknął na dzieciaki, żeby się nie gapiły, i odszedł, a mokra głowa chłopca objęła się o jego łopatki i moczyła mu koszulę na plecach.

Od tamtej pory Rudolf nigdy już nie bawił się z małym Kesslerem. Zapytany przez dziadka – bo było to jeszcze za jego życia – dlaczego się smuci, Peter opowiedział mu całą historię.

– Hertz jest z tych, którzy woleliby, żeby jego syn się utopił, niż okazał słabość – skomentował ironicznie staruszek. – Zapamiętaj, wnusiu, żeby zawsze trzymać się z daleka od ludzi chorobliwie ambitnych. Kiedy stawka będzie wysoka, nie cofną się przed niczym.

Peter niewiele z tego zrozumiał, więc w swoim dziecięcym umyśle wytłumaczył to sobie po swojemu. Pan Hertz na pewno bardzo się zdenerwował i pomyślał, że to za namową kolegi jego syn tak głupio się bawił. Dlatego zabronił im się przyjaźnić. Przyjąwszy tę interpretację za pewnik, mały Kessler ukradkiem machał Rudiemu i uśmiechał się do niego porozumiewawczo, kiedy nikt nie widział. Tyle że tamten nigdy nie odpowiadał mu tym samym. W końcu również Peter zaczął zachowywać się tak, jakby się nie znali.

Ich ścieżki nie przecinały się zbyt często, ponieważ Rudi chodził do szkoły w Sommerfeld, Peter zaś uczył się w Pforten, tyle że z przerwami, bo przecież musiał pracować. Ciotkę odwiedzał rzadko, a że do Sommerfeld miał kilkanaście kilometrów, nieczęsto też bywał w mieście dla rozrywki.

Było to po śmierci dziadka, kiedy Otto Lehmann oświadczył, że koniec ze szkołą.

– Umiesz czytać i pisać, rachować uczy cię kuzynka... Nic więcej w życiu nie potrzeba. Pora wziąć się do roboty.

Tak oto Peter wszedł w dorosłość. Szkoła stała się dla niego czymś tak niedostępnym, jak automobile czy wnętrza pałacu Brühla w Pforten. Po prostu wiedział, że te rzeczy istnieją, był ich ciekaw, ale też zdawał sobie sprawę, że pozostają poza jego zasięgiem, więc nie poświęcał im szczególnej uwagi. Był nauczony życia w prostocie, godzenia się z losem i znajdowania najdrobniejszych powodów, by dziękować Bogu.

Fakt, że zakończył edukację, pomógł mu także w kwestii przynależności do Hitlerjugend. Wszyscy uczniowie szkoły w Pforten, podobnie jak ci z Sommerfeld, należeli do organizacji. Teoretycznie nie było to obowiązkowe, lecz w praktyce ze świecą trzeba by szukać kogoś, kto odważyłby się nie zapisać. Peter, co oczywiste, znalazłby w sobie dość odwagi, lecz na szczęście, nie będąc już uczniem, nie musiał tego robić. Został wyrzucony poza system, a że wszyscy w sąsiedztwie znali jego odmienną religijną i doskonale wiedzieli, że jest sierotą, po prostu dali mu spokój.

Nie chroniło go to bynajmniej przed szykanami ze strony rówieśników. Zdarzały się one niemal nieustannie. Bywało, że zgraje dzieci rzucały w niego błotem, pluły na niego i szydziły zeń głośno. On jednak znosił to wszystko z godnością. Wierzył, że Stwórca, patrzącemu na niego z nieba, podoba się ten niewzruszony spokój. I mimo wszystko nawet w takie dni, kiedy spotykała go krzywda ze strony bliźnich, starał się odczuwać wdzięczność i dziękował Bogu za dar życia.

A jednak teraz, w ten poniedziałkowy poranek, kiedy odział się, wzuł buty, przemył twarz zimną wodą i przeczesał palcami zmierzwione włosy, poczuł w sercu żal. Ogarnął go smutek, że są takie rzeczy, których nigdy nie zdobędzie, takie przeżycia i uczucia, których doświadczenie nie będzie mu dane. Są takie niebieskie oczy, które nie będą śmiały się do niego, lecz do chłopców pokroju Rudolfa Hertza.

Peter nie widywał wielu dziewcząt. W Leipe żyło zaledwie kilkadziesiąt rodzin i choć znalazłyby się wśród nich panny mniej więcej w wieku młodego Kesslera, to przecież znał je od dziecka, wraz z nimi wdrapywał się na sterty siana i zbierał szczaw na zupę. Nie widział w nich ponętnych podlotków, lecz dziewczuszyka, które w dzieciństwie dokuczały mu, że aż do mrozów chodzi boso i przez to jest wiecznie usmarkany.

Podczas rzadkich wypraw do Sommerfeld oczywiście zerkał na dziewczęta. Jego kuzynka Marlene była śliczna i elegancka, wiedział więc doskonale, jak wygląda panna z dobrego domu, tak zwana miastowa, jakie nosi sukienki, pantofelki, jakie ma loki i jak ładnie pachnie.

A jednak widok jasnowłosej Katrin, spojrzenie jej oczu i życzliwy uśmiech – to wszystko wstrząsnęło nim do głębi i zabolowało okropnie, jakby otworzyła się jakaś zadawniona rana, jakby jego serce zaczęło krwawić, a przez to on sam począł tracić siły.

Nie rozumiał, co w niego wstąpiło, kiedy zobaczył tę dziewczynę kupującą watę cukrową. Miała na sobie sukienkę w drobne kwiatki, chyba niezapominajki. Włosy, splecione w dwa grube warkocze, sięgały połowy pleców. Ich kolor przywodził mu na myśl polaną porośniętą płową grzywą traw. Kiedy Katrin zapłacała i zbliżyła obłoczek waty do nosa, na chwilę zamknęła oczy, zapewne po to, by delektować się słodkim zapachem. Dla Petera

obrazek ten – jej jasna twarz, zakrzywiona linia brwi i leciutko podwinięte na koniuszkach rzęsy – był niczym twarz Maryi w przydrożnej kapliczce. Bo choć zgodnie z tradycją wiary odrzucał kult boskich wizerunków, to przecież czasem, mijając te figurki, przystawał w zachwycie – takie były ładne.

Gdy ujrzał na ziemi zmiętą, przybrudzoną chusteczkę, w jego głowie błysnęła myśl, że może właśnie ta śliczna panna ją upuściła. Natychmiast znalazł się u jej boku i podniósł zgubę. Niestety, nie tylko strzelił jak kulą w płot, ale co gorsza, nie dane mu było dłużej z dziewczyną porozmawiać, ponieważ nagle jak spod ziemi wyrosła Marlene, a za nią pojawili się Rudolf i jeszcze jedna dziewczyna, ta chudziutka i blada.

Oczywiście cała sytuacja miała dobre strony – Peter był przyzwyczajony do szukania powodów do wdzięczności, więc i tym razem znalazł niejednego. Ot, choćby to, że dzięki gadatliwej kuzynce poznał imię płowowłosej. Katrin. Jak ładnie. Po wtóre: fakt, że Katrin była koleżanką Marlene, także napawał go otuchą. Odwiedzając kuzynkę, będzie mógł natknąć się na obiekt swego zainteresowania, a nawet jeśli tak się nie stanie, to przecież dowie się o niej czegoś, podpyta niby od niechcienia.

Jednak na tym plusy się kończyły i zaczynała lista minusów. Najpoważniejszym z nich był Rudolf. Przystojny kawaler z zamożnego domu, syn aptekarza. Należący do Hitlerjugend, popularny wśród rówieśników. Zresztą to ostatnie nie miało znaczenia – wystarczył już sam fakt pochodzenia. Rudolf, którego stać było na ustrzelenie papierowej róży, kupienie dziewczynie pierścionka z kolorowym oczkiem albo zaproszenie jej na karuzelę. A Peter? Petera nie było stać zupełnie na nic, nawet na nowe buty. Na szczęście Katrin nie spojrzała w dół i nie zobaczyła „głodnych” nosków jego trzewików.

Po tym, jak się wycofał, by nie dać się wciągnąć w jałową dyskusję o strzelaniu z wiatrówki, Peter wcale nie odszedł daleko. Przeciwnie: dobrą chwilę włóczył się między straganami, zajrzał do gabinetu krzywych luster, po czym ukrył się w cieniu dorodnego platana po drugiej stronie ulicy, by obserwować płowowłosą Katrin. Widział, jak wraz z Marlene kręciła się na karuzeli, jak nadskakiwał jej Rudi, jak wreszcie wszyscy troje ruszyli w stronę Pförtener Strasse. Na rogu, przy dobrze mu znanej kamienicy, kuzynka się pożegnała, pozostała dwójka ruszyła zaś dalej. Peter stłumił w sobie pokusę, by podążać za Katrin. Zapewne Rudolf zamierzał ją odprowadzić pod sam dom; mógłby zauważyć, że ktoś za nimi idzie. Wśród licznych spacerowiczów w pobliżu lunaparku łatwo było się ukryć, jednak tutaj było to niemal niemożliwe.

Peter odczekał chwilę i dopiero upewniwszy się, że tamci oddalili się na kilkaset metrów, ruszył ich śladem, bo tamtędy wiodła też droga do jego wsi. Na szczęście po kilkunastu minutach dogonił go wóz pana Schramma i mężczyzna zaproponował chłopakowi podwózkę. Tak więc resztę drogi Peter odbył na wozie, leżąc na resztkę słomy z dwójką dzieci Schrammów, słuchając ich przekomarzań – i marząc o dziewczynie z płowymi warkoczami.

*

Rudolf obudził się w mokrej pościeli. Uda szczypały go okropnie, podobnie jak krocze i pośladki, ale najgorsze nie były wcale odczucia fizyczne, pieczenie skóry ani wstrętny zapach, tylko myśl o tym, że znów będzie musiał znosić upokorzenie, obelgi i kpiny ojca. Oraz najgorsze – pełen wstydu wzrok matki, która w jakiś absurdalny sposób za każdym razem czuła się winna, zupełnie jakby to z powodu jej pobłażliwości dorosły syn moczył się w nocy.

W rodzinie Hertzów nie było miejsca na słabość. Ojciec walczył podczas wielkiej wojny i odniósł rany, lecz wrócił żywy i nigdy nie czuł się pokonany. Wręcz przeciwnie, zawsze powtarzał jedynemu synowi, że prawdziwą klęską jest uciec albo wcale nie stanąć do walki, bo największa hańba dla mężczyzny to tchórzostwo i zaniechanie.

Właśnie dlatego przed laty zabronił Rudiemu bawić się z małym Kesslerem.

– Tacy jak oni to robactwo, plama na honorze naszej ojczyzny! – grzmiał owego pamiętnego dnia, kiedy przyniósł osłabionego, podtopionego syna do domu. – Tchórze, którzy nie biorą broni do ręki! I mają czelność twierdzić, że robią to w imię swojej religii! Bzdura! W rzeczywistości są niczym kleszcze, które przyczepiają się do żywiciela i piją jego krew. Żyją z nami, korzystają ze wszelkich praw, lecz nic nie dają od siebie! Brzydzą się nimi!

Skoro tata się brzydził, Rudolf także zaczął się brzydzić. Czasem tylko żal mu się robiło, gdy przelotnie spojrzął na dawnego kolegę, a tamten uśmiechał się do niego porozumiewawczo, ciepło i ze szczerą sympatią. Przy Peterze Rudi nigdy nie czuł się słaby, nie bał się ośmieszenia. Odkąd pamiętał, łączyła ich nie szczerej chłopięcej przyjaźni, a poza tym mały Kessler miał też w sobie jakiś szczególny rodzaj dobra. Nie łapał jak inni chrabąszczy, by je przywiązać do nitki i prowadzić „na smyczy”, nie rzucał kamieniami w ptaki, a raz nawet – przy pomocy Rudiego – uratował cztery kocięta, które stary Broschkov wrzucił do stawu w worku pełnym kamieni. Peter wyjaśnił, że tego uczył go dziadek: w Piśmie Świętym jest przykazanie, aby nie zabijać, ale nie ma mowy o tym, że dotyczy to tylko ludzi.

– Ale świnie można? – upewnił się wtedy mały Rudi, bardzo przejęty, bo dopiero co w minionym tygodniu asystował przy świniobiciu u dziadków na wsi.

– Jak się wędzi szynkę i szykuje kielbasę na zimę, to można – odparł z powagą Peter. – Tak jak na przykład kot łapie mysz. Robi to, bo jest głodny, prawda? Ale dla zabawy nie wolno. Pan Bóg mądrze to wszystko urządził.

Kiedy Rudi wstąpił do Jungvolku, a potem do Hitlerjugend, początkowo wcale nie czuł się z tego powodu szczęśliwy. Na leśnych biwakach bał się pajaków, podczas zawodów sportowych zwykle zajmował ostatnie miejsce, a posłuchu wśród rówieśników nie miał. Nauczył się jednak nie narzekać, ponieważ każde słowo skargi ojciec nazywał „babskim jazgotem”, a co gorsza, lubował się w wymyślaniu „naucek”. Na przykład: „Boisz się pajaków i nie potrafisz tego strachu przezwyciężyć? W takim razie musimy cię oswoić z tymi pożytecznymi stworzeniami. Spędzisz całą noc

w piwnicy bez świecy i lampy naftowej, a przekonasz się, że skoro nie jesteś muchą, pająki nic ci nie zrobią”.

Owszem, Rudi się przekonał. Po tej „nauczce” budził się w mokrym łóżku przez kilka nocy z rzędu, aż wreszcie, widząc posiniaczoną twarz matki, przestał chodzić spać, by w porę pobiec do wychodka. Zasypiał dopiero nad ranem, gdy niebo różowiło się już od świtu. Będę dzielny, przyrzekł sobie.

W najbliższą niedzielę w kościele zawarł układ z Bogiem.

– Przyrzekam być mężczyzną – obiecywał, szepcząc żarliwie w złożone do modlitwy dłonie. – Będę dzielny i niezłomny, nie okażę strachu ani słabości, tylko proszę cię, Boże, niech tata już nie bije mamy za to moje sikanie.

Od tego czasu chłopiec rzeczywiście zaczął męźnieć; zaciskał zęby i znosił trudy ćwiczeń fizycznych, dając z siebie wszystko. Zawsze był ambitny, a teraz stał się również twardy. Całą swoją wrodzoną wrażliwość ukrył tak głęboko, jak tylko potrafił, aby nikt się nie domyślił, że w głębi duszy pozostał lirycznym marzycielem, którego zachwycaly melodie trzciny nad stawem i niebieskie łebki sikorek. Zresztą z biegiem czasu ten liryzm zaczął zanikać, niekarmiony dobrymi myślami, zagłuszany dążeniem do tego, by nie różnić się od innych, lecz pasować do wielkiej rzeszy niezłomnych niemieckich chłopców.

I tylko nocne wypadki, które wciąż co jakiś czas mu się zdarzały, dowodziły, że gdzieś pod tą twardą skorupą tkwi coś miękkiego, nieutulonego i drżącego.

Rudi miał szesnaście lat, gdy mama zachorowała. Nigdy się nie skarżyła, więc nie miał pojęcia, że od dawna cierpiała na bolesti. Kiedy usłyszał diagnozę: rak jelit, wpadł w rozpacz. Zresztą nie tylko on. To był jedyny moment w życiu chłopca, kiedy dane mu

było się przekonać, że i ojciec ma jakieś uczucia. Stary Hertz, nagle skurczony i poszarzały, przesiedział przy łóżku żony niemal całą noc, kiwając głową i niecierpliwie wycierając łzy, które niknęły w jego wąsach, podczas gdy matka urywanym szeptem udzielała mu wskazówek.

– Jeśli umrę, ożeń się jak najszybciej – mówiła. – Nie jesteś jeszcze stary, na pewno znajdziesz kogoś, kto ci poprowadzi dom. I niech Rudi prędko poszuka jakiejś dobrej panny, bo mężczyźni samemu ciężko na świecie. Czy wyprać, czy ugotować, czy kwiatki w wazonie postawić, żeby milej było... To wszystko przecież do kobiety należy, a jak w domu jest czysto i pachnie, to od razu życie staje się znośniejsze. Tylko dobrej, rozumiesz? Niech szuka dobrej. Takiej, która lubi dzieci, która się uśmiecha. Teraz dziewczęta są jakieś inne, chcą być jak chłopcy, mundury noszą, biegają, strzelają. Takiej niech nie bierze za żonę... Niech szuka tak długo, aż się zakocha. Dopilnuj, żeby nie ożenił się z rozsądku. Przecież wtedy to wszystko staje się nie do zniesienia...

Hertz mruknął coś, czego nie dało się zrozumieć; być może nawet on sam nie był pewien, czy przytaknął, czy raczej wyraził powątpiewanie.

– I niech się uczy mój chłopiec, dopilnuj tego. Niech się kształci – szepnęła jeszcze chora.

Tym razem mruknięcie ojca z całą pewnością zawierało aprobatę. Rudolf podsłuchiwał, stojąc w sieni i opierając się czołem o futrynę. Gdzieś w okolicach serca odczuwał okropny, tępy ból, ale łzy nie płynęły – choć tym razem akurat wolałby płakać; może wtedy bolałoby mniej. Będę się kształcił, przysięgał w duchu, znajdę sobie pannę, zrobię wszystko, czego sobie zażyczysz, mamó, tylko nie umieraj.

Jakimś cudem ktoś wówczas wysłuchał jego próśb, bo matka nie umarła. Od tamtej strasznej nocy minęły już dwa lata z okładem, a ona wciąż żyła. Boleści na przemian wracały i odchodziły, a przy każdym takim ataku, kiedy robiło jej się gorzej, nie mogła się wypróżnić, traciła siły i tylko leżała w przepoconej pościeli, powyginana w boleściach. Rudi składał wtedy w duchu nowe obietnice – jej, Bogu, sobie, całemu światu. Jak dotąd ten sposób działał. On dotrzymywał słowa, uczył się gorliwie, był najlepszym uczniem w szkole; ona dochodziła do siebie.

Jednego tylko nie udało mu się póki co zrealizować: znaleźć sobie panny. Nie w tym rzecz, że nie szukał. Robił to nieustannie, rozglądał się, obserwował. Nie był jednak w stanie się zakochać – tak jak sobie tego życzyła matka. Jeśli już któraś z dziewcząt wydawała mu się miła i uśmiechnięta, jeśli można było założyć, że stanowiłaby świetną partię, prędko okazywało się, że mimo najszczerzej chęci serce chłopaka pozostawało obojętne na jej wdzięk. Gorzej: nie tyle nawet obojętne, co wręcz nieprzychylnie.

Nie mógł nic poradzić na to, że dziewczęta mu się nie podobały. Im bardziej wdzięczyły się do niego, tym bardziej go od siebie odstręczały. Ich rozwijające się piersi i biodra, fałdki tłuszczu w okolicach brzucha, zaróżowione policzki, miękkie usta, trzepoczące rzęsy – wszystko to wydawało mu się zwyczajnie brzydkie, nieapetyczne. Zupełnie inne niż twarde, umięśnione ciała chłopców. O ileż atrakcyjniejsze były silne ramiona i torsy, twarde i mocne dłonie, których koleżeński uścisk sprawiał, że Rudolf czuł cudowną przynależność do potężnej męskiej wspólnoty.

Aż owej soboty, kiedy w Sommerfeld rozłożyło się wesołe miasteczko, zauważył pośród spacerowiczów jedyną dziewczynę, która nigdy nie robiła do niego słodkich oczu – Katrin Dulke. Była

ładna i bardzo szczupła, bez tych wszystkich krągłości, które go brzydziły; miała nieco kanciastą sylwetkę. Katrin wydawała się raczej chłopięca niż kobieca, a przy tym mądra i poważna. Czasem myślał, że gdyby już musiał się z którąś umawiać, to jedynie z nią, więc zaczął zabiegać o jej względy. Tyle że ona jakby tego nie zauważała. Zapewne robił coś nie tak.

Jaka to byłaby ulga, gdyby znalazł sobie narzeczoną! Dla mamy i dla niego samego. Rzecz w tym, że nie miał pojęcia, jak się do tego zabrać. Czy trzeba wybrać się z kwiatami i wprost poprosić o to, żeby była jego dziewczyną? Czy najpierw chodzi się na randki, takie zwyczajne spotkania, rozmawia się i żartuje, a dopiero później zapadają te wszystkie ustalenia, wręcza się pierścionek i tak dalej?

Tak czy owak, Rudi uznał, że od czegoś trzeba zacząć: warto byłoby poznać ją bliżej. Od dawna szukał okazji, lecz ta jakoś się nie nadarzała – aż do tamtego dnia, przy strzelnicy. Chciał ustrzelić dla Katrin różę, przy okazji popisać się umiejętnością trafiania w sam środek tarczy, lecz ona nie została, by patrzeć – odeszła w stronę sprzedawcy waty cukrowej i nie odwróciła się nawet, gdy ta jej koleżanka wołała, by Katrin wraz z nią podziwiała, jak Rudolf świetnie strzela.

I wtedy wydarzyło się coś, co odebrało chłopakowi spokój. Coś, co sprawiło, że potem przez cały wieczór i pół nocy męczyły go irytujące myśli i duszne sny, a teraz w konsekwencji gorączkowo wycierał mokrym ręcznikiem szczypiące od moczu uda. Mianowicie kiedy oddał dwa strzały i podszedł do Katrin, stanął jak wryty. Jakby go ktoś zaczarował. Z trudnością rozpoznał te szare oczy, patrzące na świat odrobinę zadziornie, z wesołą ciekawością. Tę brązową czuprynę, włosy poskręcane w luźne kędziory, z którymi igrał majowy wiatr. Jasną, pogodną twarz,

dołeczek w brodzie, pełne usta, rozciągnięte w zawadiackim uśmiechu.

Peter Kessler. To był on, lecz jakże zmieniony! Już nie chudy, drobny chłopiec, z którym kiedyś bawił się mały Rudi, lecz młodzieniec – krzepki, silny, mocno zbudowany, nawykły do ciężkiej pracy, a przez to tak męski, że Rudolfa aż ścisnęło gdzieś w okolicach żołądka.

Peter patrzył na Katrin i wyciągał ku niej jakąś przybrudzoną szmatkę, a ona śmiała się do niego. Zresztą pał sześc, może się śmiać, ale on?! On wręcz pożerał ją wzrokiem. Jakby na całym wielkim świecie istniała tylko ona: jej jasne warkocze i niebieskie oczy, i chmurka waty cukrowej, którą skubnęła ustami.

Rudi poczuł ból, najprawdziwsze fizyczne cierpienie, kiedy dotarło do niego, że między tymi dwojgiem właśnie dzieje się coś, czego on pragnął, do czego dążył – i co nigdy nie było mu dane. Że oto Peter otrzymuje błogosławieństwo miłości od pierwszego wejrzenia, w dodatku z wzajemnością, a tymczasem Rudolf, choć obiecał matce, że znajdzie sobie dziewczynę, a samemu sobie, że ją pokocha – miał wciąż puste serce.

Od tego momentu jakby diabeł w niego wstąpił. Kiedy Kessler odszedł jak niepyszny, spłoszony uwagą o strzelaniu z wiatrówki, Rudolf wspiał się na wyżyny sztuki uwodzenia. Co prawda, nieszczególnie skutecznie, bo panna Dulke pozostawała obojętna na jego zaloty, natomiast jej koleżanka trzepotała rzęsami i tak często robiła buzię w ciup, że aż go mdliło.

Wreszcie udało mu się zostać z Katrin sam na sam, a wówczas zebrał się na odwagę i wyznał, że jest w niej zakochany, co oczywiście było wielką przesadą, lecz w owej chwili sam niemal w to wierzył. Bardzo chciał, żeby to była prawda i żeby ta

jasnowłosa dziewczyna zwróciła uwagę na niego, a nie na Petera Kesslera.

Dopiero wieczorem, gdy zrzuciwszy ubranie, wsunął się pod kołdrę, zamknął oczy i pozwolił obrazom minionego dnia swobodnie płynąć pod powiekami, zrozumiał wszystko z porażającą jasnością. Był zazdrosny. Lecz wcale nie o Katrin. Był zazdrosny o Petera.

*

– Dlaczego pytasz? – zainteresowała się Marlene, po raz kolejny zagadnięta przez przyjaciółkę o kuzyna.

– Bo to trochę dziwne – odparła Katrin na pozór lekko, choć nie zdołała ukryć rumieńca. – Większość chłopców garnie się do broni, a on otwarcie przyznał, że nie umiałby jej trzymać.

Trzecia z ich grona, Anna, weszła właśnie do zakładu szewskiego Oswalda Welza, by oddać do naprawy pantofelek z ułamanym obcasem. Marlene westchnęła i zajrzała przyjaciółce w oczy.

– No dobrze, powiem ci – zdecydowała. – Wiem, że potrafisz trzymać język za zębami.

Zawahała się, jakby nie będąc pewną, jakich słów powinna użyć, by właściwie opisać sytuację Petera.

– On jest innego wyznania – zaczęła szeptać. – Choć trudno określić jakiego, bo sam tego nie wie. Mama mówi, że w Prusach Wschodnich jest więcej takich jak on. W ich rodzinie z dziada pradziada wszyscy święcili sobotę, a nie niedzielę, jak my. I wszyscy odmawiali służby wojskowej.

– Więc Peter nie należy do Hitlerjugend?

– Nie, nie zapisał się.

Anna wyszła z zakładu i dołączyła do koleżanek, ruszyły więc dalej. Marlene przekrzywiła głowę, krytycznie oceniając brązowy

materiał w prążki wystawiony w witrynie jednego ze sklepów przy Breite Strasse.

– Nie miał z tego powodu kłopotów? – pociągnęła ją za język Katrin. – No wiesz, przecież wszyscy należą do organizacji. Jego rodzice nie musieli zapłacić grzywny?

– On nie ma rodziców – wyjaśniła Marlene. – Nie ma nikogo. Jedyłą jego rodziną jesteśmy my, ale odkąd zaczął pracować, rzadko u nas bywa. Wspominałam ci, mieszka w Leipe.

– Nie wiem, gdzie jest Leipe.

– To taka wieś ukryta w lasach – wtrąciła cichutko Anna, choć wcześniej wydawało się, że wcale nie słucha.

– Właśnie. Byłaś w Pforten, prawda? No więc to niedaleko. Jest tam karczma pana Lehmann. Peter u niego pracuje, bo Lehmann zaopiekował się nim po śmierci dziadka.

– Ale gdzie mieszka? W karczmie?

– Nie, skądże! Ma dom po dziadku, tyle że trochę zaniedbany. Moja mama twierdzi, że kiedy Peter się ożeni, zadba o gospodarstwo, ale dopóki to nie nastąpi, będzie żył jak typowy kawaler.

Marlene zaśmiała się, lecz już po chwili uśmiech znikł z jej twarzy.

– A tatko – dodała cicho – przestrzega go, żeby wreszcie przestał się wygłupiać z tą swoją religią, bo go w końcu zamkną w więzieniu. „To nie są czasy dla pacyfistów”, tak mówi. Niestety, Peter nie chce tego słuchać. Powiada, że jego przodkowie nie służyli w wojsku i on także służyć nie będzie. Martwimy się o niego, bo niedługo skończy dziewiętnaście lat, a wtedy będzie musiał wstąpić do Wehrmachtu. Przecież służba wojskowa jest obowiązkowa.

Katrin drgnęła na dźwięk słowa „pacyfista” – tak mówił o sobie jej ojciec, tak też określał dziadka. Wiedziała, że to jedna z tych rzeczy, o których lepiej milczeć. Czytała książkę Ericha Marii Remarque’a *Na Zachodzie bez zmian*, którą mama przechowywała na dnie szafy, ponieważ powieści owego pisarza zostały zakazane w Rzeszy, a Goebbels określił tego typu literaturę jako „śmieci i brudy dekadencckich żydowskich literatów, którzy deprecją męstwo i honor narodu niemieckiego”.

Z jakiegoś powodu ucieszyła ją myśl o tym, że chłopak o radosnym spojrzeniu, który tak nieporadnie zaczepił ją przy stoisku z watą cukrową, ma tyle wspólnego z jej rodziną. Zarazem jednak poczuła dobrze znany niepokój – o niego, o rodziców, o samą siebie.

– Więc może powinien uciec za granicę – zauważyła. – Tak robią Żydzi. On nie jest Żydem, prawda?

– Nie, skądże! – Marlene oburzyła się, jakby to była najohydniejsza obelga. Najwyraźniej jednak nie chciała dłużej o tym mówić, bo nagle zmieniła temat. – A powiedz mi... O czym rozmawiałś z Rudim, kiedy cię odprowadził?

– Ach, o niczym ważnym. Tylko o planach na przyszłość. – Ten zdradliwy rumieniec! Czyż musi się pojawiać za każdym razem, gdy Katrin mija się z prawdą? – Zwierzył mi się, że chciałby zostać pilotem.

– Naprawdę?! To niesamowite! Jest taki odważny! I dowcipny, prawda?! Znakomicie się bawiłam w niedzielę! Ustrzelił dla mnie różę! A potem nas odprowadził! Jaka szkoda, że nie mieszkam tam, gdzie ty... – Wyrzuciwszy z siebie pełen egzaltacji potok słów, Marlene znienacka spochmurniała. – Obawiam się, że Rudi bardziej lubi ciebie niż mnie. Zauważyłaś? Anno, ty na pewno musiałaś to dostrzec.

Anna pokiwała głową, ale minę miała taką, jakby błędziła myślami gdzieś daleko.

– Nie zwróciłam uwagi – odpowiedziała szybko Katrin, teraz już czerwona jak piwonia. – Zresztą to nie ma znaczenia, skoro ja się nim zupełnie nie interesuję.

Lecz Marlene i tak już straciła dobry humor. Przez dłuższą chwilę wszystkie trzy szły w milczeniu, nieuważnie zerkając na witryny mijanych sklepów. Wreszcie dotarły do Nicolaiplatz, nad którym górował kościół pod wezwaniem św. Mikołaja. Tutaj miały się rozdzielić. Anna mieszkała niedaleko, przy Naumburger Strasse, Katrin zamierzała skręcić w lewo i przez łąki dotrzeć do mostu na Lubst, zaś Marlene planowała odwiedzić u stryjenki w Schönfeld.

– Poza tym zmieniłby zdanie, gdyby się dowiedział, że jesteś pół-Polką. Nie mówiąc już o poglądach twojego ojca... – zaczęła znów przyjaciółka, jakby sama do siebie. Wtem urwała, nagle spłoszona i zmieszana. – Ale ode mnie niczego się nie dowie, nie bój się!

Anna rzuciła dziewczynom spojrzenie z ukosa. Jako Serbołużyczanka była bardzo wrażliwa na kwestię pochodzenia. Swoim zwyczajem nie odezwała się ani słowem, jednak w jej oczach pojawiła się czujność, z jaką patrzą przestraszone, zaszczute zwierzątka.

Katrin także struchlała. Dotychczas ufała Marlene, ale teraz, obserwując, jak tamta mieni się na twarzy, niczego już nie była pewna. Czyżby przyjaciółka zamierzała donieść na jej tatę? Jacob Dulke nie działał wprawdzie w żadnej organizacji, lecz swego czasu rozlepił w mieście plakaty nawołujące do protestu przeciwko aresztowaniu Carla von Ossietzky'ego, znanego w Niemczech pacyfisty, a na dnie szafy przechowywał zakazane obecnie książki i czasopisma. Wystarczyłoby, żeby Marlene

wysłała anonimowy donos do Gestapo, a rodzina Dulke znalazłaby się w poważnych tarapatach. Czy byłaby w stanie tak postąpić? Czy zakochana dziewczyna może zrobić takie świństwo koleżance? Czy zazdrość i zraniona duma wystarczyłyby, aby obrócić wniwecz wieloletnią przyjaźń?

Wracając do domu, Katrin z bólem rozmyślała o tym, co dziś zobaczyła. Na pozór niewiele znaczący drobiazg: zmarszczone brwi, popłoch, zakłopotanie i to badawcze spojrzenie – zaledwie ułamek sekundy, kiedy pytający wzrok Marlene spoczął na twarzy przyjaciółki, sprawdzając, czy ona widziała. Czy zauważyła tę gotowość do zdrady, do zaprzędania łączącej je więzi w imię miłości do chłopca, który niekoniecznie jest tego wart.

Tak, Katrin zauważyła. Dostrzegła w porę i natychmiast zrozumiała, co to oznacza. Tego wieczoru, zasypiając, modliła się o to, żeby Marlene okazała się lojalną przyjaciółką i nie zrobiła użytku z tego, co wie o jej rodzinie.

Niestety, Bóg był widocznie zbyt zajęty, by wysłuchać próśb dziewczyny, bo kilka dni później ojciec, wróciwszy do domu, usiadł przy kuchennym stole i nie czekając, aż Urszula poda mu posiłek, z ciężkim westchnieniem wyrzucił z siebie:

– Wszystko wskazuje na to, że powinniśmy czym prędzej wyjechać.

– Dlaczego? Co się stało? – Urszula zaniepokoiła się, słysząc smutek w jego głosie. – Coś się wydarzyło?

– Nie, jeszcze nie. Ale coś się może wydarzyć. Nie jesteśmy już bezpieczni.

Katrin, która właśnie weszła do kuchni z kubkiem po herbacie, zakryła usta dłonią.

– Wiedziałam – jęknęła z rozpaczą. – Spodziewałam się tego.

Rodzice skierowali na nią spojrzenia.

– Czego się spodziewałaś? Ktoś ci dokuczał?

– Nie, nikt... Nic się nie stało.

– Więc skąd takie myśli?

– Bo... – zająknęła się. – Z każdym dniem coraz więcej tego...

Tej wrogości, nienawiści, pogardy. Dziś słyszałam rozmowę dwóch chłopców. Jeden z nich opowiadał o swym dziadku mieszkającym w Posen. Był tam z wizytą i użył określenia „polski brud”. – Na szczęście Katrin nie musiała kłamać, bo rzeczywiście była świadkiem takiej wymiany zdań. – Mamo, musiałybyś słyszeć, z jaką pogardą wymawiał te słowa. Jakby to była największa obrzydliwość!

W oczach dziewczyny błysnęły łzy. Nigdy dotąd nie chciała nawet myśleć o tym, aby wyjechać z Sommerfeld, lecz kilka dni temu, widząc nieszczerze zachowanie osoby, którą dotąd uważała za przyjaciółkę, zrozumiała, że w kraju rządzonego przez Hitlera rodzina Dulke nie może się czuć bezpiecznie.

Ojciec nie wyjaśnił, co dokładnie się stało, skąd ta nagła decyzja, jednak między wierszami żona i córka wyczytały, że ktoś doniósł lokalnym władzom, jakoby był aktywnym opozycjonistą i sympatyzował z komunistami. Jeden z jego starych przyjaciół, niejaki Franz Weber, dawniej pracownik cegielni, a obecnie funkcjonariusz SA, okazał się na szczęście człowiekiem na tyle przyzwoitym, że ostrzegł Jacoba, aby ten miał się na baczności, bo jest pod obserwacją. Zupełnie bez znaczenia pozostawały gorące zapewnienia ojca Katrin, że żadnej działalności opozycyjnej nie prowadzi. Został wciągnięty na listę osób podejrzanych i w związku z tym nie był bezpieczny.

– Ktoś, kto cię nie lubi, może zeznać, że opowiadałeś dowcipy o Hitlerze – szepnął mu Weber. – A tyle im w zupełności wystarczy. Znasz przecież ustawę sprzed czterech lat, tę o zdradzie stanu. Nie jesteś członkiem partii, a samo to już wydaje się szemrane. Na twoim miejscu nie żartowałbym za dużo przy piwie z kolegami...

– Nie opowiadam dowcipów, nie chodzę do knajpy, a piwo piję wyłącznie w domu – odparł ponuro Jacob, ale doskonale wiedział, że jego zapewnienia nie mają żadnej wartości.

Zapadła więc decyzja o wyjeździe. Niby nic nowego, wcześniej rozmawiali o tym już tyle razy... Okazało się jednak, że o ile łatwo snuć luźne plany, o tyle podjęcie decyzji to zupełnie inna sprawa. Początkowo Jacob robił dobrą minę do złej gry, a jego plecy wyprostowały się, jakby zdjęto z nich niewidzialny ciężar.

– Doskonale! – powiedział raźnie, zacierając ręce. – Myślałem o tym już od dłuższego czasu. Świat jest taki wielki, a my maleńcy. Zdołamy się ukryć przed tą potworną machiną nienawiści. Całe to szaleństwo kiedyś przeminie, zobaczycie... Jeszcze nadejdą lepsze czasy.

Jego optymizm udzielił się żonie i córce. Obie odetchnęły z ulgą, widząc męża i ojca tak pełnego werwy i zapału. Lecz gdy przyszło do ustalania szczegółów, pojawiły się problemy. Przede wszystkim – dokąd się udać?

– Od dawna mówię, aby jechać do Gdańska – powtarzała Urszula. – Mój tata znajdzie jakiś sposób, byśmy wszyscy mogli stamtąd popłynąć do Ameryki. Tylko na to trzeba naprawdę dużo pieniędzy – zamyśliła się – a żeby je mieć, musimy wszystko sprzedać.

– A jeśli jednak za jakiś czas zechcemy tu wrócić? – zaproponował Jacob, któremu wyzbycie się ojcowizny wydało się nagle czymś

w rodzaju zdrady.

Sam wcześniej wielokrotnie namawiał do tego żonę i córkę, ale teraz, gdy miała zapaść ostateczna decyzja, odkrył, że serce mu krwawi na myśl o kimś obcym, kto miałby gospodarzyć w miejscu pamiętającym jeszcze rękę jego pradziadka.

– Więc co proponujesz? – zniecierpliwiła się Urszula.

– Moglibyśmy nie sprzedawać domu, tylko oddać komuś pod wynajem, a sami wyjechać do Prus Wschodnich. Wiesz przecież, że mam tam rodzinę.

– Tylko co to zmieni? – Katrin nie rozumiała ojcowskiego toku myślenia. – Prusy Wschodnie to także Rzesza, tato. Czy tu, czy tam, będziemy się czuli jednakowo zagrożeni. Swego czasu korespondowałeś z działaczami z Berlina... Co, jeśli któryś z nich zostanie aresztowany i przesłuchany, a nie daj Boże podczas śledztwa, zapytany o współpracowników, poda twoje nazwisko? Jeśli naziści nas sprawdzą, połączą to z polskimi korzeniami mamy, natkną się na informacje o patriotycznej działalności dziadka w Danzig... Wówczas wszystkich nas zamkną w więzieniu.

– Może po prostu napiszę do ojca – zamknęła dyskusję Urszula, która czuła coraz większy ucisk w okolicy serca. – On najlepiej wie, jak wygląda sytuacja w Gdańsku. Poza tym prowadzi także korespondencję z księdzem Domańskim ze Związku Polaków w Niemczech. Może nam coś doradzi.

Nigdy dotąd nie bała się tak bardzo, zupełnie jakby dotychczasowa beztraska postawa Katrin oraz jej upór, by nie wyjeżdżać z Sommerfeld, stanowiły gwarancję bezpieczeństwa. Jednak teraz, widząc strach córki, Ula poczuła, że zaczyna ją ogarniać panika. To było straszne uczucie: nie mieć pewności co

do kolejnego dnia, tygodnia czy miesiąca i lękać się przyszłości, choć sumienie miało się czyste.

– Jedno jest pewne – zakończyła, starając się, by to zabrzmiało pogodnie. – Jeśli mamy cokolwiek przedsięwziąć, to musimy to gruntownie przemyśleć. Żadnych pochopnych decyzji podyktowanych strachem. Trzeba być przygotowanym na to, że możemy nie mieć odwrotu.

Jak bardzo wszystko może się zmienić w ciągu zaledwie kilku dni! Katrin zamierzała szukać pracy – a przynajmniej taki plan miała jeszcze przed tygodniem. Długo o tym myślała. Za namową rodziców w końcu postanowiła zrezygnować z dalszego kształcenia, wychodząc z założenia, że w niemieckim systemie edukacji nie znajdzie już nic dla siebie. Uznała więc, że przyszła pora, by dorosnąć. Wprawdzie Hitler nie pochwalał sytuacji, kiedy to niemieckie kobiety pracowały; uważał, że ich obowiązkiem wobec ojczyzny jest wyjść za mąż i poświęcić się wychowywaniu dzieci, lecz na Katrin taka wizja działała dokładnie odwrotnie – im więcej o tym słyszała, tym bardziej pragnęła zacząć zarabiać, stać się nowoczesną dziewczyną, niezależną i samodzielną.

Wiedziała, że jeśli nie znajdzie posady, zostanie przymusowo zatrudniona w ramach tak zwanego Roku Służby Domowej – i będzie niemalże służącą u jakiejś *Frau* z kilkorgiem pociech. A to nie uśmiechało jej się ani trochę.

Brała pod uwagę pracę jako sekretarka w którymś z licznych lokalnych zakładów, na przykład w fabryce motocykli i rowerów „Cursy”, w „Sommerfelder Textilwerke” albo w browarze Müllera. Jeszcze w szkole zapisała się na naukę maszynopisania i otrzymała dyplom najlepszej kursantki, spodziewała się zatem, że bez trudu znajdzie zatrudnienie. Rozważała także pracę

w księgarni pana Freye albo w sklepie kawowym Anny Haber, ponieważ w obu tych miejscach pięknie pachniało. Był jeszcze sklep z zabawkami lub parasolniczy, a ostatecznie mogłaby zarabiać jako kelnerka w restauracji Sachtleben. Albo zajmować się mieszkańcami domu opieki, który od niespełna dziesięciu lat działał w dawnym zamku Kotvitzów. Czuła, że los podsuwa jej pod nos mnóstwo możliwości, a ona ma prawo próbować ich z ciekawością, jakby to były czekoladki z bombonierki. Nie miała nawet osiemnastu lat, więc niewiele jeszcze wiedziała o życiu, lecz jednego była pewna: nie zadowalało jej pełnienie ról, jakie pragnęła kobietom przypisać NSDAP. Chciała czegoś więcej. Marzyło jej się życie spokojne i bezpieczne, lecz zarazem pełne szans. Mogłaby trochę popracować, odkładać pieniądze, a za jakiś czas przeprowadzić się do Poznania i zaznać życia w dużym mieście. Czuła się zarówno Polką, jak i Niemką, dobrze by się jej żyło po obu stronach granicy.

No tak, ale te marzenia dotyczyły świata, w którym była bezpieczna. Teraz nagle wszystko to się zmieniło. Katrin straciła zapal, by zająć się czymkolwiek; jedynym, o czym była w stanie myśleć, stała się konieczność przeprowadzki. Ów brak wyboru przygnębiał ją i przejmował lękiem. Nigdy nie wyjeżdżała dalej niż do Grünbergu, a tymczasem teraz czekała ją podróż w nieznaną – i nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby nie fakt, że ów wyjazd w swej istocie był ucieczką. A przede wszystkim – gdyby wiedziała, że po trudach wędrówki będzie mogła wrócić do ukochanego domu, pobiec tak dobrze znaną ścieżką tonącą w zieleni, złapać za chłodną klamkę wyslizganą dłońmi bliskich ludzi, poczuć jedyny w swoim rodzaju zapach unoszący się w sieni, a potem znaleźć się w swym panińskim pokoiku, położyć

na najwygodniejszym w świecie – bo własnym – łóżku i oprzeć głowę na ulubionej poduszce!

Nocami zaczęły prześladować ją koszmary. Biedna Katrin śniła gęste, mroczne sny o tunelach, z których już nigdy miała nie wyjść na słońce, o splątanych sieciach rybackich pętających jej nogi, gdy brnęła po pas przez jakąś wielką wodę. Któregoś ranka zdecydowała się porozmawiać o tym z matką.

Urszula próbowała uspokoić rozdygotaną córkę.

– To dlatego, że boisz się podróży przez ocean. Strach zawsze wyolbrzymia zagrożenie, kochanie.

– Ale mamu, jak miałabym się nie bać? Przecież właśnie dlatego wyjeżdżamy! Ze strachu, prawda?

Matka spoważniała i przez chwilę w milczeniu wycierała umyte naczynia. Potem odłożyła ścierkę i usiadła przy kuchennym stole naprzeciwko Katrin.

– Kilka lat temu świat stanął w obliczu wielkiego kryzysu – powiedziała. – Nie pamiętasz tego, prawda?

Katrin pokręciła głową. Wyrażenie „kilka lat temu” było czymś niekonkretnym, a dla niej oznaczało dzieciństwo i bez troską zabawę. Cokolwiek złego wówczas działo się na świecie, ona pozostawała w błogiej nieświadomości.

– A ja pamiętam doskonale – podjęła Urszula. – Zapadły mi w pamięć twarze ludzi, którzy z dnia na dzień tracili dorobek całego życia. Przeistaczali się w nędzarzy, uwikłanych w długie niemożliwe do spłacenia. Pieniądze, które zaoszczędzili, stawały się warte mniej niż gazeta. Pamiętam, jak zamykano tkalnie i cegielnie. Baliśmy się z tatą, jak sobie poradzimy, jeśli i on straci źródło dochodu. Napisałam wówczas do dziadka z zapytaniem, czy dla twojego taty znajdzie się praca w Danzig. Wiesz, co mi odpowiedział? Że oczywiście nam pomoże, jeśli zajdzie taka

potrzeba. Ale przede wszystkim: nie dajcie się panice. Tak napisał. Miejcie otwarty umysł. Jeśli nie cegielnia, to może sklep. Jeśli nie sklep, to może stoisko na targu. Trzeba po prostu trwać, nie dać się złamać. I zacytował pewnego amerykańskiego męża stanu. „Jedyną rzeczą, której należy się bać, jest sam strach”. Zapamiętaj te słowa, Kasiu.

Katrin nie do końca zrozumiała wywód matki, ale pokiwała głową, dopiła kawę z mlekiem i – umywszy kubek – poszła do sklepu tekstylnego, by kupić materiał na nowy fartuszek, ponieważ stary pobrudziła konfiturą jagodową, a brzydkich plam nie dało się wywabić.

Tym, czego należy się bać, jest strach, powtarzała sobie w duchu. Co mama przez to rozumie? Dlaczego kazała zapamiętać ten cytat? Czy ma na myśli to, że strach paraliżuje człowieka i odbiera zdolność jasnego myślenia? Sprawia, że w popłochu podejmuje się błędne decyzje? A może chodziło jej raczej o to, że strach nas odczłowiecza, odbiera nam godność? O tym pisał dziadek Karl w listach z frontu...

I nawet jeśli tak, jeśli właśnie o to mamie chodzi – to co z tego wynika dla rodziny Dulke? Mieliby przestać się bać? Czy raczej udawać, że nie czują strachu? To by oznaczało, że tu zostaną i pozwolą życiu płynąć. Pogodzą się z tym, że ludzie wezmą ich na języki, że prędzej czy później ktoś nazwie Katrin obywatelką gorszej kategorii, bo przecież w jej żyłach płynie nie tylko germańska, ale i słowiańska krew; że ktoś rzuci w nią albo w jej mamę kamieniem, doszuka się dowodów antypaństwowej działalności ojca... Marlene będzie udawała, że nie zna dawnej przyjaciółki, a Rudolf, zamiast wyznawać jej miłość, będzie okazywał obrzydzenie...

No, to ostatnie akurat niespecjalnie by Katrin zabolalo. W rzeczywistosci romantyczne wyznania Rudiego wydawaly sie jej bardziej przerazajace niz ewentualna niechec. Dziewczyna nie miala pojecia o miosci, lecz instynktownie wyczuwala, ze moze ona byc sila, ktora nie tylko tworzy cos pieknego, ale potrafi takze niszczyc. Zwlaszcza gdy jest to miosc odrzucona.

Dotarlszy wreszcie do sklepu z tekstyliami, weszla do srodka i zatrzymala sie przy belach lekkiej, kolorowej bawelny. Mama dbala o to, aby Kasia byla samodzielna, dlatego zlecla jej wybor tkaniny i uszycie fartuszka wedlug wlasnego pomyslu. Podobnie postepowala z innymi domowymi czynnościami: raz w tygodniu oddawala corce stery w kuchni, a poza tym angazowala dziewczynę do prac ogrodowych.

– Masz prawie osiemnaście lat – tłumaczyła. – W twoim wieku wiele panien zaręcza się i zaczyna gromadzić wyprawkę. To już dorosłość, kochanie.

Katrin nie miała nic przeciwko temu, by stać się dorosłą, choć o gromadzeniu wyprawki nie myślała wcale. Nigdy nie była zakochana, wydawało jej się nawet, że miosc to moze tylko wymysl poetow, skoro ona sama nie odczuwala chooby najlzejszego drgnienia serca na mysl o tym, ze ktos mialby ja pocalowac.

Wreszcie udalo sie jej wybrac odpowiedni material: zdecydowala sie na drobną różową kratkę. Wiedziala, ze to wybor nieszczegolnie praktyczny, bo na tak jasnym deseniu bedzie widać kazda kuchenna plame – lecz nie mogla sie oprzec urokowi tkaniny. Zadowolona wyszla ze sklepu i jeszcze przez chwile czula drobną radosc z udanych zakupow. Lecz zaraz za rogiem, na poczatku Bahnhofstrasse, te emocje minely; natknela sie tam na mezczyzne przyklejajacego na slupie ogloszeniowym plakat

z ohydną karykaturą Polaka jako sługusa Anglii, knującego atak na Niemcy – i dobry nastrój prysł jak bańka mydlana.

Cóż z tego, że był maj, wiatr pachniał rozgrzaną łąką, a pogodne przedpołudnie rozbrzmiewało wesołym gwarem przechodniów i śmiechem dzieci? Tuż za horyzontem czaił się mrok, a Katrin poczuła jego obecność niemal namacalnie. Po co jej fartuszek w biało-różową kratkę, skoro nie wiadomo nawet, czy dane jej będzie go włożyć i ugotować obiad dla tych, których kocha?

Czym prędzej ruszyła przed siebie i skręciła w Pfortener Strasse, mijając po drodze dom Marlene. Przez chwilę odczuwała pokusę, by po dawnemu zajrzeć do niej i zwierzyć się z niewesołych myśli, lecz niemal natychmiast przypomniała sobie tamtą okropną sytuację: poczucie winy na twarzy koleżanki i zmieszanie w jej oczach, jakby ze wstydem odsuwała od siebie jakiś podły zamysł.

Katrin minęła bramę kamienicy, czując w sercu ukłucie żalu na myśl o tym, że oto grubą kreską oddziela dotychczasowe życie od tego, które dopiero ma nastąpić – jakby skończył się czas beztroskiego dorastania, w którym było miejsce na bezgraniczną ufność i przyjaźń, nienaruszalną, świętą i wieczną. Teraz wszystko musiało się zmienić: zamiast dzielić się każdą myślą, zwierzać się z radości i smutków, należało milczeć i obserwować, wyzbyć się zaufania, stać się skrytym, a może nawet przebiegłym.

Na najbliższą sobotę Jacob Dulke zapowiedział wizytę ewentualnego nabywcy – niejakiego pana Robensa ze wsi Leuthen, który wstępnie wyraził zainteresowanie kupnem domu. Miał się zjawić na oględziny, toteż od rana trwało wielkie sprzątanie. Około południa, gdy wnętrza już lśniły, ścieżka od frontu została zamieciona z przekwitłych kwiatów, a w kuchni

pachniało ciastem drożdżowym, Katrin oznajmiła, że woli wyjść z domu.

– Nie chcę na to patrzeć – wyjaśniła. – Wiem, że to konieczne i że dla własnego dobra musimy wyzbyć się sentymentów, ale na samą myśl o tym, że ktoś będzie oglądał nasze meble, siadał na naszych krzesłach, przymierzał się do czytania w fotelu taty... Chce mi się płakać. Wolę pójść na spacer, bo jeśli mam się rozkleić, to lepiej, żeby nikt nie widział moich łez.

– Ale cóż znowu! Po co płakać! – zawołała Urszula, choć sama z trudem panowała nad emocjami. – Czy nie lepiej potraktować przeprowadzkę jako nowy rozdział, początek przygody? Wyobraź sobie, Kasiu, jak ja się bałam, kiedy dziewiętnaście lat temu opuszczałam ukochany Gdańsk, by udać się w zupełnie nieznaną stronę, w dodatku do Niemiec! A przecież ta decyzja okazała się jedną z najszcześniejszych w moim życiu!

– Tak, mamo, rozumiem – odparła Katrin z rezygnacją. – I wiem doskonale, co jest najważniejsze: rodzina, bezpieczeństwo, spokój. Nie meble i sprzęty, choćby najulubieńsze... I nie jabłonka w ogrodzie, którą posadził jeszcze pradziadek, nie zapach powideł, które szykujesz każdej jesieni... Wiem, wiem.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z domu, zatrząskując za sobą furtkę. Szła coraz szybciej, aż wreszcie zaczęła biec ścieżką wzdłuż Lubst w kierunku Merke, niemal do utraty tchu, nie bacząc na to, że wkracza na nieprzyjemny, podmokły teren i okropnie ubłoci sobie buty. Zrazu szlochała tak, że aż zakłuło ją w płucach i w okolicy serca, potem jednak stopniowo zaczęła się uspokajać. Wtedy zwolniła nieco i już spokojniejsza doszła do rozstaju dróg. Teraz mogła powędrować dalej, w stronę Merke, Seebigau albo Pforten. Nie mogąc się jednak zdecydować, usiadła na wilgotnej trawie i podciągnęła kolana pod brodę.

Łzy obeschły, lecz serce wciąż bolało. Myśl o tym, że zapewne właśnie teraz ten kupiec z Leuthen ogląda ich dom, była nieznośna. Czy przywiózł ze sobą żonę? Może ta żona przechadza się po pokojach i krytycznym okiem ocenia gospodarstwo, a tym samym rękę jej matki? Planuje, co zmieni, gdzie postawi stół, jakim nakryje go obrusem?

– Dzień dobry!

Wesołe powitanie, które dobiegło zza pleców Katrin, omal nie przyprawiło jej o atak serca. Odwróciła się i ujrzała chłopaka, który niedawno zaczepił ją w wesołym miasteczku.

– Katrin – powiedział, z wyraźną przyjemnością wymawiając jej imię. – A ja jestem Peter. Pewnie mnie nie pamiętasz.

Był bardzo bezpośredni. Uśmiechał się do niej jak do starej znajomej, a po chwili wahania podszedł i usiadł na trawie. Niby obok, jednak z zachowaniem takiej odległości, że dziewczyna nie poczuła się zakłopotana.

– Pamiętam cię – odpowiedziała, zastanawiając się, czy jest spuchnięta od płaczu. – Kuzyn Marlene. Ten, który zamiast niedzieli święci sobotę.

– O, więc nie tylko mnie pamiętasz, ale nawet co nieco o mnie wiesz – zdziwił się chłopak. – To odrobinę niesprawiedliwe.

– Co jest niesprawiedliwe? – Katrin poczuła się dotknięta, choć zupełnie nie rozumiała, co właściwie się jej zarzuca. – Mógłbyś wyrażać się jaśniej?

Peter przekrzywił głowę niczym szczeniak, który wsłuchuje się w wysoki, piszczący dźwięk. Wyglądał tak zabawnie, że nie dało się nie uśmiechnąć.

– Jesteś zdenerwowana – stwierdził. – I chyba płakałaś. Tylko tym mogę sobie wytłumaczyć fakt, że nie rozumiałaś mojego doskonałego żartu.

Patrzyła wyczekująco, bo przecież powinien wyjaśnić, o co mu chodzi.

– niesprawiedliwe jest to, że ty coś o mnie wiesz – zaczął w końcu – a ja o tobie nie wiem zupełnie nic! Poza imieniem, oczywiście. I poza tym, że budzisz zainteresowanie Rudolfa Hertza. Jesteś jego narzeczoną?

Katrin potrząsnęła gwałtownie głową.

– Nie! – odparła szybko, nie wiedząc, że ten pośpiech był niczym miód na serce chłopaka. – Absolutnie! Ja... On mnie tylko odprowadził. Nawet się nie przyjaźnimy.

W odpowiedzi usłyszała mruknięcie – coś, czego nie dało się zrozumieć. Może nawet nie było to żadne konkretne słowo, lecz Katrin zinterpretowała je jako wyraz aprobaty. Peter spuścił głowę i przez chwilę grzebał małym patyczkiem w ziemi. Dziewczyna obserwowała go kątem oka. Miał podniszczone ubranie; rękaw koszuli nosił ślady wielokrotnego obrębiania, nogawki były postrzępione, a brązowe buty straszyły „głodnymi” noskami. A mimo to podobał jej się znacznie bardziej niż wymuskany, elegancki Rudi. Z przyjemnością wodziła wzrokiem po jego niesfornej czuprynie o barwie ciepłego brązu, całkiem jak kapelusze podgrzybków; patrzyła na zamyślane, poważne czoło, prosty nos i brodę z małym zagłębieniem, jakby w tym miejscu ktoś kiedyś za mocno nacisnął palcem.

– No więc nie wiem o tobie nic – podjął po chwili i skierował na nią żarliwe spojrzenie szarych oczu, a wtedy Katrin w popłochu odwróciła wzrok. – Nic poza tym, że jesteś taka ładna i zupełnie z innego świata. Jakbym stał przed witryną sklepu Elsbeth Dittmann i gapił się na najładniejszą lalkę... Ze świadomością, że nigdy nie będę jej miał.

– Nie jestem lalką! – obruszyła się. – I nie można mnie „mieć”.

Zerwał się z trawy i nerwowo otrzepał siedzenie, jakby wystraszony, że ją uraził, ale już po chwili usiadł ponownie. Dopiero teraz Katrin zauważyła, że jest bardzo stremowany. Dłonie drżały mu lekko.

– Przepraszam, źle się wyraziłem! – zawołał. – Zupełnie nie o to mi chodziło! Próbuję po prostu wyznać, że... Że myślę o tobie nieustannie od czasu naszego spotkania w wesołym miasteczku. Pan Lehmann, u którego pracuję, mówi, że zachowuję się jak pszczoła okadzona dymem albo jak stary Ketler, gdy wypije za dużo piwa... – Chłopak roześmiał się, a wówczas jego twarz stała się jeszcze sympatyczniejsza. – Że straciłem rozum, całkiem utonąłem w twoich oczach. I chyba ma rację. Myślę, że... że się w tobie zakochałem.

Katrin milczała, a jej serce waliło jak oszalałe. Nie mogła tylko zrozumieć, dlaczego nie czuje się tak niezręcznie jak wtedy, gdy podobne uczucia wyznawał jej Rudolf. Dlaczego wówczas chciała uciec, teraz zaś pragnęła słuchać dalej. I jeszcze... pragnęła wyznać Peterowi, że i ona o nim myślała. Że nagabywała Marlene o kuzyna, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej. Że podobają jej się jego szare oczy.

– Ja, kiedy chcę się czegoś dowiedzieć, po prostu pytam – odezwała się, kiedy zamilkł. – Mówisz, że nic o mnie nie wiesz... Kto ci broni...?

Podniósł wzrok, rozjaśniony od uśmiechu.

– Trochę pytałem – przyznał, odrobinę zawstydzony. – W karczmie, gdzie pracuję, pojawia się sporo gości, nie tylko przejezdnych, ale też miejscowych. Niby od niechcienia, tu i ówdzie zarzucałem przynętę. Ale połów był marny.

– To znaczy? – zapytała z niepokojem, bo przyszło jej do głowy, że może ktoś plotkował o jej ojcu. – Czego się dowiedziałeś?

– Że twój tata pracuje w cegielni. Że mieszkacie w tym białym domku, kawałek drogi za boiskiem i rzeźnią miejską, nad Lubst – wyrecytował. – I że nabiłaś śliwkę pod okiem Grecie Heine...

– Och, to było siedem lat temu! – przerwała mu ze śmiechem. – I nie nabiłam jej śliwki, tylko odepchnęłam! Ona zaś upadła, uderzając twarzą w róg ławki. To nie była moja wina!

– No tak, całkiem normalne zachowanie – przyznał, mrugając łobuzersko. – Grzeczne dziewczynki często popychają koleżanki.

– Nie, ale też koleżanki nie powinny wyrywać skrzydełek motylom, żeby je wkleić do sztambucha!

– A więc jesteś obrońcą motyli!

Przekomarzali się ze śmiechem, dziwiąc się, że czują się w swoim towarzystwie swobodnie, jakby znali się od lat. Peter patrzył roziskrzonym wzrokiem na usta Katrin, tak delikatne, jakby zrobiono je z jedwabiu.

– Dziś jest właśnie sobota – powiedział, nagle poważniejąc. – Jedyne dnia, kiedy mogę tak po prostu przyjść do Sommerfeld, snuć się uliczkami i szukać cię wzrokiem wśród przechodniów. Byłem w ubiegłym tygodniu i w zaprzesłym, ale mi się nie poszczęściło. Odwiedziłem też Marlene, lecz...

Urwał. Katrin zaczerwieniła się, jakby to ona zachowała się nieładnie wobec przyjaciółki, nie zaś na odwrót. Rzuciła chłopcu ukradkowe spojrzenie i przekonała się, że przygląda się jej badawczo, jakby sprawdzał jej reakcję na dźwięk imienia kuzynki.

– Nie widziałyśmy się od dawna – przyznała.

– Tak, wiem. I tylko nie jestem pewien, czy powinienem cię zapytać dlaczego.

– A jej nie zapytałeś?

Skrzywił się leciutko, jakby wspomnienie tej rozmowy z Marlene sprawiło mu przykrość.

– Zapytałem – przyznał. – Tyle że odpowiedź niekoniecznie mi się spodobała.

– Powtórzysz mi?

Odwrócił wzrok. Czyżby zamierzał skłamać? A może raczej zataić to, co usłyszał?

– Peter – szepnęła Katrin. – Bądź ze mną szczery. Nie powoduje mną pusta ciekawość. Pytam, bo... niedyskrecja twojej kuzynki może przynieść zgubę mojej rodzinie.

Chłopak westchnął ciężko, a potem spojrzał jej błagalnie prosto w oczy.

– Nie chciała źle. Jestem pewien, że nie miała złych intencji. Wiedziała, że można mi zaufać. Jestem przecież... Jestem jej krewnym. A poza tym moje poglądy stawiają mnie w podobnej sytuacji...

Urwał. On boi się tak samo jak ja, przeszło przez głowę Katrin. Tak samo czuje się niczym zwierzę schwywane w pułapkę, jest bezradny i nie wie, komu może zaufać. Tyle że jemu grozi niebezpieczeństwo nie ze względu na pochodzenie, lecz zasady, które wyznaje.

– Wiem jedynie, że twoja mama jest Polką – podjął Peter szeptem, jakby mogły ich podsłuchać drzewa rosnące przy drodze. – A tata... niezupełnie zgadza się z tym, co...

Katrin zerwała się na równe nogi.

– Jeśli powiedziała tobie, pewnie zaczęła rozgadywać na prawo i lewo! – zawołała z rozpaczą. – To tylko kwestia czasu, kiedy ludzie nas odrzucą, zaczną w nas widzieć wrogów! Czeka mnie to samo, co małą Esterę, córkę Blaumów... Widziałam to na własne oczy! Pewnego dnia dzieci, które wcześniej bawiły się z nią na podwórku, zaczęły w nią rzucać kamieniami. Bo któreś z nich zawołało „brudna Żydóweczka”. Rozumiesz?! Po prostu ktoś

zaczął, a inni bezmyślnie powtarzali. Jeden z kamieni uderzył ją w usta. Biedna Estera, zakrwawiona i przerażona, uciekła z płaczem do domu, a ja nie miałam odwagi... Nie miałam odwagi... Patrzyłam na to z drugiej strony ulicy. I było tam tylu przechodniów, a nikt nie zareagował.

Peter słuchał z kamienną twarzą. Milczał, a Katrin wydało się, że tym milczeniem ją oskarża.

– Miałam tylko piętnaście lat! – zawołała. – Słyszysz?! Dorośli nic nie zrobili, więc...

Teraz i on wstał, a po chwili wahania podszedł do dziewczyny i chwycił jej dłonie. Przez kilka sekund po prostu na nie patrzył, jakby nie dowierzał, że można mieć takie delikatne, szczupłe palce, a potem stulił je, zwinął w drobne pięści i przycisnął sobie do piersi. Sam siebie podziwiał, że znalazł w sobie dość odwagi, by to zrobić.

– Ani ty, ani ja nie możemy nic poradzić na to, co się dzieje w sercach i głowach innych ludzi – powiedział z mocą. – Nie możesz też czuć się winna, że nie pomogłaś tej dziewczynce. Gdybyś to zrobiła, sama stałabyś się ofiarą.

– A jednak do dziś mnie to dręczy – wyznała, dziwiąc się, że nie przeszkadza jej dotyk jego rąk, nie odczuwa go jako czegoś niewygodnego, co chciałoby się przerwać. – Tydzień później państwo Blaum wyjechali. Wtedy chyba nie rozumiałam, co musieli przeżywać, zostawiając dom i wszystkie te oswojone miejsca... Dopiero teraz, gdy sama muszę...

Urwała i rzuciła mu spłoszone spojrzenie, a potem wyrwała dłonie z jego uścisku i odwróciła się, chcąc opanować emocje. Peter potrafił to uszanować, nie podszedł już, wręcz przeciwnie – cofnął się o krok.

– „Sama muszę”? – powtórzył głucho. – Czy dobrze zrozumiałem, że musisz wyjechać?

Katrin pokiwała głową. Udało jej się powstrzymać łzy, lecz obawiała się, że jeśli zacznie o tym opowiadać – znów się rozszłocha. Nie powinna była otwierać się przed tym chłopcem, mimo że z oczu patrzyło mu samo dobro; nawet jeżeli on sam znajdował się w niewiele lepszej sytuacji niż jej rodzina. I nawet jeśli rzeczywiście był w niej zakochany.

– Czas na mnie – powiedziała prędko, a ponieważ usłyszała, że Peter nabiera powietrza, aby o coś zapytać, i domyśliła się, że chciałby ją odprowadzić, dorzuciła: – Pewnie tata po mnie wyjdzie, bo będzie się niepokoił.

Odważyła się w końcu odwrócić i spojrzeć na chłopaka. Stał z opuszczonymi ramionami, jakby uszło z niego powietrze. Patrzył na nią bezradnie. Jej serce na ten widok ścisnął dziwny żal.

– Mogę tu przyjść w przyszłą sobotę – zaproponowała. – Jeśli chcesz.

W jego oczach znów rozbłysło światło.

– Naprawdę? Nie wyjedziesz tak prędko?

– Nie. Najpierw musimy sprzedać dom, a to potrwa. Tatko mówi, że pewnie kilka tygodni minie, zanim nam się to uda. Zanim spakujemy najważniejsze rzeczy i sprzedamy pozostałe, zanim dziadek z Danzig pozałatwia wszystkie sprawy... To zajmie dużo czasu. Zobaczysz, jeszcze będzie niejedna sobota...

Peter kiwał głową, słuchając tych słów, i prostował się z każdą sekundą, jakby mówiąc to wszystko, składała mu jakieś słodkie obietnice i na powrót wlewała w niego radość życia.

– Pójdę z tobą kawałeczek, dobrze? – poprosił, wskazując brodą widniejący za drzewami komin, w pobliżu którego mieszkała. – Tylko kawałek, proszę.

Skinęła głową i ruszyli. Nie rozmawiali po drodze, jedynie zerkali na siebie od czasu do czasu, a z każdym takim spojrzeniem, kiedy ich oczy spotykały się na kilka sekund, serca biły coraz szybciej i obojgu robiło się jakoś błogo na duszy. Wreszcie wśród zarośli zamajaczyły białe ściany domku państwa Dulke, a wówczas Katrin zatrzymała się i szepnęła:

– Dalej pójde sama.

I zanim zdążył cokolwiek zrobić – chyba ze strachu, że zechciałby ją pocałować albo może że właśnie by tego nie zrobił – uciekła.

*

Peter nie mógł spać. Leżał w ciemności, nasłuchując tych wszystkich cichych odgłosów, które w nocy wydaje stary dom, i śnił na jawie. O Katrin. O jej ustach. O drobnych dłoniach, które ukrył w swoich, chcąc jej pokazać, że jest gotów chronić ją przed całym światem.

Nigdy nawet nie marzył o takiej miłości, nie sądził, że będzie mu dane ją przeżyć. Czy inni przeżywają to równie mocno? Czy on sam był owocem uczucia tak silnego, pełnego żaru i nieskończonej tęsknoty? Czy dziadek kochał tak babcię? Peter nie wiedział, bo i skąd miałby czerpać tę wiedzę. Kiedy jeszcze mógł porozmawiać z dziadkiem, nie w głowie mu były pytania o to, co łączy ludzi w pary; co sprawia, że właśnie ten mężczyzna pragnie żyć u boku właśnie tej kobiety.

A teraz nie miał nikogo poza ciotką Lottą, która z oczywistych względów nie uświadamiała go w sprawach damsko-męskich. To znaczy był jeszcze pan Lehmann, który owszem, uświadamiał Petera, lecz jedynie w formie rubasznych żartów i propozycji, że jeśli chłopak chce, może się co jakiś czas zabawić na sianie z dziewczyną z kuchni – rudą, piegowatą Hertą, która podobno była „nie od tego, żeby pofiglować”, tak przynajmniej o niej mówiono. Jednak Peter nie skorzystał z owej zachęty, bo po pierwsze, Herta zupełnie mu się nie podobała, a po wtóre – nie

wiedziałby, co na tym sianie robić. Znał widok gołego niewieściego ciała, bo jeszcze w dzieciństwie wraz z innymi chłopcami podglądał kąpiące się w stawie kobiety. W Leipe nie było wodociągów, jedynie studnie i pompy ręczne, więc latem kąpiel w strumieniu albo stawie stanowiła wielką przyjemność, zwłaszcza w upalne dni. Wystarczyło znaleźć sobie dobre miejsce w zaroślach i czekać wystarczająco długo, by w końcu otrzymać nagrodę w postaci „kina za darmo”, jak to kiedyś określił August, syn bednarza.

Z wiekiem Peter przestał uczestniczyć w tych podglądanych seansach, a świadomość, że kiedykolwiek to robił, obecnie budziła w nim wielkie zażenowanie. Wieczorami modlił się do Boga o wybaczenie tamtych chłopięcych głupstw. Oczywiście był zdrowym młodzieńcem i marzył o miłości cielesnej, miewał też grzeszne sny – jednak im starszy i dojrzałszy się stawał, tym wyraźniej rozumiał, że to, co dzieje się w sypialni między mężczyzną a kobietą, nabiera sensu jedynie wtedy, gdy oprócz ciał lgną do siebie również ich dusze.

Czy teraz to właśnie czuję? – zadawał sobie pytanie, przymykając powieki i przywołując w pamięci obraz jasnorożowych ust, które drżały od powstrzymanego płaczu, a on tak bardzo walczył wtedy ze sobą, by nie ulec pokusie i nie spróbować ich pocałować. Gdyby mógł, usunąłby z powierzchni ziemi wszelkie przeszkody i powody do smutku; wziąłby na siebie cały ból tego świata – byleby Katrin się rozchmurzyła, by już nigdy nic jej nie trapiło. Czy to jest właśnie miłość? Czy z takiej bliskości bierze się nowe życie, powstaje nowa rodzina, czy dla takiego uczucia ludzie umierają, jak choćby Hans Balzer z Forst, który powiesił się z rozpacz po tym, jak jego młodziutka żona wykrwawiła się przy porodzie?

Peter nie znał odpowiedzi na te pytania. Nie rozumiał, co się z nim dzieje – z jego duszą i ciałem – wiedział jedynie, że wszystkie dni poza sobotą stały się udręką. Kiedy w ciepłe czerwcowe noce wpatrywał się w sufit, wyobrażał sobie, jak by to było, gdyby jakimś cudem kiedyś do tego domu weszła Katrin jako jego żona. Wieczorem zgasiliby światło i rozebrali się, a potem on mógłby dotykać jej i ją całować, bo zostałyby mu poślubiona i to nie byłoby nic zdrożnego, nic grzesznego. Czy nie umarłby z zachwytu i szczęścia? Czy coś tak cudownego można w ogóle znieść?

Zakochał się nagle, z dnia na dzień, jak za pstryknięciem palców – w owej chwili, gdy patrzył na Katrin zbliżającą do ust białą obłoczek waty cukrowej. Ale wcale nie dlatego ją pokochał, że była ładna. Była, owszem, lecz nie o to szło. Ładnych dziewcząt Peter widywał wiele, tyle że ich piękno rzadko robiło na nim wrażenie. Nauczył się patrzeć na nie jak na witrynę cukierni. Były niczym ciastka z kremem i kolorową posypką: śliczne, ale przecież nie dla niego, bo nawet gdyby miał więcej pieniędzy, to zaspokoiłby głód kiełbasą, a nie babeczką albo tortem.

Katrin dysponowała zwyczajną urodą, która nie onieśmielała chłopców. Może dlatego, że nie układała włosów w misterne fale, a jej szczupłe ciało nie tonęło w warstwach falbanek i wymyślnych ozdób, lecz obleczone było prostą sukienką. Ona sama była zwyczajna, naturalna i świeża, a przy tym tak dziewczęca, tak pełna wdzięku, że samo patrzenie na nią aż bolało Petera gdzieś w okolicy serca. Jednak pokochał ją nie z powodu urody, lecz wymykającego się rozumowi pokrewieństwa dusz. Jakby było w tej dziewczynie coś bliskiego, co przyciągało go niczym ogromny magnes.

W kolejną sobotę uprosił pana Lehmana, żeby pożyczył mu rower, bo w ten sposób mógł zaoszczędzić sporo czasu. Oczywiście doskonale wiedział, że Katrin nie będzie mogła poświęcić mu całego dnia, jednak myśl o tym, że wędrowka do Sommerfeld i z powrotem zajmuje mu ponad trzy godziny – i że w zamian może ten czas spędzić w jej towarzystwie – była niezwykle kusząca.

Stało się tak, jak się spodziewał: musiał czekać na rozstaju dróg aż do południa, zanim na ścieżce wśród zarośli ukazała się płowa główka dziewczyny. Jego serce podskoczyło w piersi i za nic nie chciało wrócić na właściwe miejsce; odnosił wrażenie, że dudni mu gdzieś w płucach czy może w gardle.

– Katrin – wyszeptał, kiedy podeszła.

Widział, że i ona przeżywa silne emocje, lecz nie śmiał nawet marzyć o tym, aby odwzajemniała jego uczucia. Pewnie zaraz powie, że jednak wyjeżdża wcześniej, niż się spodziewała. Żołądek ścisnął mu się boleśnie na tę myśl.

– Dzień dobry – wysapała, a on dopiero wtedy zorientował się, że biegła. – Musiałam jeszcze obrębić fartuszek koronką. Mama zapowiedziała, że nie ma mowy o wyjściu, dopóki nie skończę.

Zaśmiała się jak psotna dziewczynka.

– Nie jest to najpiękniej wykonany fartuszek, jaki w życiu widziałam! – dodała. – Ale czy to ważne?

Peter pokręcił głową w niemym zachwycie. Była taka ładna, taka zabawna; wydawało mu się wręcz niemożliwe, że przyszła tu specjalnie dla niego. Był tylko biednym chłopakiem, pogardzanym przez rówieśników z powodu swej odmienności. A ona? Ona była doskonała.

– I jak ze sprzedażą domu? – odważył się zapytać.

– Nijak! – oznajmiła, wciąż się śmiejąc. – Pewnie powinnam się zmartwić, ale w ostatnich dniach... No, krótko mówiąc: wcale nie chciałabym wyjechać. Jeszcze nie teraz. Tamten kupiec oferował cenę, która wydała się tatce nie do przyjęcia. Nie wystarczyłoby na bilety na statek dla nas wszystkich...

Urwała, wyraźnie przestraszona.

– Jakie bilety? – Peter nie zrozumiał. – Wspominałaś, że czekacie na list od dziadka z Danzig. Sądziłem, że wyjeżdżacie do niego.

– Tak, do dziadka – przyznała ostrożnie. – Ale potem...

Ponieważ wciąż stali, Katrin pociągnęła chłopaka za rękaw.

– Chodź, usiądziemy gdzieś, gdzie nie będzie nas widać – zaproponowała. – I wszystko ci opowiem.

Tak też uczynili. Zeszli z drogi i skierowali się w stronę lasu. Oboje dobrze zdawali sobie sprawę, że gdyby natknęli się na patrol Hitlerjugend, mogłyby z tego wyniknąć nieprzyjemności. Każda niemiecka dziewczyna była zobowiązana do skromnego prowadzenia się, a przebywanie sam na sam z chłopakiem, w dodatku takim jak Peter – wyklętym, bo nienależącym do organizacji nazistowskiej – wpędziłoby Katrin w kłopoty, nawet jeśli formalnie po ukończeniu szkoły nie należała już do BDM i jak dotąd nie zapisała się do „Glaube und Schönheit”.

Trawa była lekko wilgotna, dlatego Peter rozłożył na niej swoją podniszczoną marynarkę. Aby oboje mogli się na niej zmieścić, musieli usiąść naprawdę blisko. Stykali się ramionami, a kiedy wiatr mocniej zawiał, jej włosy muskały leciutko jego szyję. Peter chciał, aby ta chwila trwała wiecznie. Jego tęsknota za dotykiem, którą nosił w sercu od zawsze, od pozbawionego czułych objęć matki dzieciństwa, teraz stała się niemal bolesna.

– W Ameryce podobno każdy jest równy – tłumaczyła Katrin. – Każdy może zacząć od nowa. Nieważne, czy ma polskich, czy niemieckich przodków. Żyje tam mnóstwo ludzi z każdego zakątka świata, są Chińczycy i Włosi, i Irlandczycy, i mnóstwo Polaków, nawet Żydzi... Tato twierdzi, że to doskonały pomysł, aby popłynąć do Nowego Jorku i spróbować szczęścia. Rzecz w tym, że bilet na transatlantyk dla jednej osoby kosztuje prawie dwieście dolarów! To jest więcej niż tysiąc polskich złotych!

Peter nie próbował przeliczyć tej kwoty na reichsmarki; wiedział, że nigdy nie będzie go stać na taki rejs. Nawet gdyby porzucił rodzinną tradycję, zaczął pracować także w soboty i miał lepiej płatną posadę w którejś z cegielni albo tkalni w Sommerfeld. Ostatnio, snując marzenia o małżeństwie z Katrin, rozważał takie rozwiązanie. Wprawdzie miał daleko, lecz byłby gotów wstawać w środku nocy i chodzić pieszo do pracy, przynajmniej dopóki nie zarobi na rower. Jednak nie wątpił, że nawet jeśli zmieni zawód, jeszcze przez kilka lat pozostanie biedny.

– Tata twierdzi, że musimy korzystnie sprzedać dom – mówiła dalej Katrin. – A gdyby jeszcze dziadkowie spieniężyli swoje mieszkanie w Danzig, to wystarczyłoby na bilety dla całej rodziny. Oczywiście trzeba mieć także jakieś pieniądze na początek, aby w Nowym Jorku wynająć lokum i rozejrzeć się za pracą.

Urwała, widząc, że Peter smutno zwiesił głowę.

– Może ty też mógłbyś... – zaczęła po chwili z nadzieją. – Pomyśl, co cię tutaj czeka. Marlene wspomniała, że niedługo skończysz dziewiętnaście lat, a wtedy...

– Będą chcieli mnie zmusić do służby wojskowej – podjął ponuro. – Tak, wiem. A ponieważ odmówię, pewnie wsadzą mnie do więzienia.

– Więc tym bardziej musisz uciekać! – weszła mu w słowo. – Masz przecież dom i kawałek ziemi! Gdybyś sprzedał to wszystko, może wystarczyłoby...

Uśmiechnął się, choć jego szare oczy pozostały smutne.

– To bardzo skromne gospodarstwo – wyjaśnił. – Nasza wiara nakazuje nam żyć prosto, nie gromadzić bogactw. A w Leipe ziemia nie jest szczególnie urodzajna. Właściwie to... mieszkamy w lesie. Krowom trzeba zwozić paszę z pól, bo nie ma gdzie ich wypasać.

Katrin milczała. Nie знаła się na uprawie roli, pastwiskach ani paszy dla zwierząt. Naiwnie sądziła, że każda ziemia ma taką samą wartość, podobnie jak każdy dom.

– Oczywiście ja krowy nie mam. A mojego domu pewnie nikt by nie chciał kupić – dodał jeszcze Peter. – To tylko dwie małe izdebki i jeszcze mniejsza kuchnia. Zakładając, że w ogóle znajdę kupca, niewiele za to wszystko dostanę. Ale nie to mnie powstrzymuje. – Zajrzał jej w oczy, a upewniwszy się, że patrzy na niego przychylnie, z nabożeństwem wziął ją za rękę. – Bardziej się boję, że nawet jeśli wszystko sprzedam, wszystko poświęcę i stanę się nikiem, człowiekiem bez domu i ziemi, to i tak nie wystarczy, żebyś zechciała... I żeby twoi rodzice się zgodzili... – Zająknął się. – No, przecież nigdy nie zostaniesz moją żoną.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Zmarszczyła brwi i najwyraźniej odpłynęła myślami, bo jej spojrzenie stało się nieobecne. Pozwoliła, by trzymał jej dłoń w swojej, leciutko muskając każdy palec z osobna. Peter bardzo chciał wiedzieć, nad czym się tak zadumała. Przestraszył się, że kiedy nie rozmawiają, kiedy odgradza ich od siebie cisza, Katrin oddala się od niego. Że staje się niedostępna.

– Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że jestem w tobie zakochany? – odważył się przerwać milczenie. – Mówiłem to bardzo, bardzo poważnie. Myślę, że prawdziwie cię kocham, Katrin. Chciałbym się z tobą ożenić. Wiem, że to szybko, że właściwie się nie znamy. Może powinienem dłużej o ciebie zabiegać, zanim wyznałem ci, co czuję. Może powinienem zrywać kwiaty i kupować czekoladki. Nie wiem, nie umiem tego robić...

Nie chciał się w ten sposób usprawiedliwiać, ale prawda była taka, że nie miał nikogo, kto by go tego nauczył, cokolwiek mu doradził.

– Ja też nie wiem – zapewniła go. – Nie znam się na zalotach. Nigdy dotąd nie myślałam o chłopcach, żaden mnie nie interesował.

Zabrała rękę i umilkła, spłoniona, zawstydzona do granic, bo przecież mówiąc „nigdy dotąd”, wyznała mu zarazem, że teraz owszem, teraz już tak – że właśnie jemu, Peterowi Kesslerowi, udało się zawrócić jej w głowie.

– Powiedz mi, co lubisz – poprosił, usiłując uspokoić to głupie serce, które niemal rozsadzało mu pierś.

– Co lubię w chłopcach? – Nie zrozumiała. – Czy co lubię robić?

– Wszystko. Chciałbym wiedzieć o tobie wszystko.

Położył się na trawie i zapatrzył w niebo, po którym leniwie płynęły obłoki niczym wielkie ryby z niebieskawymi brzuchami. Wiatr niósł intensywny zapach jakiegoś kwitnącego krzewu, chyba jaśminowca.

– Lubię czekoladę – odezwała się po chwili Katrin. Nie położyła się obok, choć Peter bardzo chciał, żeby to uczyniła, bo wtedy może odważyłby się ponownie wziąć ją za rękę. – I śliwki dojrzałe tak bardzo, że aż marszczy im się skórka. Lubię, kiedy w domu pachnie ciastem drożdżowym, chociaż samego ciasta nie jem, bo

dla mnie jest suche. Mama czasem pozwala mi posmarować masłem i konfiturą, wtedy popijam mlekiem i bardzo mi smakuje... Ale najczęściej mówi, że to zbytek i że powinnam jeść samo ciasto.

Peter westchnął. Nie pamiętał już, jak smakuje ciasto, a co dopiero takie z masłem i konfiturą. Nie miał nawet pewności, czy kiedykolwiek kosztował czegoś tak wspaniałego. Gdy jeszcze żył dziadek, czasem kupowali na śniadanie chałkę. Chłopak kruszył ją wtedy do mleka i jadł tę gęstą papkę niby zupę mleczną. Bardzo lubił takie proste posiłki. W każdym razie na pewno było to znacznie smaczniejsze niż chleb ze smalcem.

Teraz nie mógł narzekać: odkąd pracował w karczmie, nie chodził głodny. Dostawał jednak wyłącznie to, co pozostało z poprzedniego dnia: wyjadał z dna kotła kaszę z sosem gulaszowym, zeszkrobywał z rynienki przypieczoną skórę golonki, wybierał pajdką chleba resztki gotowanej kapusty, niekiedy trafiło się też pętko podsuszanej kielbasy. Ciasta drożdżowego nie było w jadłospisie...

– Lubię spacerować po brzozowym zagajniku na wiosnę, kiedy listki są lepkie i jasnozielone – szepnęła po chwili Katrin, której najwyraźniej spodobało się mówienie o sobie. Być może był to pierwszy raz, kiedy zastanawiała się nad swoimi upodobaniami i w jakiś sposób próbowała wyrazić siebie, ująć w kilku zdaniach to, jaka jest i kim jest. – Ale jesienią wolę buki. Byłeś kiedyś w okolicach Sorau?

A kiedy chłopak pokręcił przecząco głową, dodała:

– Tam są cudowne lasy bukowe. Buki mają srebrne pnie, a w październiku wyglądają, jakby ktoś je obsypał złotem.

Peter zamknął oczy. Wszystko, co mówiła, wydawało mu się piękne. Nigdy dotąd nie myślał w ten sposób o drzewach. Nie

zauważał ich urody. Po prostu żył wśród nich. W końcu Leipe leżało w lesie.

– A czego się boisz? – zapytał, ponieważ umilkła, a on chciał jeszcze słuchać.

Nie chodziło nawet o tembr jej głosu, choć brzmiał w jego uszach jak najpiękniejsza muzyka, lecz o sam fakt, że ona mówi. Do niego. Że tak zwyczajnie ze sobą rozmawiają.

– Psów – odparła bez namysłu. – Kiedyś ugryzł mnie owczarek, do dziś mam bliznę na nodze. Wpadam w panikę, gdy zbliży się do mnie pies, nawet mały. Dlatego nie mamy psa w obejściu.

Peter milczał, zasłuchany. Próbował wyobrazić sobie, jak by to było: bać się psów. W dzieciństwie podwórkowy burek dziadka był jego najlepszym przyjacielem.

– Boję się także choroby. Pamiętasz tę trzecią koleżankę, która była z nami w wesołym miasteczku?

Peter ledwie ją kojarzył, więc pokręcił głową. Nie bardzo zwrócił na nią uwagę; tak naprawdę patrzył wtedy tylko na Katrin.

– To Anna Kushner – wyjaśniła dziewczyna. – Jest chora na epilepsję. Kilka razy miała atak w szkole... Chyba nigdy w życiu nie widziałam nic równie przerażającego. Tłukła głową o podłogę, miała zupełnie wywrócone oczy, no wiesz, białkami do góry... Z ust leciała jej piana.

– To rzeczywiście straszne. Czy to ją boli?

– Tylko jeśli się poobija. Dlatego trzeba ją przytrzymywać, i to mocno. A potem zupełnie nic nie pamięta. Robi się okropnie zmęczona, prawie natychmiast zasypia. Jest taka słabiotka, delikatna, na nic nie ma siły... Żal mi jej.

Peter pokiwał głową. Tak, to brzmiało jak coś, czego naprawdę można się wystraszyć. I niemal natychmiast, swoim zwyczajem, przekuł tę myśl na dziękczynną modlitwę za dar zdrowia.

– Ale najbardziej boję się zła, które mają w sobie ludzie – dodała po chwili Katrin. – Czytałam listy z frontu od dziadka Karla. Nie masz pojęcia, ile krzywdy wyrządzali jedni ludzi drugim. I w imię czego? Za co? Bo jeden cesarz poróżnił się z drugim? Bo ktoś był pełen buty i arogancji? Dziadek nie chciał walczyć, nie zamierzał strzelać, ale w jednym liście napisał... Napisał...

Zacięła się. Najwyraźniej to, co chciała powiedzieć, z trudem przechodziło jej przez gardło. Peter usiadł i delikatnie, jakby bojąc się, że ją spłoszy, nakrył jej dłoń swoją. Chciał dodać jej otuchy i chyba mu się to udało, bo dziewczyna nabrała powietrza i podjęła:

– Pewnej nocy dziadek wpadł w zasadzkę. Nie zapamiętałam szczegółów, zresztą nigdy nie rozumiałam w pełni tych wszystkich wojskowych terminów, określeń pozycji wroga, rodzajów broni i manewrów. W każdym razie ich oddział dostał się w ręce nieprzyjaciela. Dziadek stracił karabin, utknął w błocie, ale okazało się, że Francuzowi, który go dopadł, przytrafiło się to samo. Rzucili się na siebie i walczyli wręcz, taplając się w tym błocie... I w końcu dziadkowi udało się... Udało się...

Zacięła się ponownie, pokręciła głową.

– Zabić tamtego? – podpowiedział Peter, by jakoś jej pomóc.

– Wydłubać mu oczy – odparła tak cicho, że musiał się nachylić, by wyłapać sens tych strasznych słów. – Rozumiesz? Żeby przeżyć, musiał zrobić coś tak potwornego. Pisał potem do babci, że nie może jeść, nie może zapalić papierosa, umyć twarzy... Brzydzi się własnych rąk, własnych palców, bo wciąż czuje na nich tę wilgoć i śliskość...

Peter milczał, wstrząśnięty. Czy można normalnie żyć po czymś takim? – przemknęło mu przez myśl. Chyba nie... Więc może to lepiej, że dziadek Katrin zginął na wojnie? Może lepiej, że zginęli

ci wszyscy, którym w Leipe wystawiono pomnik: Mielke, Lange, Schenck, Merhold, Finke i kilku innych? Bo jak mogliby wrócić do zwyczajnych spraw, cieszyć się z narodzin dzieci, ze słońca i letniego deszczu, z bliskości drugiego człowieka – z życia po prostu, skoro byli świadkami takich okropieństw... Skoro sami robili tak potworne rzeczy; może nawet mieli na sumieniu coś znacznie gorszego?

Katrin zamilkła na dobre. Tym razem nie zabrała ręki; pozwoliła, by palce jej i Petera splotły się ze sobą. Siedzieli tak, wzruszeni, na pozór nie robiąc nic szczególnego, a jednak przeżywając właśnie jedną z najważniejszych chwil w życiu, której żadne z nich miało nigdy nie zapomnieć. Oswajali się ze sobą, z ciepłem skóry, jej jedwabistością, kształtem paznokci i miękkością opuszków; przekraczając własne granice i oswajając lęk przed tym, że przecież jeśli zbliżą się do siebie za bardzo, to potem nieuchronnie będą cierpieć.

W kolejną sobotę spotkali się znowu. I znów Peter przyjechał skrzypiącym rowerem, a potem długo czekał na dziewczynę w cieniu drzewa, oparty plecami o szorstki pień.

Miał teraz wrażenie, że zna Katrin od wieków. Była mu bliska. Tęsknił za nią, lecz zarazem towarzyszyło mu dziwne poczucie spełnienia: jakby miał błogą pewność, że jej serce należy do niego, że tak naprawdę, nawet gdy każde z nich przebywa we własnym domu – w przedziwny sposób nadal są razem.

Kiedy wreszcie przyszła, w jej rozjaśnionych z radości oczach zobaczył potwierdzenie własnych pragnień: ona także tęskniła. Wyciągnęła do niego ręce i przebiegła kilka ostatnich metrów, a nad jego głową rozśpiewał się cały świat. Delikatnie uniósł jej dłoń, pochylił się i pocałował ostrożnie, jakby muskał wargami

nietrwały kwiat. Poczuł, że dziewczyna zadrżała, a mimo to nie cofnęła ręki, co dodało mu animuszu. Wyprostował się i zbierając całą odwagę, dotknął ustami jej ust. Odpowiedziała pocałunkiem. Leciutkim, tak jak całuje się na dobranoc mamę, jak cmoka się zamszowy policzek babci przy powitaniu – lecz pocałunkiem. Teraz Peter odważył się na więcej; pocałował Katrin ponownie, mocniej, dłużej. Nie spodziewał się żadnej z rzeczy, które nastąpiły później – tego, że ona wyjdzie naprzeciw tej pieśczoce, ujmie jego twarz w dłonie i sama zacznie go całować, a potem pozwoli, by ją objął, by dotykał, rozpiął guziczek jej sukienki i całował szyję, że położy się na trawie, pociągając go za sobą...

Żar namiętności zalał ich oboje, bo oboje zakochali się po raz pierwszy w życiu i właśnie odkryli magię dotyku i czułości. Stracili rachubę czasu, tuląc się do siebie, całując, przygryzając sobie nawzajem wargi, chcąc więcej – lecz zarazem nie umiając przekroczyć pewnych granic i zrzucić z siebie ubrań, bo przecież był biały dzień, a oni leżeli w trawie. Szeptali coś, lecz żadne z nich nie umiałyby potem powtórzyć z tego ani słowa. Liczyła się tylko melodia tych miłosnych zaklęć.

Żadne z nich nie umiałyby także powiedzieć, gdzie podział się dzień. Było południe, gdy się spotkali – nie zdążyli się sobą nasycić, a tymczasem słońce przewędrowało już na zachód, jakby wskazywało Peterowi drogę powrotną do jego wsi.

– Nie wróciłam do domu na obiad! – jęknęła Katrin, nagle uświadamiając sobie, że zrobiło się bardzo późno. – Mama na pewno się zamartwia!

Usiadła i sięgnęła do włosów, które zupełnie jej się potargały podczas pieśczoce.

– No i jak ja wyglądam? – Załamała ręce. – Przecież każdy się natychmiast domyśli, cośmy tu robili.

– Nikt się nie domyśli – odparł Peter, roziskrzonymi oczami patrząc na jej zaróżowione policzki. – Po prostu rozpuść i zapleć je na nowo.

W głębi duszy marzył o tym, by zobaczyć jej włosy uwolnione od splotów. Było to coś intymnego, niemal jak naga skóra. Aż wstrzymał oddech, kiedy naprawdę to zrobiła.

– Są piękne – westchnął, patrząc w zachwycie na Katrin, która usiłowała przeczesać pukle palcami przed ponownym rozdzieleniem ich i spleceniem w dwa warkocze. – Idąc drogą z Nablät w kierunku Teuplitz, po prawej stronie mija się taki piaszczysty pagórek. Lubię na niego patrzeć, kiedy mocno wieje. Trawa tam jest właśnie taka jak twoje włosy, płowa. W wietrzne dni kładzie się na ziemi, faluje, tańczy...

Urwał, a potem zbliżył twarz i zanurzył ją w złocistej kaskadzie.

– Czy wiesz, że już zawsze trawa latem będzie mi przywozić na myśl twoje włosy? – szepnął z czułością. – Zawsze będę tu wracał i czekał na ciebie. Kocham cię, Katrin Dulke.

– Kocham cię, Peterze Kesslerze – odpowiedziała z powagą.

*

Nastaly teraz dziwne dni. Z jednej strony czekanie bylo straszne, zupełnie jakby Katrin siedziala na beczce prochu i odliczala sekundy do wybuchu. Czasem budzila sie w nocy ze snu tak straszego, ze za wszelka cene bronila sie przed powtornym zasnieciem. Zazwyczaj snilo jej sie, ze ktos wypisuje na drzwiach ich domu slowo „mieszanczy” albo ze rzuca kamieniami w okna. Raz miala koszmar, w ktorzym napchano jej do ust piasku, a potem kazano przełknac, ona zaš krztusila sie i omal nie wyzionela ducha. Wtedy pojawila sie Marlene i wsadzila jej do gardla dluga rurę, po czym odkrecila kranik, a Katrin z trudem nadazala z przelykaniem gęstej cieczy.

– To krew chrześcijańska – oznajmila zimno przyjaciółka. – Żydom podobno dodaje siły, a kto wie, ty może masz w sobie trochę Żydówki.

Więc tak – z jednej strony dziewczyna nie mogła się doczekać, kiedy to się skończy: kiedy wyjadą z miejsca, w którym otaczali ich niemal wyłącznie Niemcy, bo Serbołużyczan było w mieście niewiele, a zresztą nawet oni afiszowali się ze swoją sympatią dla nazizmu. Wielu z nich chodziło ze swastykami przypiętymi do ubrań, jakby w nadziei na to, że ten symbol wystarczy, by wybaczyć im słowiańskie pochodzenie.

Nie spotykała się teraz z koleżankami. Anna wyjechała na wieś do dziadków, natomiast co do Marlene, Katrin unikała jej jak ognia. Przyjaciółka odwiedziła ją wprawdzie kilkakrotnie, lecz za każdym razem Katrin udawała, że ma coś do zrobienia: a to przykuciała w ogrodzie przy grządce buraczków i skubała chwasty, to znów brała się za szorowanie podłogi. Prędzej czy później poirytowana Marlene dawała za wygraną i odchodziła.

– Szkoda – skwitowała tylko któregoś razu. – Oprócz ciebie i Anny zupełnie nie mam przyjaciółek, więc nudzę się okropnie. Poza tym kiedy wychodziłyśmy razem, zawsze jakoś łatwiej mi było natknąć się na Rudiego. Wtedy natychmiast pojawiał się w pobliżu. Jakbyś ty była świecą, a on głupią ćmą.

Zaśmiała się ponuro, a Katrin usłyszała w tym śmiechu groźbę. Może jestem przeczulona, pomyślała.

– Wczoraj spotkałam Ute Meyer – dodała Marlene. – Zaprosiła mnie do siebie na podwieczorek, ale nie poszłam. Wiesz, jaka z niej zapalona nazistka.

Katrin struchlała. Ute Meyer była nie tyle „zapaloną nazistką”, ile wręcz fanatyczką, a raczej stała się taka, gdy jej mama przed czterema laty umarła przy porodzie kolejnego dziecka. Na nieszczęście położnikiem był żydowski lekarz, doktor Siegel z Gassen. Strach pomyśleć, co by się z nim stało, gdyby w porę nie wyjechał. Była to głośna sprawa, a zbiegła się w czasie z falą represji wobec Żydów w całym kraju. Wkrótce po tym wydarzeniu wydano rozporządzenia, które zabraniały żydowskim lekarzom leczyć pacjentów, którzy nie byli Żydami – i choć pochodzenie medyka nie miało żadnego związku ze śmiercią pani Meyer, w wyobraźni Ute i jej ojca taki związek niewątpliwie istniał.

Ute od tamtej pory stała się wulkanem nienawiści i mściwości, najaktywniejszą członkinią BDM, najzjadlejszą antysemitką,

a przy okazji najmniej sympatyczną osobą, jaką Katrin w życiu spotkała.

– Z drugiej strony – ciągnęła niewinnie Marlene – każdy potrzebuje przyjaciół, prawda? Nieprzyjemnie jest spędzać popołudnia w samotności. Więc może skoro Anna wyjechała, a ty nie masz czasu, spróbuję się jednak zaprzyjaźnić z Ute. Żebym tylko nie powiedziała w jej obecności za dużo... Ech, czasem się coś niechcący palnie, wiesz przecież, jak to bywa...

Jak mogłam być tak ślepa? – zadawała sobie pytanie Katrin, kiedy przyjaciółka, a raczej osoba, która niegdyś nią była, wreszcie wyszła. Jak mogłam wierzyć w jej szczerść wobec mnie? Marlene jest podłą manipulatką. Bawi się moim strachem, urządza sobie przedstawienie: rzuca jakieś na pozór niewinne zdanie, a potem obserwuje moje reakcje. Zupełnie jakby chciała, żebym zaczęła się trząść z przerażenia. Pewnie największą satysfakcję dałby jej mój płacz. Niedoczekanie!

A jednak Katrin płakała, tyle że w samotności, późnym wieczorem, gdy już nikt nie mógł zobaczyć jej łez. Płakała nad tym, że choć nie zrobiła nic złego, musi żyć w niepewności jutra. Że świat jest pełen niezrozumiałej nienawiści, a ludzie wokół – ci sami poczciwi, dobrzy, spokojni ludzie, których znała od zawsze – powoli przeistaczają się w bestie. Wierzą w hitlerowską propagandę, która ogłosiła naród żydowski winnym wszystkich nieszczęść, jakie kiedykolwiek spadły na Niemców. I że w tym zupełnie chorym od pogardy świecie ci, którzy nawołują do krzywdzenia innych, pozostają bezkarni, podczas gdy jej tacie, pacyfiście głoszącemu potrzebę utrzymania pokoju, grozi więzienie.

Dlatego owszem – bardzo chciała już wyjechać, uciec z tego miejsca, zacząć nowe życie gdzieś, gdzie nie dotarła ideologia

nazistowska, gdzie nie widziało się bojówek SA w brunatnych koszulach ani tabliczek zakazujących wstępu psom oraz Żydom; gdzie każdy mógł spać spokojnie, dopóki był przyzwoitym, uczciwym człowiekiem.

Ale z drugiej strony bolało ją serce na samą myśl o tym, że ma opuścić ukochany dom, swój paniński pokój – i Petera. Pokochała go tą świeżą miłością, nieskażoną jeszcze żadnym rozczarowaniem, żadnym zawodem; jedyną w swoim rodzaju. Kiedy kocha się pierwszy raz, wszystko wydaje się magiczne: i pocałunki, i dotyk chłodnych palców na skórze, i to przeświadczenie, że ciało ukochanej osoby pasuje do naszego, jakby było brakującym elementem, jakby dopiero w namiętym splocie rąk, nóg i języków dwoje zakochanych stawało się doskonałą całością.

Ich miłość rosła niczym kwiat. Początkowo była tylko nieśmiałym zakochaniem, na kształt drobnej roślinki, która łatwo by zmarniała, gdyby przestali o nią dbać. Potem jednak – z każdą sobotą, na którą oboje czekali z utęsknieniem, z każdym pocałunkiem, z każdą wyszeptaną myślą i tajemnicą powierzaną temu drugiemu z naiwną ufnością, ich uczucie stawało się coraz silniejsze. Zresztą nie widywali się już wyłącznie w soboty, ale i w dni powszednie – bywało, że Peter wstawał przed świtem i gnał na rowerze przez budzący się dopiero las, by zobaczyć ukochaną, wziąć ją w ramiona i całować do utraty tchu. A potem prędko wracał, aby stawić się na czas w Leipe, bo przed otwarciem karczmy było przecież mnóstwo pracy. Poza tym wykorzystywał na spotkania z dziewczyną każdą nadarzącą się okazję. Otto Lehmann był bystrym człowiekiem; natychmiast się zorientował, że z jakiegoś powodu jego młody pracownik bardzo chętnie jeździ do Sommerfeld. Powierzał mu więc do załatwienia

rozmaite zadania i sprawy urzędowe, które wymagały wizyty w miasteczku. Dzięki temu Peter mógł widywać Katrin niemal codziennie.

Przyrzekali sobie, że będą się kochać zawsze, aż po grób. Że będą ze sobą szczerzy, a w razie kłótni nie obrażą się, lecz spróbują rozwiązać konflikt. Choć, po prawdzie, żadne z nich nie umiało sobie nawet wyobrazić, o co mieliby się pokłócić.

W soboty, jeśli nie padało i było słonecznie, znajdowali ustronne miejsce i urządzali sobie pikniki nad rzeką. Katrin przynosiła własnoręcznie upieczone ciasto i owoce z ogródka, a Peter przywoził w koszyku dwie butelki oranżady. Pan Lehmann pozwalał mu brać z karczmy nawet więcej, ale chłopak nie chciał.

– Będiesz na mnie czekał, kiedy wyjadę? – zapytała Katrin któregoś popołudnia. – Nie znajdziesz sobie innej panny?

Położyła głowę na brzuchu Petera i bawiła się guzikiem jego koszuli, odpędzając pokusę, by rozpiąć także pozostałe i obnażyć chłopaka od pasa w górę. Istniało ryzyko, że wówczas on zapragnąłby zdjąć jej bluzkę, potem zaś... Sama nie wiedziała, czy bardziej się bała, czy pragnęła tego, co mogłoby się wydarzyć.

Leżeli w głębokiej trawie, z dala od drogi, ukryci przed ludzkim wzrokiem.

– A wrócisz? – odpowiedział pytaniem.

– Wrócę. A jeśli nie będę mogła, to ty przyjedziesz do mnie.

To było naiwne zapewnienie i naiwnością było w nie wierzyć. Ale Peter bardzo pragnął mieć tę wiarę.

– Inne panny dla mnie nie istnieją – odpowiedział. – Bardziej prawdopodobne jest to, że ty znajdziesz sobie innego chłopca – dodał ze smutkiem.

– Nie mów głupstw.

– Zamierzasz wyjechać do wielkiego miasta, a potem kto wie, może za ocean. Słyszałem, jak goście w karczmie mówili o Ameryce. Tam każdego dnia przyływają tysiące ludzi. Możesz to sobie wyobrazić? Tysiące! To tyle, co liter w tej gazecie. – Wskazał oczami na egzemplarz „Sommerfelder Tageblatt”, który kupił na prośbę pana Lehmana. – Jak mogę liczyć na to, że jeszcze kiedykolwiek się odnajdziemy?

– Odnajdziemy się! – zapewniła Katrin. – Zobaczysz! Mama twierdzi, że w Ameryce każdy może szybko się wzbogacić. Więc pójdę do pracy. Tutaj też zamierzałam pracować, ale rodzice wciąż powtarzają, że już nawet nie warto zaczynać, bo lada dzień znajdzie się kupiec, który zaoferuje godziwą kwotę za dom. Tak mówi tata.

Peter zamknął oczy. Nie umiał sobie wyobrazić dnia, w którym Katrin wyjedzie. Jaki sens będzie miało wtedy jego życie? Na co będzie czekał? Teraz żył od jednego spotkania do drugiego. Nawet jeśli widzieli się tylko krótko, w przelocie, to jeden pocałunek ukochanej potrafił dodać mu siły, uskrzydlić go, uczynić szczęśliwym człowiekiem. Wieczorami wpatrywał się w gwiazdy i myślał o tym, że jego dziewczyna także je widzi z okna swojego pokoju. To mu wystarczało. Na jakie gwiazdy będzie patrzyła w Ameryce? – pomyślał z rezygnacją. Przecież to jest chyba po drugiej stronie kuli ziemskiej. Tam jest inne niebo.

– No więc prędko zarobię pieniądze – ciągnęła z zapalem Katrin. – A wtedy albo wrócę do Europy, albo przyślę tobie to, co zaoszczędzę. Sprzedasz dom i dołożysz do tej kwoty, akurat wystarczy na bilet dla ciebie! Zobaczysz! Wszystko ci opiszę w liście: gdzie się wsiada na statek, dokąd masz się udać, gdy zejdiesz na ląd... A ja będę tam na ciebie czekała! Pomyśl, jakie to będzie szczęście, z jaką radością padniemy sobie w ramiona!

W tamtej chwili, raz po raz całując Petera, była pełna wiary, że może im się udać. Taka miłość musi dać sobie radę z całym złem tego świata! Cóż to dla nich: przetrwać rozłąkę? Przecież kochają się naprawdę, najszczerzej, najmocniej! Ona pozostanie mu wierna, gdziekolwiek rzuci ją los!

– A gdybyście jednak nie wyjechali? – odezwał się cicho Peter. – Co, jeśli to niepotrzebna panika? Może nic się nie wydarzy? Przecież twój ojciec jest Niemcem, prawda? Nikt mu niczego nie udowodni, dopóki nie działa w żadnych opozycyjnych organizacjach. A o słowiańskim pochodzeniu matki nikt nie plotkuje...

– Poza Marlene.

– Poza Marlene – powtórzył Peter hardo, jakby to było wyzwanie. – Ale ona nikomu nie powie.

– Tobie powiedziała.

Peter uniósł się i oparł na łokciach, patrząc poważnie w oczy Katrin.

– Wiedziała, że może mi zaufać. A ja ufam jej.

– Ja także jej ufałam – odparła Katrin z żalem. – Och, Peter, gdybym tylko mogła cofnąć czas! Nie zwierzałam się jej, nie opowiadała o swojej rodzinie, o działalności dziadka Henryka ani poglądach mojego taty! Ale skąd mogłam wiedzieć, że twoja kuzynka okaże się taką zazdrośnicą!

– Zazdrośnicą? O czym ty mówisz?!

Czerwieniąc się i jękając, Katrin opowiedziała mu o wszystkim: o zalotach Rudolfa oraz o tym, jak zawistna Marlene bawiła się jej strachem, w zawołowany sposób strasząc ją i szantażując.

– Nie mogę w to uwierzyć – wyszeptał chłopak. – Zawsze była taka miła. I wydawała się dobra.

– To dlatego, że ty jesteś dobry. Widzisz w ludziach to, co sam masz w sobie. Mama zawsze mówi, że każdy sądzi według własnej miary, bo przecież innej nie zna. Ty kierujesz się czystymi intencjami, więc trudno ci zrozumieć, że ktoś mógłby postępować inaczej.

– Czy właśnie w delikatny sposób próbujesz mi powiedzieć, że jestem naiwny? – szepnął, po czym przyciągnął Katrin do siebie i pocałował. – Tak, jestem, i nie chcę być inny. Jestem naiwny w taki sam sposób, jak naiwni byli moi rodzice i dziadkowie. Pragniemy widzieć na świecie dobro i dziękować za nie Bogu, chwalić go i mu ufać. Czy to źle?

– Nie, kochany. To bardzo ładne. To jest dobre – odparła dziewczyna, a potem oboje poświęcili całą uwagę pocałunkom.

*

Któregoś lipcowego dnia wreszcie nadszedł długo wyczekiwany list od dziadka Henryka z Gdańska.

Droga Córko!

W pierwszych słowach przesyłam gorące pozdrowienia i uściski dla Was wszystkich: dla Ciebie, Uleńko, dla mojego Zięcia i dla Wnuczki Kasi. Choć wiem, że jest już poważną, niemal dorosłą kobietą, ciągle myślę o niej jak o ciekawskiej dziewczynce, która podskakiwała z ekscytacji, gdyśmy szli na lody śmietankowe.

Martwi mnie to, co piszecie o nastrojach na Dolnych Łużycach, choć, mówiąc szczerze, od dawna się tego spodziewałem i dziwi mnie tylko, że tak późno zaczęliście się niepokoić. Może i sam trochę mamiełam się nadzieją, że Ty, Uleńko, jako żona Niemca, a w dodatku syna bohatera wielkiej wojny, pozostaniesz poza wszelkim zagrożeniem. Zdaje się jednak, że w obecnym ponurym świecie nikt już nie ma takiego luksusu, każdy musi się czegoś lub kogoś obawiać. Na wszelki wypadek nie ufajcie nikomu, z nikim nie rozmawiajcie: ani o poglądach Jacoba, ani o Twoim pochodzeniu, ani o Waszych planach.

Co do sytuacji w Danzig, to niestety nie jest wesoło. Tradycją tego miasta zawsze była pokojowa koegzystencja różnych narodowości, religii i wyznań. Teraz już tak nie jest – nie

z powodu nagłej zmiany przekonań niemieckich mieszkańców, a raczej z konformizmu, strachu o posadę, o rodzinę, wreszcie z chęci kupienia sobie przychylności władz i świętego spokoju. Odnoszę wrażenie, że prawdziwych zwolenników Hitlera jest tu niewielu, większość po prostu przywdziewa takie szatki, na jakie akurat panuje moda. Zresztą może jestem naiwny. W każdym razie spotykamy się z wrogością i jawną dyskryminacją. Nieliczni Polacy tu zostali, myślę, że nie więcej niż kilka tysięcy. Wielu wolało wyjechać do Rzeczypospolitej.

Obawiam się, że sytuacja będzie się pogarszać z dnia na dzień. Już teraz zdarzają się napaści słowne i akty agresji fizycznej. Władze dają pełne przyzwolenie na takie sytuacje, nie mam więc złudzeń – prędzej czy później zechcą zrobić z nami to, co zrobili z Żydami – pozbawią nas podstawowych praw, ograbią, a w końcu wypędzą.

W tym miejscu pojawił się dopisek wykonany niewątpliwie kobiecą ręką:

Kochani! Rozważamy sprzedaż mieszkania i zamieszkanie w okolicach Pucka. Czułabym się znacznie różniej na kaszubskiej ziemi. O emigracji do Ameryki nawet nie chcę słyszeć – ani ja, ani ojciec Twój nie czujemy się już na siłach, by ruszyć w tak daleką podróż. Starość jest blisko, a gdy człowiek ma swoje lata, nie chce opuszczać ojczyzny. Nie przesadza się starych drzew. Ale Wy płońcie. Wspomożemy Was, jak tylko zdołamy.

Tu pióro znowu przejął dziadek.

Tak czy owak, jeśli na Dolnych Łużycach robi się niespokojnie, przyjeżdżajcie! Zawsze jesteście u nas mile widziani. Możemy też zgodnie z wolą Mamusi schronić się na Kaszubach. Rodzina powinna trzymać się razem, a skoro Jacob nie ma na Dolnych Łużycach nikogo, bezpieczniej Wam będzie u nas. Zawsze to dalej od gniazda nazistowskich żmij. Przeczekamy najmroczniejszy czas.

*Twój kochający ojciec,
Henryk Stern*

Katrin była rozczarowana, choć nie umiałaby wyjaśnić, z jakiego powodu i niby czego się właściwie spodziewała. Przecież nie zapewnienia, że statek już czeka, bilety są tanie, a wyjazd do Ameryki to kwestia paru dni. Była dorosła, miała świadomość, że trzeba będzie pokonać wiele trudności...

A jednak po cichu liczyła na to, że dziadek Henryk znajdzie rozwiązanie wszystkich trapiących ją problemów. Czytając list od niego, ponownie stała się tą małą dziewczynką, ufnie trzymającą dziadka za mały palec i przypatrującą się z powagą, gdy pokazywał jej wielki, bezkresny Bałtyk.

– Morze musi być piękne – westchnął Peter, kiedy zwierzyła mu się z tych myśli w kolejną sobotę. – Nie umiem go sobie wyobrazić. Jak to może być, że nie widać drugiego brzegu?

Największym zbiornikiem wodnym, jaki widział w życiu, było Pförtener See, nieduże jezioro o brzegach porośniętych trzcina, znajdujące się w pobliżu jego wsi.

– Chciałabym, żebyś mógł zobaczyć Bałtyk – westchnęła Katrin. – Pomyśl, kochany, jak byłoby cudownie, gdybyś mógł pojechać tam ze mną...

Urwała. Rozmawiamy o głupstwach, zamiast zająć się tym, co ważne, pomyślała. I w ten sposób odsuwamy od siebie strach. Ale czy powinniśmy przed nim uciekać, zamiast się z nim zmierzyć? Peter niedługo skończy dziewiętnaście lat, a wtedy wojsko upomni się o niego...

Znała go i miała pewność, że nie weźmie broni do ręki, więc... Czekają go więzienie. Albo coś dużo gorszego. Katrin słyszała, jak starsi ludzie opowiadali sobie szeptem, że podobno przeciwnicy Hitlera zamykani są w jakimś obozie, który jest jeszcze straszniejszy niż więzienie. A przecież Peter, odmawiając służby w Wehrmachcie, zostanie postawiony w jednym szeregu z opozycjonistami.

– W Prusach Wschodnich jest wielu takich, którzy nie chcą służyć w wojsku – przypomniało jej się nagle. – Marlene mi mówiła.

– Tak, wiem. Ciocia Lotta też o tym wspominała.

– A mój ojciec ma tam rodzinę. Może gdyby do nich napisał, udałoby się znaleźć dla ciebie jakieś bezpieczne miejsce... Przecież w pojedynkę nic się nie działo, ale gdy zbierze się cała grupa ludzi o podobnych poglądach... Pomyśl tylko, Peter! Mógłbyś uniknąć więzienia.

Sama nie wiedziała, o co dokładnie go prosi. O to, aby sprzedał dom i wyruszył na wschód? Czy tylko żeby zawieruszył się gdzieś, schował przed komisją poborową, przeczekał te ponure czasy?

– A co z nami? – zapytał z rozpaczą. – Jeśli pojedę i zacznę szukać swoich braci w wierze, w jaki sposób mnie odnajdziesz, kiedy już wrócisz z tej Ameryki?

– Może to ty odnajdziesz mnie? Może jednak do mnie przypląniesz?

– Skąd będę wiedział, gdzie jesteś? Ameryka jest większa niż Prusy Wschodnie, niż cała Rzesza.

– Mówiłam ci, będziemy do siebie pisać – zapewniła go. – Przyrzekam, cokolwiek się stanie, będę pisała do ciebie długie listy.

Pokręcił głową.

– Jeśli wyjadę na wschód, twój list mnie nie znajdzie, nie będziesz znała adresu. Ja z kolei nie będę wiedział, gdzie ty się zatrzymałaś, więc nie napiszę do ciebie. Tak czy inaczej, stracę cię, Katrin... – Urwał, potarł ręką czoło, a potem szybko zasłonił oczy, jakby raziło go słońce. Domyśliła się, że chce ukryć łzy. – Już cię tracę, z każdym dniem mam ciebie coraz mniej.

– Nie mów tak!

Cierpiała tak samo jak on, bolało ją serce, wszystko ją bolało. Tyle że jeśli zostanie, to nic się nie zmieni, myślała gorączkowo. Jego i tak zechcą wcielić do Wehrmachtu, takie są przepisy. Musielibyśmy oboje wyjechać za granicę, zanim to się stanie. Pal diabli Amerykę, nie chcę Ameryki, może być Polska, Francja, Holandia, byle razem...

– Powiem o tobie rodzicom! – zawołała, nagle olśniona tym pomysłem. – Oznajmię im, że bez ciebie nigdzie się nie ruszę!

Pocałowała go namiętnie, jakby chcąc przypieczętować tę deklarację.

– Mówiłem ci już... – Peter próbował ostudzić jej zapał. – Ja nic nie mam... Jestem marnym kandydatem... Oni mi... ciebie nigdy... nie dadzą.

Nie pozwalała mu mówić, przerywając jego słowa niecierpliwymi pocałunkami, a jednocześnie zrobiła coś, czego się kompletnie nie spodziewał – zaczęła rozpinąć guziki swojej bluzki. Kiedy doszła

do ostatniego i zamierzała zdjąć ubranie, pozostając w półprzezroczystej halce, nagle złapał ją mocno za nadgarstki.

– Nie rób tego – poprosił głucho, choć jednocześnie nie mógł oderwać wzroku od piersi rysujących się pod cieniutkim batysem. – To nie tak powinno być.

– Nie chcesz mnie? Dlaczego?

Sprawił jej przykrość. Była gotowa mu się oddać, żeby uwierzył, że dla niej jest to miłość do grobowej deski, że nigdy niczego nie była tak pewna jak tego, że chce iść z nim przez życie, nawet pod prąd, pod wiatr.

– Chcę cię najbardziej na świecie – zapewnił, a głos mu drżał, jakby zdobył się na straszny wysiłek. – Marzę o tobie, Katrin. Ale chciałbym, żebyśmy najpierw zostali mężem i żoną. I żebym wtedy miał do ciebie prawo, żebym mógł się do ciebie zbliżyć tak, jak chciał Bóg: w naszym domu, w łóżku, z miłością, bez pośpiechu, bez ukrywania się przed czyimś wzrokiem.

– Czy w Biblii jest choćby słowo o łóżku? – zaśmiała się Katrin, usiłując pokryć zmieszanie. – Wydawało mi się, że Pismo Święte raczej pomija takie kwestie.

Peter puścił już jej nadgarstki, więc prędko zapięła bluzkę, zawstydzona własną odwagą sprzed paru minut.

– „Na łóżku moim w nocy szukałam tego, którego miłuje dusza moja” – zacytował Peter, a w jego oczach błysnęły figlarne ogniki. – Pan Bóg kocha ludzi takich, jakimi są, Katrin. Umiłował nas wraz z naszymi żądzami i słabościami. Nie zabrania nam tego, co dobre. Bo przecież miłość jest dobra.

Zerwał źdźbło trawy i powiódł nim leciutko po szyi dziewczyny, sprawiając, że oddech Katrin przyspieszył.

– Bardzo lubię te wersety – szepnął, z uśmiechem obserwując, jak jej policzki pokrywają się rumieńcem. – Posłuchaj: „Lewa ręka

jego pod głową moją, a prawica obejmuje mnie”. Czy to nie jest piękny opis tego, co się dzieje między dwojgiem kochających się małżonków? „Pępek twój jako czasza toczona, która nigdy nie jest bez napoju; brzuch twój jako bróg pszenicy, otoczony liliami. Dwie piersi twoje jako dwoje małych bliźniąt sarnich. Szyja twoja jako wieża z kości słoniowych”.

– Naprawdę cytujesz z pamięci? – roześmiała się Katrin, ale ten śmiech miał jedynie maskować silne uczucia, jakie nią zawładnęły. – Czy stroisz sobie ze mnie żarty?

W dole brzucha czuła żar, który niemalże sprawiał jej ból. Gdyby teraz Peter zmienił zdanie i poprosił, aby się rozebrała, zrobiłaby to bez wahania.

– Studiuję Pismo, tak jak robił to mój dziadek – odparł z powagą chłopak. – Wierzę, że zawiera odpowiedzi na wszystkie pytania. Ilekroć mam wątpliwości, szukam tam odpowiedzi. I zawsze znajduję.

Nachylił się i pocałował ją mocno, namiętnie, ale zarazem z jakąś determinacją, która oznaczała, że nawet dla niej nie złamie pewnych zasad.

– Wyjdiesz za mnie, Katrin? – szepnął. – Chcę się z tobą ożenić. Pragnę tego od owego dnia, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Marzę, żebyś została moją żoną, ponieważ bardzo cię kocham i nie chcę bez ciebie żyć. A nie dlatego, że pragnę zdjąć z ciebie tę cieniuchną halkę i posiąść twoje ciało.

– Ja też cię kocham – odszepnęła. – Tak, wyjdę za ciebie. Wyjdę za ciebie choćby dziś, choćby teraz. Nie muszę mieć pięknej sukienki, nie potrzebuję wesela ani gości. Pragnę natomiast, żebyśmy szli przez życie ramię w ramię, założyli rodzinę i zestarzeliby się razem. Ale zanim to nastąpi... Chcę, byś zabrał

mnie do domu, zdjął ze mnie tę „cieniuchną halkę” i posiadał moje ciało.

*

– Ale jak wy to sobie wyobrażacie?! – huknął Jacob, który najwyraźniej nie mógł dojść do siebie po tym, co się wydarzyło.

Oto bowiem chwilę wcześniej do kuchni, w której spożywał kolację, zmęczony po całym dniu pracy, marząc tylko o tym, by móc wreszcie przyłożyć głowę do poduszki, weszła jego córka, prowadząc za rękę (za rękę!!!) młodzieńca w pocerowanej koszuli, wytartych portkach i zniszczonych trzewikach.

– Mamo, tato, to jest mój przyszły mąż! – oznajmiła, a potem rozplakała się z przejęcia, wprawiając w konsternację nie tylko rodziców, ale również swojego chłopca.

Ten na szczęście zachował jednak tyle przytomności umysłu, że uklonił się z rozbijającą powagą i wyrzekł formułkę, którą – jak sobie wyobrażał – należało wypowiedzieć w takiej sytuacji:

– Jestem Peter Kessler. Mam zaszczyt poprosić państwa o rękę córki.

Przez chwilę w izbie panowała cisza. Zarówno Urszula, jak i Jacob patrzyli na młodych w osłupieniu.

– Kochamy się – dodała prędko Katrin, bardzo szybko przytomniejąc. – Chcemy być razem. Ja... Ja już postanowiłam. Wyjdę za niego za mąż.

I wtedy właśnie, wstając zza stołu, Jacob Dulke przerwał córce i zadał proste pytanie, na które żadne z nich nie znało

odpowiedzi.

Bo jak to sobie wyobrażali? Nie wyobrażali sobie wcale. Był to pomysł świeży, zaledwie sprzed godziny, nieomówiony jeszcze, nieprzemyślany. Katrin i Peter wiedzieli jedynie, że się kochają i nie mają żadnych wątpliwości co do tego uczucia. Lecz czym innym było ukrywać się w wysokich trawach przed patrolami Hitlerjugend, całować pospiesznie za krzakiem jaśminu i tulić się na wilgotnym mchu w sobotnie popołudnia, a czym innym – wprowadzić w życie dalekosiężny w skutkach plan.

Zresztą czy oni w ogóle mieli jakiś plan?

– Jesteś przy nadziei? – zapytała Urszula po polsku.

Katrin zarumieniła się gwałtownie.

– Mamo, co ty mówisz?! – zawołała. – Peter mnie szanuje! Jak mogłaś w ogóle tak pomyśleć?!

Gdyby przyjrzała się uważnie matce, dostrzegłaby również na jej twarzy rumieniec, który w pewien sposób zdradzał, z jakiego powodu taka ewentualność przyszła Urszuli do głowy. Nie zrobiła tego jednak. Zawstydzona i skrepowana, wbiła wzrok w podłogę. Jedną ręką miętoszyła skraj spódnicy, drugą zaś kurczowo trzymała dłoń ukochanego.

– Zaczęliśmy się spotykać wiosną, to już trzy miesiące – powiedziała, przechodząc znów na niemiecki. – Kochamy się. Wiemy o sobie wszystko...

– Wszystko? – Ojciec przerwał jej ostro, spoglądając jednocześnie na Petera. – To znaczy co?

– Znam pańskie poglądy – odpowiedział odważnie chłopak. – I jeśli to pana uspokoi, sam mam bardzo podobne. To znaczy... Jestem pacyfistą. Nie wstąpiłem do Hitlerjugend. Zamierzam także odmówić służby w Wehrmachcie. Wiem, że będę musiał

ponieść konsekwencje swoich decyzji, lecz chcę być uczciwy wobec samego siebie i wiary moich przodków.

Zabrzmiało to nieco pompatycznie, ale Jacob nie zwrócił większej uwagi na deklarację młodego Kesslera. Znacznie bardziej zainteresowało go pierwsze zdanie. Spojrzał pytająco na córkę.

– Nie ode mnie to wie! – zawołała prędko Katrin. – Tato, ja o nas nie rozpowiadam! Ale Marlene... To znaczy... Tylko Marlene wiedziała. Przecież znamy się od dziecka, pamiętasz? Przychodziła do nas już wtedy, kiedy uczyliśmy się czytać z twoich gazet. W tamtym czasie nie były zakazane, więc nie miałam powodu, żeby je przed nią ukrywać. Wiele razy rozmawialiśmy o tym, że nie popierasz nazizmu. Kto mógł przypuszczać...

– Marlene jest moją kuzynką – dopowiedział jeszcze Peter. – Ona na pewno nie opowiada takich rzeczy innym. Tylko mnie.

Zapadła ciężka cisza. W końcu Urszula poruszyła się, wskazując ręką na krzesła przy stole.

– Usiądźcie, dzieci. Przecież nie będziecie tak stać. Chłopcze... Peter, tak? No więc Peterze... Chciałabym porozmawiać z twoją matką.

– A ja z ojcem – mruknął Jacob tonem sugerującym wyraźnie, że to nie będzie spokojna rozmowa.

– Tak, ja też chciałbym porozmawiać z nimi obojgiem – odpowiedział chłopak z godnością, na co ojciec Katrin uniósł w zdziwieniu brwi. – Rzecz w tym, że nie ma takiej możliwości.

Światło w kuchni państwa Dulke paliło się długo w noc. Najpierw Peter opowiadał o sobie, swoim niełatwym dzieciństwie

i dorastaniu. Potem rozmawiali o tym, co najważniejsze: o terażniejszości i niepewnej przyszłości.

– Uniknąłem przynależności do Hitlerjugend dzięki temu, że przestałem chodzić do szkoły przed ukończeniem czternastego roku życia – wyjaśnił Peter, bo Jacob nie mógł się nadziwić, że ktoś taki w ogóle zdołał się uchować w okolicy. – Na pewno pomogło mi też to, że jestem sierotą i mieszkam w zagubionej w lasach maleńkiej wsi, o której istnieniu mało kto wie. Teraz jednak mam świadomość, że nie uda mi się wywinąć tej nazistowskiej maszynie... – Pokręcił głową. – Wiem, że zechcą mnie wcielić do wojska. Rzecz w tym, że ja nie wezmę broni do ręki, choćbym miał zgnić w więzieniu. Stąd pomysł Katrin, żebyśmy wyjechali razem. Z tym że nie do Ameryki, bo tyle pieniędzy... To dla mnie niebotyczna suma. Ale może choćby do Polski? Nie mam wprawdzie paszportu, ale jeśli powiemy, że to podróż poślubna, to może... Może uda się szybko załatwić... Podobno bogaci ludzie jeżdżą po Europie, gdy wezmą ślub.

– Właśnie! Mamy przecież prawo pojechać do Polski albo na przykład do Szwajcarii... Albo Holandii! – poparła go dziewczyna. – Tam oboje zaczniemy pracować. Będziemy żyli bardzo skromnie i zaoszczędzimy na bilety do Ameryki! Tato! Powiedz coś!

Jacob milczał. Wziął tylko wdech, po czym wypuścił powietrze, jakby słowa uwięzły mu w gardle. Katrin domyśliła się, że nie chciał czegoś powiedzieć przy Peterze, którego przecież nie znał, więc też nie do końca mu ufał. Ta myśl sprawiła jej przykrość. Bardzo pragnęła, by rodzice przyjęli chłopaka z otwartym sercem; aby poczuł, że nie jest już sam na świecie, bo teraz oni staną się jego rodziną.

Niestety, najwyraźniej ani ojciec, ani mama nie byli na to gotowi.

– Pójdę już. – Peter chyba myślał o tym samym, bo odczekawszy chwilę, w końcu wstał z krzesła i z zakłopotaniem ukłonił się milczącym rodzicom Katrin. – Przepraszam, że zająłem tyle czasu. Bardzo jednak proszę, by nie odrzucali państwo mojej prośby tylko dlatego, że... – Urwał, a potem dokończył z determinacją: – Z więzienia w końcu się wychodzi. Przecież nie popełniłem żadnej zbrodni. Potrzymają mnie i wypuszczą. I może nie zawsze będę biedny. A zresztą, czy to takie ważne? Pamiętam wielką inflację... Bogaci stracili wszystko, a biedni, tacy jak ja i dziadek, nie odczuli różnicy. Czasem lepiej mieć niewiele.

– Tak, czasem lepiej – mruknął Jacob Dulke. – Łatwiej się ucieka, gdy nie niesie się dużego ciężaru. I łatwiej się ukryć.

Katrin sama nie wiedziała, co słowa taty wróżą jej związkowi z Peterem. Czy według niego to dobrze, że się zaręczyli, czy nie? Chciała o to zapytać wprost, ostatecznie jednak uznała, że mądrzej będzie nie ciągnąć tej rozmowy. Wszyscy byli zmęczeni i potrzebowali snu. Peter musiał z samego rana stawić się do pracy w karczmie. Tata wprawdzie miał wolną niedzielę, ale zawsze chodził na poranną mszę. Lepiej nie przeciągać struny.

Wyciągnęła rękę na pożegnanie, a wtedy Peter leciutko musnął jeden z jej palców, po czym ukłonił się ponownie – i wyszedł.

*

Rudolf nie mógł sobie znaleźć miejsca. Co, u diabła, Peter robił tak długo w domu Jacoba Dulke? Przecież chyba nie zostanie tam na noc?!

Od jakiegoś czasu – a dokładnie od zakończenia egzaminów maturalnych – Rudi nieustannie śledził Kesslera. Stał się jego wiernym cieniem. Po trosze było to spowodowane niezrozumiałymi uczuciami, które zakiełkowały w jego sercu: mieszaniną zranionej dumy i zazdrości, a po trosze dziwnym pragnieniem dokonania zemsty na obojgu – również na Katrin – za to, że robili „te obrzydliwe rzeczy” w trawie, w lesie, na skraju trzcin... Gdzie popadło.

Mógłby zgłosić to swojemu oddziałowi Hitlerjugend, a wtedy chłopcy spuściliby Kesslerowi tęgie lanie. Po pierwsze – za to, że oddaje się rozpuście. Podczas pogadanek na zebraniach organizacji wiele czasu poświęcano tematowi moralności i wstrzeźliwości. Po drugie – jeżeli już Peter musiał ulegać chuci, to przecież było tyle Niemek o czystym rodowodzie! Nie musiał tego robić akurat z Katrin Dulke, o której ostatnio Rudolf dowiedział się, że jest mieszańcem. Nie miał pojęcia, kto rozpuścił te plotki, lecz zadał sobie trud ich sprawdzenia. I rzeczywiście: okazało się, że dziewczyna ma polską matkę, zaś pochodzenie tej matki jest wysoce podejrzane. Diabli wiedzą, czy w jej drzewie

genealogicznym nie było nawet Żydów! Tego chłopak nie potrafił już dociec, lecz wydało mu się to wielce prawdopodobne.

Zresztą ojciec Katrin, choć do dwóch pokoleń wstecz miał krew niemiecką, a jedynie wcześniej pojawiała się jakaś domieszka wendyjskiej (Hertz dokładnie to przeanalizował), także wydał mu się podejrzany. Znajomi Rudiego z lokalnych struktur SA obserwowali tego człowieka już od jakiegoś czasu. Twierdzili, że ma wywrotowych przyjaciół i przejawia wyraźne sympatie komunistyczne. Rudolfowi udało się tylko ustalić, że kiedyś aktywnie działał w związkach zawodowych, lecz to samo w sobie nie było niczym złym, bo wtedy jeszcze taka działalność nie była zabroniona. A jednak Rudi miał przeczucie, że Jacob Dulke coś ukrywa.

Początkowa sympatia, jaką młody Hertz odczuwał wobec Katrin, przemieniła się teraz w gwałtowną niechęć, a nawet odrazę. Czy stało się tak dlatego, że dziewczyna obojętnie zareagowała na jego zaloty, natomiast ochoczo obdarowywała uśmiechami Kesslera? Czy raczej szło o jej pochodzenie? Rudi dorastał w przeświadczeniu, że wszelkie mieszanie krwi niemieckiej z inną, na przykład słowiańską (a już, nie daj Boże, żydowską!) – jest obrzydliwe. Od dziecka słyszał ohydne opowieści o Żydach podstępnie mordujących dzieci chrześcijan. Kiedy zaczął dojrzewać, przekaz płynący od ojca oraz dowódców Hitlerjugend nieco się zmienił – tym razem mowa była o fałszu i obłudzie, oszustwach finansowych, kradzieżach, o gwałtach popełnianych na niemieckich dziewczętach, o plugawej żydowskiej pornografii, wszechobecnym brudzie i robactwie. O Polakach mówiono rzadziej, a jeśli już, to głównie w kontekście ich słabości. Byli niepełnowartościowi, głupszy, słabszy. Nie nadawali się do niczego poza pracą fizyczną, nie zasługiwali więc na własne państwo. Jeśli

gdzieś panował chaos, nieład i brak organizacji, mówiono wówczas o *polnische Wirtschaft* – polskim bałaganie. W szkole Rudolf dowiedział się, że odzyskanie ziem niesłusznie przyznanych Polsce po traktacie wersalskim jest jedynym ratunkiem dla wciąż mieszkającej tam mniejszości niemieckiej, ale także szansą dla samych Polaków. Tylko wyżej rozwinięty naród niemiecki może ucywilizować tę niższą, prymitywną rasę.

Chłopak nie kwestionował tych prawd, bo dlaczego miałyby to robić? Nie było okazji, by dowiedzieć się, czy takie opinie są prawdziwe, czy krzywdzące. Rudolf nie znał osobiście żadnego Polaka, a od Żydów trzymał się z daleka – na tej samej zasadzie, na jakiej nikt nie zawiera znajomości z wszami, by utwierdzić się w przekonaniu, że piją krew i roznoszą choroby.

Owo dziwne, nieracjonalne zainteresowanie, wręcz obsesja Rudiego na punkcie Petera Kesslera, zaczęły się tamtego dnia, gdy chłopcy spotkali się w wesołym miasteczku. Później nastąpiło kilka tygodni, kiedy to Hertz pilnie się uczył, wciąż myśląc o tym, że gdy egzaminy maturalne się skończą, będzie musiał wreszcie podjąć życiową decyzję: co dalej. To, co powiedział Katrin, było prawdą: rzeczywiście rozważał wstąpienie do lotnictwa. Jednak gdy napomknął o tym przy obiedzie, ojciec wybuchnął gromkim śmiechem.

– Ty do Luftwaffe? – zawołał drwiąco. – A kto będzie prał twoje zaszczone prześcieradła?

Chłopak zwiesił głowę i do końca posiłku nie odezwał się już ani słowem, wraz ze sznyclem i ziemniakami przełykając łyżę upokorzenia. Nienawidził swego ojca, to było pewne, lecz naiwnie bardzo liczył na to, że tym pragnieniem, by zostać pilotem, w jakiś sposób wzbudzi jego szacunek.

A przecież stary ma rację! – szeptał jakiś głos w duszy Rudiego, gdy tamtego popołudnia chłopak szedł bez celu nad rzekę. Wojsko nie było dla takich jak on, moczących łóżko słabeuszy. Gdyby w koszarach przytrafiła mu się taka wpadka, już na zawsze stałby się pośmiewiskiem. Z tego też powodu jako nastolatek nie uczestniczył w wyjazdowych szkoleniach i kursach, nie jeździł na dłuższe obozy, nie chodził na kilkutygodniowe rajdy ani marsze. Nade wszystko obawiał się sytuacji, w której przez dłuższy czas miałby spać poza domem.

Problem w tym, że Wehrmacht prędzej czy później upomni się o niego, a wówczas Rudi i tak trafi do koszar. Myśl o upokorzeniu i ośmieszeniu sprawiała, że choć chłopak marzył o karierze wojskowej, by móc zaimponować ojcu, zarazem czuł przerażenie, które miało wpływ na jego organizm: zaczynał boleć go brzuch i miał mdłości.

Co zatem pozostawało? Kariera polityczna? Nie był tym zainteresowany; oczywiście planował wstąpić do partii, bo wraz z osiągnięciem pełnoletniości i ukończeniem szkoły opuścił szeregi Hitlerjugend, lecz czym innym jest przynależność do grupy, nawet kierowanie nią, a czymś zupełnie odmiennym – politykowanie, dyplomacja, analizowanie tych wszystkich zależności, wzajemnych korzyści, knucie intryg, podejmowanie decyzji o sojuszach... Na to Rudi był zbyt prostolinijny. W gruncie rzeczy nie potrafił udawać i nie miał w sobie przebiegłości. Wolał pozostać szczery.

Tamtego majowego dnia, gdy zraniony ojcowskim szyderstwem włóczył się nad rzeką, po raz pierwszy zobaczył schadzkę Kesslera z tą Dulke. Niby nie robili nic szczególnego, po prostu rozmawiali, siedząc obok siebie na trawie, raptem kilka razy wzięli się za rękę. A jednak było w tym obrazku coś, co sprawiło, że Rudolf nie mógł

od nich oderwać wzroku. Jakieś potężne napięcie. Zupełnie jakby z każdą sekundą zbliżali się do siebie, choć przecież zachowywali cały czas taki sam dystans.

Rudolf dość szybko ustalił, że zakochani widują się w soboty. Wiedział, że w pozostałe dni Peter pracuje w karczmie w Leipe, a Katrin zaczęła zarabiać, opiekując się do południa dwojgiem niesfornych dzieci niejakiej pani Schwarz. Jednak szóstego dnia tygodnia spotykali się zawsze w tym samym miejscu: nieopodal młyna, w pobliżu rozstaju dróg. Peter zawsze był na miejscu już wczesnym rankiem; siadał na mokrej od rosy trawie i czekał, a wówczas ukryty w zaroślach Rudi odczuwał ogromną pokusę, by podejść i... No właśnie, nie bardzo wiedział, po co miałyby to zrobić. Od dawna się przecież nie przyjaźnili, nie rozmawiali nawet ze sobą, nie licząc tej dziwnej wymiany zdań w wesołym miasteczku na temat strzelania z wiatrówki. Więc może podejść po to, by wszcząć bójkę?

Rudolf nauczył się gardzić Kesslerem, bo cóż innego mógł czuć wobec chłopaka, o którym ojciec mawiał, że jest tchórzem i pasożytem? Starał się wyrzucić z pamięci chwile beztroskiej zabawy, długie dziecięce rozmowy i owo szczególne uczucie, że Peter to ktoś, na kim naprawdę można polegać. Miejsce niezawodnego przyjaciela w życiu Rudolfa zajęła organizacja młodzieżowa. Wmawiał sobie, że nie potrzebuje niczyjego wsparcia, nie pragnął się zwierzać ani być pocieszanym. Przeciwnie, jego ambicją było stać się tak twardym, aby nikt i nic nie mogło go zranić.

A zatem – co go teraz ciągnęło do Petera? Dlaczego odczuwał nieodpartą chęć, by go obserwować, skoro wiedział, że nie zdecyduje się podejść? Skąd brała się ta chorobliwa fascynacja i na co właściwie czekał, siedząc godzinami w krzakach albo na

gałęzi drzewa i z bolesnym skupieniem wpatrując się w swego dawnego kolegę oraz dziewczynę, na której już przecież przestało mu zależeć?

Tego wieczoru, gdy Katrin po raz pierwszy zaprosiła Kesslera do domu, zapewne po to, by przedstawić go rodzicom, Rudolf był szczególnie zdegustowany. O mały włos na polanie nie doszłoby do rzeczy naprawdę nieprzyzwoitych. Katrin prawie się rozebrała, a Peter wcale nie wyglądał na zszokowanego. Wręcz przeciwnie, zdawał się pożerać dziewczynę wzrokiem. Rudi nie mógł zrozumieć, co takiego interesującego jest w kobiecych piersiach – dla niego nie były ani odrobinę bardziej powabne niż na przykład wymiona u kóz, które w dzieciństwie widywał u dziadków na wsi. Rozumiał, że są potrzebne do wykarmienia niemowlęcia, podobnie jak powieki były potrzebne do tego, by oko nie wysychało, a język – do mówienia i przełykania. Żadna z tych części ciała nie wydawała się podniecająca, po prostu służyły konkretnemu celowi, po to istniały. O co więc tyle hałasu wokół kobiecych piersi?

Dlatego gdy między parą zakochanych trwała wymiana pocałunków i pieszczot, Rudolf nie czuł się pobudzony, lecz wyłącznie zniesmaczony. Miał ochotę ich nastraszyć, przerwać im to obrzydliwe gruchanie, lecz wbrew sobie patrzył jak zakłęty. Po prostu nie mógł, nie był w stanie odwrócić wzroku. Niestety – albo na szczęście, sam już nie wiedział – nie doszło między nimi do niczego więcej niż pocałunki. Po krótkiej wymianie czułości zakochani wstali, otrzepali się z trawy, po czym ruszyli w stronę białego domku za boiskiem sportowym, z jakąś szczególną determinacją trzymając się za ręce, jakby obawiali się, że rozdzieli ich letni wiatr, który niósł zapach siana. Weszli do środka.

A potem zaszło słońce i zapadła ciemność, zaś Kessler wciąż nie wychodził.

Rudolf wrócił do domu, zjadł kolację, po czym wyszedł znowu, ponieważ nie mógł znaleźć sobie miejsca. Nie było nawet mowy o tym, by się położyć – czuł się rozdygotany, jakby trawiła go gorączka. Na pytanie ojca, dokąd to wybiera się o tak późnej porze, skłamał, że wraz z kolegami z oddziału Hitlerjugend urządzają nocne podchody.

– Przecież nie jesteś już uczniakiem – mruknął ojciec, jak zwykle niezadowolony. – Może czas przestać się bawić i wstąpić do partii. Wreszcie stać się mężczyzną.

Rudi tylko kiwnął głową i wybiegł z domu. Wciąż był niespokojny, nienaturalnie pobudzony, jakby czegoś się lękał i wyczekiwał zarazem. Nogi same poniosły go w stronę białego domku nad rzeką. Nie liczył na to, że spotka tam Petera, a jednak dopisało mu szczęście: tamten właśnie wychodził. Rudolf przykucnął i przylgnął plecami do parkanu, ukryty za gęstymi krzakami malin. Odczuwał wielką pokusę, by pójść za Kesslerem, wiedział jednak, że nie miałyby to sensu. Musiałby potem wracać sam przez las, a poza tym w nocy znacznie łatwiej usłyszeć kroki; każdy szelest staje się hałasem, więc Peter z pewnością zorientowałby się, że jest śledzony.

Dlatego Rudolf poprzestał jedynie na odprowadzeniu chłopaka wzrokiem – jeszcze długo w gęstej ciemności widać było jasny kołnierzyk jego koszuli – po czym podszedł do okna, za którym wciąż paliło się światło. Przez haftowane zasłonki nie dało się nic dostrzec, lecz lufcik był uchylony i dzięki temu Rudi mógł usłyszeć rozmowę państwa Dulke i Katrin.

– Idź spać – rzekł męski głos, a ton tego polecenia zdradzał wyraźne poirytowanie. – Porozmawiamy o tym jutro.

– Ale tato... – To była Katrin. Rudolf bezwiednie zacisnął dłonie w pięści. – Nie będę mogła zasnąć ze zdenerwowania. Powiedz tylko...

– W tej chwili nie mam siły tego roztrząsać. Jestem zmęczony.

– Jacob... – Ten głos zabrzmiał łagodniej, z pewnością należał do pani Dulke. – Dziewczyna nie zmruży oka.

– Ja też nieprędko zasnę – brzmiała szorstka odpowiedź. – Nie co dzień stawiają człowieka w takiej sytuacji. Na przyszłość, młoda damo, gdybyś chciała przedstawić mi kolejnego kandydata na męża, uprzedź mnie o tym, z łaski swojej.

– Nie będzie kolejnego... – zaoponowała cichutko dziewczyna, ale ojciec jej przerwał:

– Muszę sobie to wszystko poukładać. W tej chwili nie mam nic więcej do powiedzenia.

Rudolf jeszcze przez chwilę stał przy oknie, nasłuchując kroków, odgłosów zamykania drzwi i życzeń dobrej nocy. Przez jakiś czas gdzieś w głębi domu rozbrzmiewały zwyczajne wieczorne hałasy: ktoś nalewał wody do miednicy, odstawiał krzesło, domykał okno i zasuwiał zasłony... Wreszcie światło zgasło i wszystko ucichło.

A zatem „kandydat na męża”! Sprawy zaszły aż tak daleko! Wystarczyło kilka tygodni... – tu Rudi szybko obliczył w myślach i wyszło mu, że jednak nie kilka, a dwanaście, lecz to wciąż wydawało mu się o wiele za mało – ...a tym dwojgu już się spieszy, by stanąć przed ołtarzem. I cóż takiego dostaną? Ona – męża, który w razie niebezpieczeństwa jej nie obroni, tylko będzie się modlił do tego swojego Boga. A on? Dziewczynę o podejrzanym pochodzeniu, która nawet nie da mu potomstwa czystej krwi niemieckiej!

Rudolf czuł się zdradzony, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że jest to uczucie całkowicie absurdalne i nieracjonalne... Nie

umiał jednak zwalczyć owej ponizającej zazdrości, która wypełniała jego serce. Nie chciał, nie mógł dopuścić do tego, aby Peter ożenił się z Katrin! Niech ją sobie całuje i ściska gdzieś pod lasem, lecz małżeństwo to rzecz ostateczna! Nie wolno dopuścić do tego, żeby pełnowartościowy Niemiec, jakim był Peter Kessler, ożenił się z jakąś skundloną dziewczyną, pół-Słowianką, może nawet ćwierć-Żydówką, w dodatku wychowywaną przez człowieka o wypaczonej osobowości, bo przecież nie mógł być zupełnie normalny ktoś, kogo podejrzewa się o sympatie komunistyczne.

Należało jakoś temu zapobiec, powstrzymać Petera przed popełnieniem błędu, za który musiałby potem przez resztę życia płacić uwikłaniem w fatalne powiązania rodzinne (bo Rudi obawiał się, że z powodu surowych zasad religijnych chłopak może nie uznawać rozwodów). Tylko jak to zrobić?

Oczywiście istniało kilka możliwości, z których młody Hertz doskonale zdawał sobie sprawę. Jedną z nich stanowił donos. Peter, który nie miał ustosunkowanych krewnych i nie należał do Hitlerjugend, był łatwym celem. Wystarczyło przypomnieć o nim kolegom z organizacji albo porozmawiać z kimś z SA. Wprawdzie do ustawowego poboru do wojska Kesslerowi zostało jeszcze kilka miesięcy, jednak Rudi wiedział doskonale, że wystarczy rzucić podejrzenie o działalność antypaństwową, by całą rzecz przyspieszyć.

Rzecz w tym, że nie tego pragnął. Cóż by bowiem zyskał, gdyby Petera zabrano w kamasze? I zresztą – czy na pewno by go zabrano? Zapewne chłopak odmówiłby uczestnictwa w szkoleniu wojskowym, a wówczas trafiłby do więzienia. Nie o to Rudiemu chodziło. Chodziło mu o...

Właśnie sam już nie wiedział o co. Jednego był pewien: chciał widywać dawnego kolegę. Chciał na niego patrzeć. Może nawet

pobić się z nim, poszarpać. Ta myśl wydawała mu się dziwnie podniecająca, a Rudi wytłumaczył sobie, że nie chodzi o kontakt fizyczny; o to, by dotknąć tamtego, znaleźć się blisko, poczuć pod palcami jego skórę, zewrzeć się z nim w uścisku – lecz o nienawiść i pogardę dla tchórzostwa. Miał ochotę nauczyć Petera moresu, pokazać mu, czym się kończy lekceważenie Führera i idei jedności wielkiego narodu niemieckiego.

Rozwazał też inną możliwość: donos, lecz nie na dawnego kolegę, a na pana Dulke. Wprawdzie Rudolf osobiście nic na niego nie miał, jednak doskonale wiedział, że czasem wystarczy rzucić podejrzenie, by trybiki maszyny ruszyły – każdy wróg Tysiącletniej Rzeszy wzięty w jej obroty prędzej czy później powie coś, za co trafia się do obozu koncentracyjnego. Wtedy ślub Katrin i Petera niewątpliwie zostałyby przesunięty w czasie, a może nawet Katrin zupełnie by z niego zrezygnowała, bo przecież zapewne próbowałyby ratować ojca, wykupić, a wszystkie ewentualne oszczędności przeznaczono by na łapówki, a nie na wesele.

A jednak myśl o donoszeniu na kogoś, kto w gruncie rzeczy nie popełnił żadnego przestępstwa – nawet jeśli postępował niegodnie i nie zasługiwał na miano prawdziwego Niemca – była Rudolfowi Hertzowi wstrętna. Sam o sobie myślał, że jest prawym człowiekiem, ulepionym z lepszej gliny niż ci wszyscy głupcy, którzy nie wierzyli w geniusz Hitlera. Mógł ich potępiać, było mu także żal ich niedoskonałych, mizernych umysłów, lecz nie zniżyłby się do żadnej z podłych metod, by tych ludzi w jakiś sposób pograć. Przeciwnie, gotów był stanąć przed każdym wrogiem z otwartą przyłbicą i dzielnie walczyć w obronie swego Wodza oraz jego pięknych idei, które podniosły Niemców z kolan i znów uczyniły ich kraj wielkim.

Dlatego póki co postanowił nie robić nic. Jeszcze nie. Nie doniósł, nie knuł, nie próbował niczego zepsuć. Zamierzał jedynie nadal szpiegować Petera, obserwować go z ukrycia. Dziwił się tylko własnemu sercu, które łomotało mu w piersi jak oszalałe, ilekroć Kessler pojawiał się na ścieżce od strony Pforthen albo gdy Katrin rozpiniała narzeczonemu koszulę i całowała jego opalony tors.

Zresztą już wkrótce miało stać się coś, co sprawiło, że na jakiś czas Peter Kessler i jego planowany ślub z panną Dulke przestały mieć dla Rudiego znaczenie.

*

– Nie wyjadę bez niego! – powtarzała Katrin, niecierpliwie ocierając grzbietem dłoni łzy, które mimo jej usilnych prób nie chciały przestać płynąć. – Nie ruszę się stąd bez Petera!

A ponieważ ojciec wydawał się niewzruszony, zwróciła błagalne spojrzenie na matkę:

– Mamo, przecież musisz jeszcze pamiętać, jak to jest być zakochaną!

Urszula westchnęła głęboko, po czym odłożyła na stół ścierkę i wycierany właśnie garnek.

– Czy możesz zostawić nas same? – poprosiła męża, a ponieważ w jej głosie zadrgały silne emocje, Jacob czym prędzej się wycofał i wyszedł do ogrodu.

– Mamo, posłuchaj... – zaczęła Katrin, gdy za ojcem zamknęły się drzwi.

– Nie, to ty posłuchaj, Katarzyno! Ja doskonale wiem, czym jest miłość i czym jest zakochanie! Ani na chwilę nie przestałam kochać mężczyzny, za którego wyszłam. Kocham także ciebie, moje jedyne dziecko, oraz rodziców, dla których jestem jedyną córką. Muszę pamiętać o was czworgu i o was czworo muszę się w tych trudnych czasach zatroszczyć. Jedyne, o czym myślę od kilku tygodni, o co teraz dbam, to nasze wspólne bezpieczeństwo.

Rozumiesz? Nie randki, nie bukietki stokrotek, nie romantyczne schadzki przy księżycu i pocałunki, lecz życie. Bezpieczne życie!

– Ale mammo, ja nie mówię...

– Nie przerywaj mi! – Urszula była stanowcza jak nigdy. – Kiedy uznam, że jesteśmy bezpieczni, wychodź sobie za mąż, za kogo chcesz. Jeśli pragniesz zostać żoną człowieka, który w razie zagrożenia pozwoli się zabić, bo wiara zabrania mu walki, twój wybór. Jeśli chcesz na niego zarabiać, utrzymywać rodzinę, bo on nie podejmie pracy w fabryce tylko dlatego, że tam pracuje się w soboty... To twój wybór. Uszanuję to. Ale najpierw musimy znaleźć się w miejscu, gdzie nikt i nic nam nie zagraża. Dopiero wtedy pozwolę ci na podejmowanie samodzielnych, dorosłych decyzji.

Katrin spuściła głowę.

– Mówiliśmy wam przecież... Peter jeszcze nie ma paszportu. Jak ma wyjechać?

– Nie wiem. Niech się trochę postara. Może przecież wybrać się do Sorau i poprosić o przyspieszenie procedury, prawda?

Katrin pokręciła smutno głową.

– On nie ma pieniędzy, a sama wiesz, że dzisiaj za przysługę każdy chce łapówki... Czy nie możemy poczekać z tym wyjazdem? Dlaczego chcecie...?

– Nie chcemy, tylko musimy – przerwała jej ostro matka. – Musimy wykorzystać okazję, bo może się nie powtórzyć. Sama wiesz, że chętnych na kupno naszego domu nie ma aż tak wielu, a ci, którzy tu przychodzili, oferowali śmieszne pieniądze, niewspółmierne do wartości tego, co mamy. Więc skoro trafił się pan Borst, musimy przyjąć to, co nam daje. Tata już umówił spotkanie u notariusza. Teraz to tylko kwestia dni.

Katrin zalała się łzami. Urszula podeszła prędko do córki i przytuliła ją mocno.

– Jeśli naprawdę łączy was miłość, przetrwacie tę próbę – dodała już o wiele łagodniej, niemal szeptem, całując jasne włosy dziewczyny. – Będziecie do siebie pisać. A jak Peter załatwi odpowiednie dokumenty i sprzeda dom, to dołączy do nas w Gdańsku. Wówczas weźmiecie ślub i postanowimy, dokąd dalej się udać. Może do Ameryki, a może rzeczywiście do Holandii lub na przykład Wielkiej Brytanii. Jestem po twojej stronie, córeńko. Chcę, żebyś była szczęśliwa. Ale nie pozwolę ci tańczyć nad przepaścią.

W kolejną sobotę młodzi spotkali się w ogrodzie państwa Dulke, uznawszy, że skoro Peter został przedstawiony rodzicom, to nie ma już potrzeby kryć się po krzakach albo w wysokich trawach nad rzeką. Oczywiście mogliby zwyczajnie wejść do domu i usiąść w kuchni, jednak wtedy nie byłoby mowy o pocałunkach, a żadne z nich nie mogło sobie nawet wyobrazić takiego wyrzeczenia. Katrin przekazała Peterowi słowa matki, pomijając oczywiście te, które mogłyby sprawić mu przykrość.

– Tak myślałem – rzekł smutno, kiedy już scałował jej łzy i utulił tak czule, że przestała płakać. – Nie jestem dość dobrym kandydatem.

– Mama nic takiego nie powiedziała!

– Oczywiście, że powiedziała, tylko nie wprost. Ale właśnie to miała na myśli. Zabiorą cię do Danzig, licząc na to, że o sobie zapomnimy.

– Nie bądź niesprawiedliwy! Wiesz, że rozważaliśmy wyjazd już na długo przed tym, zanim się w tobie zakochałam. Pod tym względem nic się nie zmieniło!

Chłopak westchnął i opadł na trawę, podkładając sobie ręce pod głowę. Patrzył na skrawki błękitu między gałęziami jabłonki, na której już zawiązywały się owoce, ale tak naprawdę nie widział całego tego piękna, które ich otaczało.

– Przepraszam – mruknął ze smutkiem. – Masz rację. Nie powinienem gniewać się na twoich rodziców za to, że pragną cię chronić. Zresztą... Po namyśle... Ja wcale nie chcę.

– Czego nie chcesz?

– Nie chcę na razie tego ślubu.

Katrin siedziała oniemiała, wpatrując się w jego twarz. Poblądł, lecz poza tym nie widać było po nim żadnych emocji. Zamknął oczy i wyglądał, jakby drzemał.

– Dlaczego? – wykrztusiła dziewczyna. – Peter... Dlaczego?

Usiadł, wciąż z opuszczonymi powiekami, jakby się bał, że jeśli na nią spojrzy, wycofa się ze wszystkiego, co zamierzał powiedzieć.

– Dopóki nie ma pewności, że będę mógł razem z tobą wyjechać za granicę, nie ma mowy, żebyśmy się pobrali – powiedział, starając się, aby to zabrzmiało stanowczo. – Nie chcę być dla ciebie kamieniem u szyi i pociągnąć cię na dno, kiedy sytuacja się zaogni.

– Co to znaczy „zaogni”? Co masz na myśli?

– Och, Katrin, kochanie. Słucham tego, co mówią goście w karczmie, a wielu z nich to ludzie, którzy znają się na polityce i historii. Zobacz, Austrii już nie ma na mapie, a dopiero co była. Teraz jest częścią Rzeszy. Kto będzie następny?

– Ale przecież... Austriacy sami chcieli. Było referendum, prawda?

Peter pokiwał głową, ale nie jak człowiek, który przytakuje, lecz jak ktoś dziwiący się naiwności swego rozmówcy.

– Coraz częściej pojawiają się głosy, że wkrótce wybuchnie wojna – odrzekł po chwili. – Gościł u nas niedawno pan Bergman z Hamburga, to jest bardzo mądry człowiek. Twierdzi, że następna będzie Czechosłowacja, a potem Polska. I oczywiście Danzig. Jest solą w oku Hitlera. Nie będziesz bezpieczna ani tu, ani tam. Musisz wyjechać gdzieś dalej.

– Jaka wojna?! Przecież Anglia i Francja nigdy na to nie pozwolą...

– Z nimi też będzie wojna. Zobacysz.

– Nie chcę zobaczyć! – Katrin rozgniewała się i zacisnęła dłonie w drobne pięści. – Nawet nie mów takich rzeczy!

Widząc jej wzburzenie i lęk, chłopak poczuł ból w sercu.

– Gdy tylko uda mi się załatwić paszport, dołączę do ciebie – zapewnił żarliwie, tuląc ją i całując we włosy. – Nawet gdybym nie sprzedał domu. Nie muszę mieć pieniędzy na bilet, mogę iść pieszo. Choćbym miał iść cały rok, w końcu dojdę.

W zaroślach za parkanem coś zaszeleściło. Chłopak obejrzał się, lecz nic nie zobaczył. Uznawszy, że to jakiś duży ptak, spojrzął na Katrin, a wówczas jego twarz złagodniała. Znow przygarnął ją do siebie i szybko pocałował w usta, zerknąwszy jeszcze w stronę podwórka, gdzie pani Dulke rozwieszała pranie.

– Boję się – wyznała dziewczyna. – O ciebie, o nas, o naszą miłość. A co, jeśli się potem nie znajdziemy? Pamiętasz? Na początku sam tak mówiłeś, że możemy się pogubić, że do mnie nie trafisz!

– Trafię, kochanie. A gdyby miało się stać inaczej, to będę czekał na listy. I sam też będę do ciebie pisał.

Katrin już otwierała usta, żeby przypomnieć mu jego własny argument: że przecież nie będą znali swoich adresów. Uciszył ją pocałunkiem.

– Nie muszę ich wysyłać, prawda? – zapytał szeptem. – Będę je zbierał, a potem, kiedy się wreszcie spotkamy, przeczytasz wszystkie naraz. Pomyśl tylko. Każda wojna kiedyś się kończy, bylebyśmy ją przeżyli. Spotkamy się w naszym umówionym miejscu na rozstaju dróg, ty mi dasz swoje listy, ja tobie swoje i będziemy czytać, leżąc obok siebie na ciepłej, suchej trawie. A potem zabiorę cię do domu, naszego domu, bo wreszcie będziesz moją żoną i będę miał do ciebie prawo przed Bogiem i przed ludźmi. I będę cię kochał, i kochał... Aż do śmierci.

*

Rudolf wszedł do mieszkania na palcach i starannie, najciszej jak potrafił, zamknął za sobą drzwi. Matka od tygodnia czuła się bardzo źle, właściwie nieustannie wymiotowała czymś, co przypominało rozdrobioną kaszanę – nawet w te dni, kiedy nic nie mogła zjeść. Lekarz wezwany w ubiegły wtorek rozłożył tylko ręce i dyskretnie, aby chora go nie usłyszała, oznajmił mężowi i synowi, że należy przygotować się na najgorsze.

Przez wszystkie te dni Rudi siedział przy mamie i wychodził z domu tylko po sprawunki, ale dziś była sobota i nie wytrzymał. Wiedział, że Kessler spotka się z Katrin, że będą rozmawiać o ślubie. Po prostu musiał się dowiedzieć, co postanowili. Czy ona wreszcie wyjedzie i zostawi Petera w spokoju? Czy on dostał już paszport? A może pojechał do Sorau i dał łapówkę, by całą sprawę przyspieszyć?

Tym razem nie spotkali się pod lasem przy drodze do Pforten, więc Rudi długo ich szukał, zanim w końcu domyślił się, że nie mają już powodu, by ukrywać się po chaszczach. Poszedł ścieżką wzdłuż rzeki, a potem skręcił tuż za parkanem. I rzeczywiście – wkrótce usłyszał ich głosy i chwile ciszy, jaka zapadała między słowami. Pewnie znów się całują, pomyślał z niesmakiem.

Nie dowiedział się wiele – wysłuchał jedynie tych wszystkich głupich obietnic: będę czekał, będę pisał, jeszcze się kiedyś

spotkamy, zwykle bajdurzenie zakochanych. Ponieważ martwił się o matkę, ostatecznie zostawił gruchającą parkę w ogrodzie i czym prędzej ruszył w stronę miasteczka.

Po drodze spotkał tę namolną Marlene w towarzystwie koleżanki, chudej i niewydarzonej Anny Kushner. Próbowaly go zagadnąć, to znaczy Marlene próbowała, bo Anna jak zwykle tylko gapiała się na nich tymi swoimi zalęknionymi oczami. Obie panny budziły w nim niechęć. Wymówił się złym samopoczuciem i pospiesznie uciekł do domu.

A teraz, zdjawszy buty i opłukawszy ręce, które ubrudził nieco, gdy chował się w zaroślach, stanął nieruchomo w kuchni i zrozumiał, że coś jest inaczej. Nie wiedział, jak to możliwe, lecz nagle odniósł wrażenie graniczące z porażającą pewnością – a raczej nie tyle odniósł wrażenie, ile usłyszał – że matka nie żyje. Wokół niego panował jakiś bezruch: wypełniał dom i utrudniał oddychanie, jakby był gęstą materią. A do tego wyraźnie rozbrzmiewał ciszą, którą wydawać z siebie mogła tylko śmierć.

Rudi długo tak tkwił pośrodku kuchni, nie mogąc zebrać się na odwagę, by zajrzeć do pokoju mamy. Już wiedział, miał absolutną pewność, że ona nie żyje – więc po prostu powinien się pożegnać. W końcu zdobył się na to. Leżała dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił, wychodząc na poszukiwanie Petera, tyle że wtedy spała, a teraz była martwa. Jej twarz stała się gładka jak u człowieka, któremu wreszcie spadł z serca jakiś ciężar.

Nie zapłakał, nie był w stanie uronić ani jednej łzy, choć bardzo chciał, zwłaszcza teraz, dopóki ojca nie było w domu. Jednak łzy uwięzły mu w gardle i za nic nie chciały popłynąć. Rudolf poczuł, że oto w jego ciele zachodzi jakaś przedziwna reakcja chemiczna: wszystkie te małe słone krople przemieniają się w kamienie i zamiast toczyć się spod powiek, turlają się bezgłośnie gdzieś

w środku, gromadzą w okolicy serca, aż w końcu robi się tam tak ciężko, że nie sposób oddychać.

Takiego właśnie, siedzącego na łóżku i wpatrującego się bezmyślnie w popielatą twarz mamy, zastał go ojciec, który – jak się okazało – wiedział już o śmierci żony, więc poszedł po jedną z sąsiadek, *Frau Müller*, żeby zmarłą umyła i przebrała. Żadne z nich – ani ojciec, ani sąsiadka – nie wykazało się nawet odrobiną delikatności i taktu. Nie przyszło im do głowy, że chłopak chciałby w samotności pożegnać się z matką. Bezceremonialnie weszli do sypialni, półgłosem naradzając się co do szczegółów przygotowania ciała do pochówku.

Rudolf zerwał się z łóżka i stanął prawie na baczność, jakby chciał w ten sposób zasygnalizować, że tu jest, gotów do pomocy, gdyby trzeba było mamę podnieść albo coś znaleźć pośród jej rzeczy. Nie doczekał się jednak ich uwagi.

– Sukienkę sama pani wybierze – burknął ojciec do kobiety, po czym szerokim gestem otworzył szafę. – A resztę niewieścich szmat może pani zabrać, na co mnie te fatalaszki.

Nawet nie spojrzał na syna; po prostu obszedł go łukiem tak, jakby to był stojący na środku pokoju sprzęt, i opuścił mieszkanie. Rudolf domyślał się, że poszedł pić.

– Lepiej niech nie patrzy – mruknęła sąsiadka do chłopaka, także omijając go wzrokiem. – To nie będzie przyjemny widok. Ona by nie chciała...

– A czy nie mógłbym chwilę... posiedzieć z mamą? – odważył się poprosić.

– Łatwo się mówi: chwilę, chwilę! – zniecierpliwiła się tamta. – Zacznie się tu rozklejać, płakać, żegnać, a tymczasem trup sztywnieje. Potem ręce będę musiała jej łamać, żeby sukienkę włożyć.

Nie słuchał dłużej, uciekł, jakby go diabeł gonił. Przez wąskie uliczki miasta, nad rzekę, a potem do lasu. Odgłos własnych kroków na drewnianych schodach rozbrzmiewał mu w uszach jeszcze długo potem, nawet kiedy już stąpał po leśnej ścieżce. Najpierw długo biegł, aż do utraty tchu, lecz w pewnej chwili poczuł się tak wyczerpany, że po prostu padł na pachnącą igliwem ściółkę. Coś silnie zabolalo go w trzewiach i zwinął się, jak po ciosie w brzuch.

„Ręce będę musiała łamać” – przypomniało mu się. Gwałtowny skurcz żołądka sprawił, że Rudi zwymiotował. Na czworaka odpełził kilka metrów dalej, przyłożył policzek do miękkiej poduszki mchu, zamknął oczy i leżał tak bez jednej myśli. Po kilkunastu minutach wstał i potykając się, zawrócił do miasteczka.

Nastaly teraz dziwne dni, w których nie było miejsca na myślenie o Peterze i Katrin. Od czasu pogrzebu ojciec niemal nie trzeźwiał, zupełnie jakby puściły w nim jakieś hamulce, zablokowane przez lata życia u boku chorej kobiety. A może bez alkoholu nie potrafił stawić czoła faktowi, że zostało ich tylko dwóch – ojciec i syn, niby dorosły, ale wciąż moczący łóżko, sprawiający zawód ojcu, bo nadwrażliwy, bojący się pajaków i tęskniący za matką?

Rudiemu był go nawet żal, gdy wtaczał się wieczorem do sieni, opierał swoje wielkie cielsko o futrynę i przez chwilę zbierał siły, by dojść do łóżka. Biedny stary Hertz. Biedny, zapluty, zapijaczony wdowiec, z resztkami tłuszczu na wąsach, bo do sznapsa lubił golonkę, a do głowy mu nie przyszło, że po posiłku można by się umyć lub chociaż wytrzeć. Był niczym zwierzę albo gorzej: jakaś pierwotna forma życia. Po paru dniach takiego wegetowania cuchnął straszliwie. Apteka nie działała od tygodnia,

a Rudolf zastanawiał się, z czego opłaca rachunki i kupią jedzenie, jeśli ojciec nie weźmie się w garść. Oczywiście on sam mógłby poszukać pracy, lecz jego żalobie po matce towarzyszyło dojmujące poczucie tymczasowości. Wiedział, że musi coś postanowić, ale zdawał sobie przy tym sprawę, że jego decyzje nikogo nie interesują, że jest tylko trybikiem w potężnej maszynie. I nawet jeśli znajdzie zajęcie albo zdecyduje się na studia w Berlinie, to pewnego dnia po prostu zostanie powołany do wojska, ponieważ jest młodym mężczyzną, a młodzi mężczyźni muszą włożyć mundur, nawet jeśli tego nie chcą albo sikają do łóżka. Na swój sposób Rudolfa to cieszyło, bo było jedynym ogniwem łączącym go z Peterem Kesslerem – jednak znacznie więcej niż tej niezrozumiałej radości czy raczej satysfakcji było w nim strachu. Przed upokorzeniem. Przed śmiesznością. Przed szykanami.

Którejś nocy ojciec nie wrócił. Zawsze wtaczał się do mieszkania około północy, bo wtedy zamykano knajpę, w której zwykł pić; ewentualnie niekiedy droga zajmowała mu nieco więcej czasu, lecz teraz dochodziła druga, a jego wciąż nie było. Rudi budził się co kilkanaście minut, a ten porwany na strzępy sen był bardziej wyczerpujący, niż gdyby chłopak nie spał wcale. Przynajmniej nie zmoczę prześcieradła, pomyślał gorzko, ale zaraz potem zaczął niepokoić się o starego.

Kto wie, czy nie wdał się w jakąś bójkę, pomyślał. Już raz tak było – stary Hertz dowlókl się wtedy do domu posiniaczony, z obrzękiem na oku i krwawym soplem krzepnącym na wąsie. Nie umiał wyjaśnić, kto go poturbował, bełkotał jedynie, że i tamten niezłe oberwał. Rudi pomógł mu obmyć twarz i zaprowadził do łóżka w nadziei, że ta przygoda będzie dla ojca jakąś nauką. Niestety, tak się nie stało: już dwa dni później, wciąż jeszcze

podpuchnięty, niegdyś szanowany aptekarz, a obecnie menel i obszcymurek, wpadł w ciąg. Zapytał nawet syna, czy napije się z nim sznapsa, a kiedy chłopak odmówił, został nazwany ciotą, która leje w pościel i nie potrafi nawet się zabawić jak mężczyzna.

Czy można stać się pijakiem z dnia na dzień? – zadawał sobie pytanie Rudolf, ubierając się owej nocy, by wyjść na miasto i poszukać taty. Jak to możliwe: zmienić się tak bardzo i tak nagle – z człowieka niemal fanatycznie przestrzegającego reguł przeistoczyć się w kogoś, kto za nic ma wszelkie zasady?

Wyszedł w ciemność, nie zamykając drzwi na klucz; uznał, że o tej porze żadnemu złodziejowi nie przysłoby do głowy, by myszkować po kamienicy. Poza tym ojciec mógł w każdej chwili wrócić, a zastawszy mieszkanie zamknięte, narobiłby rabanu na klatce schodowej – i byłby wstyd przed sąsiadami.

Pierwsze kroki Rudolf skierował do knajpy, lecz tak jak sądził, była już zamknięta. Udał się więc na rynek, obszedł kościół i budynek ratusza, sprawdzając każdą ławkę. Potem zajrzał na Schloss Strasse, bo pijany ojciec mógł się zwalić gdzieś pod murem okalającym stary zamek. W zaroślach chłopak natknął się na baraszkującą parke; w pierwszej chwili zamierzał nawet zapytać, czy amatorzy miłości pod gołym niebem nie widzieli aptekarza, uznał jednak, że to prawdopodobnie prostytutka z klientem, i z obrzydzeniem odszedł czym prędzej.

Noc była gorąca, wręcz parna; po długiej fali upałów chyba wreszcie zbierało się na burzę. Powietrze stało w bezruchu, jakby cały świat wstrzymał oddech przed nadejściem nawałnicy. Rudolf kluczył wokół serca miasta, zataczając coraz szersze kręgi; przewędrował w ciemności Schillstrasse i Eichestrasse, lecz ojca tam nie było. Wreszcie usiadł na ławce nieopodal budynku teatru, w pobliżu miejsca, gdzie wiosną rozłożyło się wesołe miasteczko.

Serce ścisnęło mu się boleśnie na myśl o tym, że Peter Kessler planuje wyjazd, a on zostanie tu i będzie ścierał krwawe skrzepy z twarzy ojca pijaka, póki nie dostanie powołania do wojska. Potem raz i drugi zasika łóżko, więc zwolnią go ze służby, uznawszy, że nie nadaje się do niczego, a wieść oczywiście rozniesie się po miasteczku w mgnieniu oka. Oto jakie czekało go życie. W owej chwili czuł się najniezwyklejszym człowiekiem na świecie; jedynym wyjściem wydawało się samobójstwo.

Myśl o kontrolowaniu pęcherza podpowiadała mu, że ojciec w swej pijackiej logice mógł pójść do parku, by załatwić potrzebę fizjologiczną. Jeśli rzeczywiście tak się stało, to po ciemku niełatwo będzie go znaleźć. Rudi westchnął, podniósł się z ławki, po czym ruszył wzdłuż brzegu Lubst w stronę willi Hecht. Jak to miał w zwyczaju, zatrzymał się na chwilę przy murku otaczającym piękny budynek, zadając sobie w duchu pytanie: Ciekawe, jakie to uczucie, mieć tyle pieniędzy, że można sobie pozwolić na najładniejszy dom w mieście?

Nagle od strony parku, tuż obok mostu, coś zaszeleściło w zaroślach. Mogło to być duże zwierzę, ale mógł być również człowiek. Rudi zdusił w sobie chęć ucieczki w stronę Bismarckstrasse, oświetlonej przez latarnie gazowe. Ostrożnie, by nie ześlizgnąć się po stromym brzegu, posuwał się wzdłuż rzeki, która na szczęście była w tym miejscu wąska. Nawet jeśli wpadnę do wody, uspokajał się w duchu, to przecież się nie utopię. Nie mogło tu być głęboko, skoro nie padało od kilku tygodni.

– Skurwysyny – dobiegł go w ciemności bełkotliwy głos ojca. – Wydaje im się, że kim są? Jakoś nie widziałem żadnego w okopach pod Verdun.

– Tato? Tato, co ty tu robisz?! – zawołał Rudi zduszonym szeptem. – Wpadłeś do rzeki?!

Przez chwilę panowała cisza, a potem w wodzie coś się zakotłowało.

– A to moja ciota! – wrzasnął stary Hertz na całe gardło. – Moja ciota po mnie wyszła! Jakim cudem zdobyłeś się na odwagę, mięczaku?! Przecież tu mogą być pająki i myszy, kto wie, może nawet szczury! Ha, tu na pewno są szczury! Jak tam? Nie posikałeś się jeszcze, cioto?!

Rudi, purpurowy na twarzy mimo ciemności, wyciągnął ręce przed siebie i zaczął po omacku szukać ojca.

– Nie krzycz tak. Pobudzisz ludzi – powiedział głosem drżącym z wściekłości. – Gdzie jesteś?

– Jak pobudzę, to pobudzę! – krzyknął ojciec buńczucznie. – Nie o to ci przecież chodzi, żebym nie budził, tylko żebym milczał. Bo jeszcze ktoś się dowie, że nie zabrałeś ze sobą pieluszki i lada moment zlejesz się w gacie!

W Rudolfie zawrzało. Teraz już widział przed sobą białą plamę ojcowskiej twarzy, dosłownie na wyciągnięcie ręki. Stary stał po uda w wodzie, tuż przy mostku. Na szczęście nurt był leniwy. Chłopak ostrożnie zszedł dwa kroki niżej. Zamierzał chwycić pijanego i wyciągnąć na brzeg, ale tamten zamachnął się i uderzył syna w brzuch.

Cios nie był silny, lecz zaskoczenie sprawiło, że Rudiego odrzuciło na trawę porastającą stromy brzeg. Gdybym wszedł głębiej, już bym leżał w wodzie, pomyślał. Wystarczyłoby się zachłysnąć albo uderzyć skronią o kamień, żeby nigdy nie wstać.

– No dawaj! – zawołał pijany Hertz. – Stań do walki, cioto!

Rudolf nie umiałby wyjaśnić, jak to się stało: po prostu nagle, dosłownie w ułamku sekundy, dokonała się w nim przemiana. Jakby ktoś przekreślił wyłącznik światła, a w jego sercu

zapanowała ciemność. Wstał, postąpił kilka kroków, aż znalazł się w chłodnej wodzie, tuż naprzeciwko ojca.

– Nie jestem ciotą – wycedził przez zęby, po czym z całej siły pchnął starego do tyłu.

Rozległ się dziwny odgłos, coś jakby mlaśnięcie połączone z chrzęstem, po czym stary Hertz wpadł do wody. Rudi widział w ciemności zarys jego nieruchomego ciała. Sądził, że ojciec zacznie się ruszać, dźwigać ku górze, ale nic takiego się nie stało. Runął na wznak jak kłoda i zapadła cisza.

Dopiero po chwili do Rudolfa dotarło, czego właśnie był świadkiem – tata musiał uderzyć głową w metalową krawędź mostu. Zapewne jest nieprzytomny, myślał chłopak, patrząc pod nogi. Coś dziwnego stało się z czasem – zwolnił, stał się gęsty i kleisty, podobnie jak woda i powietrze; jakby cały świat za wszelką cenę chciał powstrzymać Rudiego przed wykonaniem jakiegoś niepotrzebnego gestu.

Młody Hertz stał więc nieruchomo, usiłując uporządkować chaos we własnej głowie. Po chwili zaczął szeptać. Tłumaczył sobie jak dziecku:

– Stracił przytomność i dlatego nie walczył, nie próbował się podnieść. A teraz do jego płuc wdziera się woda, wypierając powietrze. Nawet gdybym go wyciągnął, nic by to nie dało. On się utopił. To nieszczęśliwy wypadek. Utopił się, bo był pijany i uderzył głową o most. Tak. Nic nie mogłem zrobić.

Z wysiłkiem wyszedł z rzeczki i przez chwilę jeszcze stał bez ruchu na brzegu, podczas gdy woda z jego butów i nogawek wsiąkała w trawę. Potem powoli ruszył w stronę domu, a każdy jego krok zostawiał na chodniku mokre ślady, niczym olbrzymie łzy.

*

Tej nocy rozpętała się straszna burza. Ponieważ od wielu tygodni nie padało, sucha ziemia nie była w stanie przyjąć takich ilości wody. Ścieżki i drogi polne zamieniły się w wartkie strumyki. Na niżej położonych ulicach utworzyły się głębokie kałuże, kanalizacja wybiła, a poziom wody w Lubst podniósł się błyskawicznie.

Katrin wróciła z kościoła cała przemoczona, bo rano wciąż jeszcze lał deszcz. Przebrała się i odłożyła sukienkę do prania, postanawiając zająć się nią w poniedziałek. Usiadła przy oknie i zapatrzyła się w granatowe brzuszysko chmury wiszącej nad sadem.

Został im tylko tydzień. Ojciec był umówiony na środę u notariusza, wtedy sprzedaż domu miała stać się faktem. Ustalono, że w następny poniedziałek Katrin i Urszula wyjadą do dziadków, ojciec zaś dołączy do nich później, gdy tylko uda mu się posprzedawać te sprzęty i meble, których nie mogli ze sobą zabrać.

Trwało wielkie pakowanie, a w oczach członków rodziny Dulke kręciły się łzy. Płakali nad wszystkim: nad zachowanym na dnie szuflady kajecikiem Katrin z pierwszymi nieporadnie stawianymi literami, nad podniszczonymi książeczkami z dzieciństwa,

stępionymi widłami, których używał jeszcze dziadek przed wielką wojną, zszywanym z kwadratów pledem w drobne wzorki...

– Pakuj tylko to, co możesz udźwignąć – pouczał córkę Jacob. – Jest takie łacińskie powiedzenie: „*Omnia mea mecum porto*”. Wszystko, co moje, noszę ze sobą.

– Tak, ale ono dotyczy czegoś innego – odparła nachmurzona Katrin. – Uczyliśmy się tego na historii. Ta sentencja oznacza, że naprawdę wartościowe jest tylko to, co masz w sobie. Mądrość, dobroć, szlachetność...

– Ależ ja mówię w gruncie rzeczy o tym samym. – Ojciec nie zwracał uwagi na jej fochy. – Przedmioty, jakkolwiek cenne ci się teraz wydają, po prawdzie nie są niezbędne do życia. Dlatego proszę, żebyś wyzbyła się sentymentów i wyrzuciła stare pamiątki i bibeloty... Wyrzucić albo po prostu zostaw wszystko, co w razie potrzeby można będzie kupić.

– A książki? Zawsze uczyłeś mnie szacunku dla nich, a teraz każesz mi je wyrzucić?

– Może rodzina pana Borsta także czyta – pocieszył ją Jacob z uśmiechem.

– Mówiłeś, że zamierzasz sprzedać biblioteczkę.

– Bo to solidny, dobry mebel. Mogę za niego dostać niezłą cenę. Natomiast książki zostawimy.

– Już wiem! – Katrin klasnęła w dłonie. – Zawiozę je do Petera. Przecież kiedyś, po ślubie, i tak się tam wprowadzę...

– Czy nie rozmawialiście raczej o sprzedaży domu w Leipe?

Katrin spochmurniała.

– Owszem, rozmawialiśmy – przyznała. – Ale Peter sądzi, że nikt nie zechce go kupić. Twierdzi, że sama ziemia też niewiele jest warta...

– Więc jednak nie zamierza wyjechać? Będzie tu na ciebie czekał?

W głosie Jacoba zabrzmiała nadzieja. Tata liczy na to, że ja i Peter zapomnimy o sobie, uświadomiła sobie dziewczyna. Że kiedy wyjadę, cała rzecz rozmyje się niczym słowa zapisane patykiem na piasku.

– Zamierza wyjechać – odparła. – Tato, dlaczego ty nie chcesz, żebym była szczęśliwa?

– Ależ chcę! Córuś, chcę! Tylko... Wy jesteście jeszcze tacy młodzi... W tym wieku popełnia się błędy, to naturalne.

– Byłeś tylko o rok starszy od Petera, kiedy poznałeś mamę. Czy popełniłeś błąd, żeniąc się z nią?

Jacob roześmiał się serdecznie.

– Potrafisz dobierać argumenty, tego nie można ci odmówić – przyznał. – No dobrze, może rzeczywiście to, co czujecie do siebie, okaże się miłością na całe życie. Ale czasy są teraz inne, nic na to nie poradzimy. Dwadzieścia lat temu świat lizał rany po wojnie, wszyscy marzyli tylko o pokoju i życiu w zgodzie. Teraz zaś stoimy na przeciwnym biegunie, dziecko. Nie mam nic przeciwko temu, żebyście z Peterem sobie to i owo przyrzekli, żebyście byli sobie wierni, pisali do siebie, czekali... Jeśli Bóg da, znajdziemy miejsce, gdzie można żyć spokojnie i bezpiecznie, a wówczas nie powiem złego słowa, jeśli twój chłopiec do nas dołączy i...

– Więc się zgadzasz! – zawołała Katrin, klaszcząc w dłonie. – Och, tato, dziękuję!

I wybiegła, zostawiając w pokoju niepomiernie zdziwionego Jacoba, który nie był pewien, co takiego właściwie powiedział i na co się zgodził.

Katrin wiedziała, że w niedzielę karczma w Leipe otwarta jest krócej niż w pozostałe dni tygodnia. Gdyby tak pojechać do Petera pod pretekstem zawiezienia mu kilku książek? Przecież tatko sam pochwalił ten pomysł, może nie bezpośrednio, ale na swój sposób go zaaprobował.

Po obiedzie dziewczyna spakowała swoje najukochańsze niemieckie książki (te po polsku odżałowała, ponieważ uznała, że nie byłoby dobrze, gdyby w obecnej sytuacji ktoś znalazł je u Petera), po czym przypięła paskiem koszyk do bagażnika roweru i czym prędzej, zanim rodzice się zorientują, wyprowadziła go na drózkę wiodącą do Pfortener Strasse. Wiedziała, że mama nie pochwalałaby tej eskapady, lecz przecież nie musi się dowiedzieć, dokąd córka pojechała. Mogła to być zupełnie niewinna letnia przejażdżka.

Katrin wiedziała, że lasem do Leipe biegnie skrót przez Thurno, obawiała się jednak, że nie trafi; dlatego najpierw pojechała do Pforten i dalej do Hoh-Jeser, a tam zapytała jakiegoś przechodnia o drogę do wsi Petera. W ten sposób była na miejscu dopiero po południu, ale ponieważ letnie dni były długie, a wieczory jasne, nie przejmowała się tym. Jechała, wdychając powietrze odświeżone nocną burzą, i czuła się niemal szczęśliwa. Na szczęście już nie padało. Świat pachniał mokrą ziemią, ziołami i żywicą, rozbrzmiewał brzęczeniem owadów i świergotem ptaków. Cudownie było tak jechać, czuć zmęczenie nóg i wiedzieć, że u celu będzie można odpocząć w ramionach ukochanego.

Wieś była nieduża i raczej biedna. Co zaskakujące, wszystkie domy stały po jednej stronie ulicy, podczas gdy po drugiej znajdowały się piece do wypieku chleba. Katrin nigdy dotąd nie widziała takiej zabudowy. Zatrzymała się na chwilę przy budynku karczmy, jednak ta była już zamknięta; dziewczyna pojechała więc

dalej, a gdy droga stała się zbyt piaszczysta, zsiadła i postanowiła prowadzić rower. Wreszcie dotarła do pomnika ku czci poległych na wielkiej wojnie. Tu musiała już zapytać o dom Petera, bo droga się rozwidlała. Na szczęście jakaś kobieta wyszła akurat z zagrody naprzeciwko pomnika, więc Katrin zagadnęła ją o gospodarstwo Kesslerów.

– Tam, w stronę Drahthammer. – Nieznajoma pokazała ręką kierunek, bez skrępowania lustrując wzrokiem pytającą od stóp do głów. – Ostatnie zabudowania.

Katrin zarumieniła się z emocji. Czuła, że serce wali jej w piersiach jak szalone, jakby za chwilę stać się miało coś wielkiego, ostatecznego. W tej chwili kochała Petera miłością niemal bolesną, a zarazem tęskniła do jego widoku tak, jakby nie widziała go od wielu miesięcy – choć przecież zaledwie poprzedniego dnia tulił ją i całował. Jak będę się czuła, gdy naprawdę przestaniemy się widywać? – zadała sobie pytanie i z przejmującą jasnością pojęła, że oto właśnie pisze się jej los, ich los; że każdy z tych dni, jakie są im jeszcze dane, każdą rozmowę i pieśczętę będą wspominać przez resztę życia. Bo przecież tylko raz w życiu kocha się tą pierwszą miłością i nosi się ją w sercu aż do starości, pielęgnuje jej wspomnienie niczym rzadki gatunek kwiatu. Miłość, do której będzie się porównywać wszystkie kolejne.

Nie, nie chcę, żeby były jakiegokolwiek kolejne! – Katrin ofuknęła się w myślach. Będziemy razem już zawsze, tak jak mama i tata. Uda nam się przechytryć zły los, całą tę wojnę, o której mówił Peter, wszystkich tych chorych na nienawiść ludzi, którzy chcieliby oddzielić „prawdziwych” Niemców od takich mieszańców jak ja. Uda nam się! Musi się udać!

Domek był nieduży, ale schludny i urokliwy. Za podwórkiem znajdował się malutki kurnik, koło którego grzebały w ziemi trzy kury, wychodek, a także dwie szopy i przybudówka na drewno. Katrin zastała Petera przy pracy. Zupełnie zapomniała, że niedziela była dla niego zwyczajnym dniem. Rąbał właśnie żywiczne pniaki sosnowe na cienkie drzazgi, by mieć smolaki na rozpałkę.

– Katrin! – Na jej widok bardziej zdumiał się, niż uradował. – Co tu robisz? Stało się coś?

Dziewczyna poczuła rozczarowanie. Cieszyła się, że sprawi mu niespodziankę, wyobrażała sobie, jak weźmie ją w ramiona, a tymczasem on wyglądał raczej na zaniepokojonego i skrępowanego niż uradowanego.

– Przywiozłam książki – powiedziała, wskazując na koszyk. – Jest tego więcej, ale się nie zmieściły. Pakujemy się i ojciec kazał mi wyrzucać wszystko, czego nie możemy ze sobą zabrać... Ale przecież książki...

– Tak, oczywiście. Przechowam je dla ciebie.

Nie podszedł, nie przytulił jej, a wręcz przeciwnie – cofnął się o krok.

– Szkoda, że nie wiedziałem – mruknął, wyraźnie zakłopotany. – Umyłbym się i trochę posprzątał...

I wtedy zrozumiała: Peter się wstydził. Poszarzałych od starości sztachet w płocie, przepoconej koszuli, w której pracował, chwastów na podwórku, zapewne także skromnego wnętrza, do którego będzie musiał ją zaprosić, bo przecież nie będą tak stali na zewnątrz.

– Ładnie tu – powiedziała, patrząc mu w oczy. – Jeśli nie uda ci się sprzedać domu i ziemi, to wcale się nie zmartwię. Chciałabym pewnego dnia zostać panią na tych włościach.

Uśmiechnął się, choć wciąż jeszcze wydawał się zażenowany.

– Został nam tydzień – dodała Katrin. – W przyszły poniedziałek wyjeżdżam wraz z mamą do Gdańska. Proszę, wykorzystajmy ten czas najlepiej, jak potrafimy.

Peter zadrżał, jakby oblała go zimną wodą.

– Tydzień? – powtórzył głucho. – Dobry Boże, tylko tydzień.

A potem wbił siekierę w pień, podszedł do dziewczyny i wziął ją za rękę.

– Chodź – szepnął. – Poudawajmy, że jesteś moją żoną i wróciłaś z miasta, a ja właśnie rąbałem drewno, żeby rozpalić w kuchni i zaparzyć ci herbaty.

*

Ostatni tydzień wydawał się Peterowi snem. Od ubiegłej niedzieli, kiedy Katrin przyjechała do niego i spędzili razem całą godzinę tak, jakby naprawdę byli małżeństwem, poprzez wszystkie kolejne dni, w których gnał do niej zaraz po pracy, by choć przez chwilę mogli pobyć razem, a potem wracał sam przez las, słuchając pohukiwań nocnych ptaków i rozpamiętując każdy pocałunek – wszystko było niczym czarowna baśń.

Państwo Dulke najwyraźniej przyjęli już do wiadomości, że młodzi są po słowie, bo pozwalali im pobyć chwilę na osobności. Zapraszali też chłopaka do wspólnego posiłku, dzięki czemu po raz pierwszy od lat Peter odnosił wrażenie, że znów ma rodzinę. Nie potrafił jednak cieszyć się tym uczuciem, bo we wszystkim, co robili, w każdej pieszczocie i w każdym pocałunku Katrin był smutek. Jakby tęsknili za sobą już teraz, zanim padły słowa pożegnania.

Aż w końcu nadeszła sobota – ostatni dzień, jaki mogli ze sobą spędzić przed rozstaniem – nareszcie cały dzień, od rana do wieczora; nie pojedyncze, kradzione życiu minuty, lecz okrągłutkie godziny, na które Peter cieszył się jak dziecko.

Już wcześniej ustalili, że rano on przyjedzie do niej, zapakują pozostałe książki, których Katrin nie potrafiła wyrzucić, wezmą

także przetwory ze spiżarni pani Dulke – i razem zawiozą to wszystko do Leipe.

Tym razem Peter przygotował się do wizyty swojej dziewczyny: posprzątał w domu, uporządkował także podwórko, a rano umył się i ogolił starannie. Poprzedniego dnia dostał od pana Lehmana butelkę słodkiego wina, a Katrin upiekła ciasto ze śliwkami, więc teraz rozłożyli wszystko w kuchni, na podniszczonym, lecz wytartym do czysta stole. Peter podał talerzyki i łyżeczki, Katrin usiadła. Oboje byli przejęci i w uroczystym nastroju.

– Myślałam o naszym ślubie – powiedziała dziewczyna w pewnym momencie, patrząc, jak on rozpala w westfalce, żeby wstawić wodę na herbatę.

Spojrzał na nią z lękiem. Co znaczy „myślałam”? Że ma wątpliwości? Chce się wycofać? Uważa, że zdeklarowała się za wcześnie?

– Skoro nie zostałeś ochrzczony i formalnie nie należysz do żadnego kościoła – kontynuowała – to... kto powinien nam go udzielić? Jak to jest z sakramentami w twojej wierze?

Peter odsunął krzesło i usiadł naprzeciwko niej, czując nagłe wzruszenie. Dzielił ich podniszczony, porysowany przez długie lata użytkowania blat stołu, przy którym jadal posiłki jeszcze jego pradziadkowie. Czy kiedyś podobne pytanie zadała dziadkowi babcia? Albo mama ojcu? Bo przecież to one wchodziły do rodziny, to dla nich religia Kesslerów była czymś dziwnym, innym.

– Rodzicom ślubu udzielił dziadek – odparł. – Wiem, bo opowiadał mi o tym. Dobudowali z ojcem drugą izbę, wstawili tam kufer i łóżko, a potem odbyły się zaślubiny i młodzi po prostu zamieszkali w tym domu.

Katrin patrzyła na niego intensywnie, jakby chciała, aby dodał coś więcej.

– Ale tak naprawdę przysięgali Bogu i samym sobie, a nie dziadkowi – dorzucił jeszcze chłopak. – Żeby ślubować miłość, niepotrzebna jest przecież ta cała otoczka. Wystarczy poprosić Pana o błogosławieństwo i złożyć przysięgę na Biblię... No, oczywiście jest także ślub w urzędzie. Ale to, co najważniejsze, odbywa się w sercu.

Dziewczyna wstała. Oczy jej płonęły jakby w uniesieniu.

– Czy jesteś pewien, że chcesz mnie za żonę? – zapytała cicho.

– Katrin... – wyszeptał. – Oczywiście, że jestem pewien.

Nie musiała mówić nic więcej; domyślił się, czego pragnie. Przyniósł z pokoju Pismo Święte, Katrin rozłożyła białą ściereczkę i położyli na niej Księgę, bo tak wydało im się właściwie, bardziej podniosłe. Potem wzięli się za ręce i stojąc przy stole, patrząc sobie w wypełnione łzami oczy, złożyli przysięgę. Nie powtarzali formułek, nie recytowali oklepanych fraz, zresztą Peter nawet ich nie znał. Mówił prosto z serca, składał własne ślubowanie, a potem Katrin zrobiła to samo.

– Będę cię kochał i chronił aż do śmierci. Będę twoją podporą, twoim ramieniem, ilekroć opadniesz z sił. Będę ci wierny, nie skłamię, nie zawiodę, nie oszukam cię nigdy. Będę najlepszym ojcem naszych dzieci, a jeśli będzie trzeba, poświęcę życie, żeby chronić moją rodzinę.

– Będę cię kochała i nigdy nie opuszczę. Będę ci żoną i kochanką, i przyjaciółką, i matką twoich dzieci. Będę o ciebie dbała, opatrzę twoje rany, jeśli się skaleczysz, i ukoję twój smutek w złe dni. Otulę cię własnym ciałem, gdy będzie ci zimno. Zrobię, co w mojej mocy, żebyś był szczęśliwy.

– I upieczesz mi ciasto. Drożdżowe.

- Tak, upiekę.
- A potem zjemy je z masłem i konfiturą.
- Zjemy.
- Będziemy prawdziwą rodziną.
- Tak. Będziemy rodziną.

Później pocałowali się, biorąc Boga na świadka tej miłości. Resztę dnia spędzili w swych czułych objęciach, na łóżku Petera, w zamyśleniu i rozmarzeniu. Nie było w tym pożądania, a wyłącznie czułość, jakby to wszystko, przed czym dotychczas musieli się powstrzymywać, teraz straciło swą moc. Jeszcze zdążymy poznać miłość cielesną, myślała Katrin. Będzie wiele takich dni, będą długie noce, pełne pocałunków i pieszczot.

Peter z kolei nie myślał o tym wcale. Tuląc do siebie tę upragnioną dziewczynę, układał w duszy pieśni dziękczynne i wielbił Stwórcę za to, że Ten pozwolił mu kochać i być kochanym.

– Nawet gdybym umarł w tej chwili, umarłbym szczęśliwy – szepnął, wtulając twarz w jej płowe włosy. – Otrzymałem bowiem więcej, niż kiedykolwiek miałem odwagę sobie wymarzyć.

W niedzielę wieczorem Katrin przyjechała znowu. Peter spodziewał się, że będzie to pożegnanie, okazało się jednak, że los sprawił im niespodziankę: pani Dulke złapała okropne przeziębienie i w związku z tym podróż przesunięto o kilka dni. Młodzi potraktowali to niczym dar – jakby sam Bóg dawał im znak, że miły jest Mu ich związek, że go pochwała i błogosławi.

Początkowo nie rozmawiali, zbyt wzruszeni; po prostu tulili się do siebie z całej siły i czule dotykali. Potem Katrin wzięła się w garść.

– Byłeś w Sorau? – zapytała. – Złożyłeś wniosek o paszport?

– Tak, zabrałem się z panem Lehmannem we wtorek.

– I co ci powiedzieli?

– Nic, Katrin. Oni tylko przyjmują dokumenty. Mam czekać.

Dziewczyna usiadła na łóżku i ujęła dłonie Petera w swoje.

– Gdy tylko okaże się, gdzie zamieszkamy, natychmiast do ciebie napiszę – obiecała. – I podam ci adres. Do tego czasu nic nie rób, nie wyjeżdżaj, bo świat jest za duży, byśmy bez żadnego planu mogli się znaleźć. Pamiętaj: adres jest najważniejszy. Już wkrótce znowu się zobaczymy, obiecuję. Jesteśmy teraz mężem i żoną, przysięgaliśmy sobie przed Bogiem, więc nie wolno nam się pogubić. Wszystko się ułoży, przekonasz się.

Peter kiwnął głową. Był bardzo smutny, prawie się nie odzywał. On w nas nie wierzy, przemknęło Katrin przez głowę.

– Kiedy tylko dostaniesz paszport, poszukasz kupca na dom – dodała stanowczym tonem, jakby pouczała niegrzeczne dziecko. – Może się uda. Wówczas moje książki zostawisz u pana Lehmana, tak jak się umawialiśmy. Ale jeśli nie sprzedasz domu, to i tak przyjedź. Masz trochę pieniędzy?

– Niewiele – przyznał Peter. – Ale to i owo mam. Ostatnio wcale nie kupowałem jedzenia, jadałem w karczmie, więc zaoszczędziłem.

– Dobrze. Ja też trochę uzbierałam i chcę ci je dać...

Peter zerwał się gwałtownie i zaczął chodzić po pokoju. Podłoga pod jego stopami zaskrzypiała żałością.

– Nawet o tym nie myśl! – rzucił gniewnie. – Nie ma mowy!

Katrin pokręciła głową.

– Zostawiam ci to, co zarobiłam, opiekując się dziećmi *Frau Schwarz* – oznajmiła. – To są moje pieniądze, tylko moje, i mogę z nimi zrobić, co zechcę! Nie jest tego dużo, ale...

– Katrin!

Teraz ona także wstała i zastąpiła mu drogę, bo ta jego bezsensowna wędrówka od ściany do ściany wprowadzała ją w rozedrganie. Spojrzał jej w oczy z determinacją.

– Ponieważ moim największym marzeniem jest, żebyś do mnie przyjechał, przeznaczam te pieniądze na twój bilet – odpowiedziała, nie zważając na jego zaciętą minę. – Rozumiesz? Nie robię tego dla ciebie, lecz dla siebie samej. Jestem okropnie samolubna. Chcę cię mieć, Peterze, chcę, żebyś przyjechał do mnie i żebyśmy wzięli ślub w urzędzie, żebym mogła naprawdę być twoją żoną, nazywać się panią Kessler i żebyśmy wreszcie razem zamieszkali, gdziekolwiek to będzie, w Gdańsku czy w Ameryce. Nie dbam o to...

– Pani Kessler – szepnął, łagodniejąc na dźwięk tych słów, po czym zamknął jej usta pocałunkiem. – Kocham cię. Naprawdę jesteś moją żoną. Bardzo naprawdę. A teraz przestańmy już rozmawiać. Bóg podarował nam kilka dni, kilka cudownych wieczorów. Zamierzam cieszyć się każdą sekundą i celebrować te chwile, jakby były świętem.

Objęli się ciasno, opletli ramionami, jakby chcieli się sobą nacieszyć na zapas – jakby w ogóle dało się to zrobić – i zapobiec tęsknocie. Były w tym uścisku tkliwość i czułość, ale była także tłumiona namiętność pomieszana z rozpaczą. Ponieważ mieli dla siebie tak niewiele czasu, te dwie ostatnie stopniowo zaczęły zwyciężać, a wtedy dłonie Petera same powędrowały na piersi dziewczyny, jej palce znalazły guziki jego koszuli, niecierpliwe usta poszukały drugich ust... I wreszcie dwoje młodych połączyło się w jedno cudownie kompletne, uwolnione z ubrań ciało, kołyszące się w rytm oddechów, uderzeń serca i wypowiedzanego szeptem „kocham”.

*

Przez pierwsze trzy dni Rudolf był w dziwnym stanie psychicznym. Jakby nie mógł się obudzić i wciąż śnił dziwny, męczący sen: oto jest sam w mieszkaniu, nagle zbyt dużym, wypełnionym nadmiarem przestrzeni i dziwnymi dźwiękami, ni to szeptem, ni szelestem. Niekiedy odnosił wrażenie, że ktoś stoi tuż za nim i muska go oddechem w kark, lecz gdy odwracał się gwałtownie, przekonywał się, że jest zupełnie sam.

Całymi godzinami toczył chaotyczne, porwane na strzępy dyskusje z samym sobą. Nie dotrzymałem słowa. Przysięgałem, składałem dziesiątki obietnic, miałem znaleźć sobie narzeczoną, a nawet ją pokochać, tymczasem zamiast tego skradałem się jak harcerzyk za obściskującą się parką. Czy to dlatego matka umarła? Bo zawarłem układ z Bogiem, a potem sam go zerwałem?

Był głodny. Zjadł już wszystko, co znalazł w szafkach i w spizarce, a potem leżał na łóżku matki, zwinięty w kłębek, wpatrując się w jej podniszczoną podomkę przewieszoną przez oparcie fotela. Widocznie sąsiadka, zabierając ubrania zmarłej, nie zauważyła jej albo uznała, że taka stara szmata jej się nie przyda. Rudi zatęsknił nagle za mamą tak boleśnie, że wstał, podszedł do fotela, wziął w garść podomkę i przytulił się do tego skrawka materiału, który już nawet nie pachniał znajomo.

Nie pamiętał dobrze owej nocy, kiedy rozpętała się burza. Kojarzył jedynie poszukiwanie ojca, a potem szarpaninę w płytkiej wodzie, uderzenie, plusk. Koniec. Ciemność, a w tej ciemności biel twarzy. A może to był kołnierzyk koszuli? Rudolf nie umiałby odtworzyć drogi powrotnej do domu; zapamiętał jedynie gniewne pomruki burzy, a potem oślepiającą jasność błyskawic.

Po upływie trzech dni szok minął i chłopak zaczął myśleć nieco jaśniej. Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, tata się utopił, powiedział sobie w duchu. A skoro tak, to jego ciało nadal musi leżeć gdzieś w okolicy mostu. Pan Hertz był dużym mężczyzną, może nie nadmiernie otyłym, ale rosłym, więc w płytkiej wodzie na pewno ktoś go zauważy. Ten ktoś powiadomi policję, zaś funkcjonariusze wezwą syna. I wówczas padną pytania: Dlaczego nie szukałeś ojca? Nie zaniepokoiło cię, że tak długo nie wraca do domu?

Ta myśl otrzeźwiła Rudiego na dobre. Natychmiast doprowadził się do ładu: przeczesał włosy, włożył świeżą koszulę i wyszedł z domu. Najpierw zajrzał do piekarni, gdzie zapytał o tatę, potem kolejno zachodził do wszystkich otwartych już sklepów i punktów usługowych, w każdym oczywiście odgrywając rolę syna, który niepokoi się o ojca. Wreszcie udał się na policję.

– Po śmierci mamy pił nieustannie – odpowiedział na pytanie grubego policmajstra nazwiskiem Beichel o powód do niepokoju. – Raz i drugi nie wrócił na noc. Martwiłem się, oczywiście, ale potem okazywało się, że drzemał w parku, a rano przychodził coś zjeść... Teraz po raz pierwszy trwa to tak długo, więc zacząłem się niepokoić.

– Czyli nie ma go od trzech dni? – upewnił się Beichel.

– Tak, od soboty. Pamiętam to na pewno, bo potem w nocy była burza i pomyślałem sobie, że pewnie przygarnął go jakiś kolega od kieliszka, żeby nie zmókł. Ale od tamtej pory się nie pojawił...

– I to cię nie zastanowiło? – Policjant nagle stał się czujny. – Mówiłeś, że zawsze rano przychodził na śniadanie.

Rudi poczuł, jak na jego policzkach pojawia się zdradziecki rumieniec.

– W niedzielę... – zaczął, sam nie wiedząc, co właściwie zamierza powiedzieć. – Byłem dość zajęty...

Beichel nagle parsknął śmiechem, klepnął się obiema dłońmi w uda i obleśnie oblizał wargi.

– Rozumiem, chłopcze, rozumiem! – zawołał. – Też byłem kiedyś młodym ogierem. No nic, poszukamy twojego ojca, może rzeczywiście zapił gdzieś i teraz leży, biedaczysko, nie wiedząc nawet, jak się nazywa. Poślę patrol, sprawdzimy w parku. A ty uważaj! – Żartobliwie pogroził Rudolfowi palcem. – Żebyś sam za szybko tatusiem nie został!

Zwłoki znaleziono dopiero po dwóch dniach od zgłoszenia zaginięcia, a to dlatego, że w czasie burzy woda wezbrała i poniosła ciało starego Hertza aż do młyna w Merke. Było napuchnięte, bo w wysokiej temperaturze rozkład szybko postępował, i częściowo nadgryzione przez ryby lub szczury. Trudno było ustalić, czy nieszczęsny topielec żył jeszcze, gdy wpadł do wody. To właśnie oznajmiono Rudolfowi, którego wezwano na komisariat, aby obwieścić mu smutną nowinę.

– Mogło być tak, że się upił, a potem ześlizgnął się podczas burzy po zboczach i uderzył głową o kamień – tłumaczył policjant, patrząc na chłopaka z powagą pełną troski. – Albo na odwrót, najpierw uderzył, a potem sturlał się do Lubst.

Rudi słuchał w milczeniu, zupełnie zielony na twarzy, bo nie doszedł jeszcze do siebie po identyfikacji zwłok.

– W każdym razie to był nieszczęśliwy wypadek. Nie ma typowych śladów bójki, mój chłopcze. Denat nie ma podbitego oka, stłuczonej chrząstki nosa, żadnych charakterystycznych zasinień na szyi albo w miejscach, gdzie napastnik mógłby go chwycić... Jedyne wielki krwiak z tyłu głowy. Tak. Przykro mi.

Rudolf wymamrotał coś, co można było uznać za podziękowanie osoby pozostającej w głębokim szoku, po czym noga za nogą powlókł się do domu. Czuł się straszliwie zmęczony. Po powrocie przespał całe popołudnie i noc, a o poranku obudził się rześki, pełen sił i werwy. Udał się do zakładu pogrzebowego, załatwił sprawę pochówku, a potem wstąpił do restauracji na gęsty gulasz, ponieważ uświadomił sobie, że od owej pamiętnej soboty nie jadł nic ciepłego.

Uporządkował dom. Wyrzucił niepotrzebne ubrania po ojcu, przejrzał także dokumenty, poszukał ukrytych pieniędzy (wiedział, że ojciec miał kilka skrytek, w których trzymał gotówkę), a po namyśle postanowił zasięgnąć porady prawnej w sprawie apteki. Nie miał pojęcia, co z nią zrobić: sprzedać czy dalej prowadzić ojcowski interes. Sam nie znał się na farmacji, lecz przecież mógł kogoś zatrudnić.

Minęły jeszcze dwa pracowite dni i dwie noce przespane kamiennym snem, zanim Rudolf Hertz uświadomił sobie, że coś się zmieniło. Od ponad tygodnia – a dokładniej od tamtej parnej soboty, po której rozpełtała się potężna nawałnica – ani razu nie musiał zmieniać rano prześcieradła.

Ozdrowiał. Był wolny.

*

Peter czuł w piersi fizyczny ból. Nigdy dotąd nie cierpiał aż tak. Oczywiście jako dziecko płakał, gdy umarła najpierw babcia, a potem dziadek (śmierci rodziców nie pamiętał, lecz potrafił sobie wyobrazić, że wtedy również czuł się nieszczęśliwy) – ale to, co przeżywał teraz, wykraczało daleko poza zwykły smutek. Była to pełna rozpacz i tęsknota, bezlitośnie kłusująca go w serce i odbierająca mu wszelką radość życia, utrudniająca oddychanie, kalecząca coś w środku niczym potężny cierń.

Ostatni raz widział ukochaną w poniedziałek rano, kiedy nad dworcem kolejowym unosiła się jeszcze mgła niczym para nad garnuszkiem mleka. Zanim Katrin z matką wsiadły do wagonu, zerwał się litościwy wiatr i rozwiął opar, dzięki czemu Peter i pan Dulke mogli śledzić wzrokiem pociąg, aż zniknął im z oczu. Peter z bólem patrzył na płowe warkocze ukochanej, na jej wychylającą się z okna głowę, która stawała się coraz mniejszą kropką, aż wreszcie tylko sobie wyobrażał, że wciąż ją widzi. Od tamtego momentu ciężar w klatce piersiowej nie zelżał ani na chwilę.

Gdyby mógł zrobić to, do czego rwała się jego dusza, pobiegłby za znikającym w oddali pociągiem; biegłby tak długo, aż z wysiłku pękłoby mu serce. Zamiast tego jednak uścisnął dłoń panu Dulke, z westchnieniem wsiadł na rower i ile sił w nogach popedałował do Leipe, aby stawić się do pracy u pana Lehmana,

zaczynającego już tracić cierpliwość, bo ostatnio jego pracownik nie spisywał się najlepiej. Chodził wiecznie zamyślony, z bezrozumnym uśmiechem na twarzy, wciąż pożyczał od niego rower i gdy tylko mógł, jeździł do Sommerfeld. A już przez ostatni tydzień wydawał się zupełnie oszołomiony, niczym bażant na wiosnę.

– Wszystko się skończyło – oznajmił chłopak swemu pracodawcy w ów smutny poniedziałkowy poranek, kiedy Katrin wyjechała. – Moje życie się skończyło.

Otto Lehmann był mądrym człowiekiem, który niejedno już przeżył i widział. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że cierpienia duszy mogą być równie dotkliwe jak rany na ciele, dlatego nie wyśmiał nadmiernego patosu, jaki wybrzmiał w tym oświadczeniu młodzieńca.

– Przeciwnie – odparł pogodnie. – Z tego, co widzę, mój chłopcze, twoje życie dopiero się rozpoczyna.

– Ale ona wyjechała.

Karczmarz wręczył mu dwa wiadra ze zlewkami, które należało wynieść prosiakom do chlewa.

– Mój ojciec mawiał, że jak coś mogło wleźć, to i wyleźć da radę – rzekł. – Może nie jest to szczególnie wyrafinowana filozofia, ale życie uczy właśnie takich prawd. Spójrz na to w ten sposób, synu: skoro mogła wyjechać, to może i wrócić. A czas rozłąki wykorzystaj w mądry sposób: zadbaj o dom. Ściany pomaluj, ponaprawiaj dach, ogródek załóż. Kobiety lubią takie rzeczy.

– Katrin chce, żebym sprzedał gospodarstwo i pojechał za nią.

Lehmann zamyślił się. Niełatwo będzie znaleźć tak taniego pracownika, pomyślał. Poza tym, co tu kryć, przywiązał się do chłopaka, w końcu od ładnych paru lat zastępował mu ojca.

Oczywiście nie miał nic przeciwko temu, żeby młody Kessler się ożenił, ale jego wyjazd był mu nie w smak.

– Obawiam się, że nikt nie kupi twojej chałupiny – powiedział oględnie. – Ale skoro ci na tym zależy, to poszukam kupca, popytam. Nie ma pośpiechu.

– A jeśli przyjdą po mnie? I każą mi służyć w wojsku?

– To odsłużysz. Nic ci nie będzie.

– Tyle że ja nie mogę. Nie wezmę do ręki karabinu, przecież pan wie.

Lehmann, owszem, wiedział, nic na to jednak nie potrafił poradzić. W ciągu ostatnich dwudziestu lat świat się zmienił i Peter nie mógł już żyć tak, jak jego przodkowie, choćby jak dziadek Kessler, który zdecydowanie odmówił walki podczas wielkiej wojny. Nie było możliwości, aby chłopakowi darowano służbę wojskową, alternatywą było zaś więzienie. I według Lehmana stanowiło ono zdecydowanie gorszą opcję.

– Jesteś dorosły, Peterze – odparł, poważniejąc. – Sam musisz to rozsądzić w swoim sumieniu. Ja ci powiem jedno: nie wierzę, że strzelając do tarczy, popełnisz wielki grzech. A do ludzi nikt ci strzelać nie każe.

– Ale goście w karczmie mówili, że będzie wojna. Pamięta pan?

– Będzie albo nie będzie. Póki co nie ma, prawda? Więc nie ma też sensu martwienie się na zapas.

A jednak Peter się martwił. Wieczorami otwierał podniszczone pudełko, w którym przechowywał swe chłopięce skarby: stare okulary i scyzoryk, подарowane mu kiedyś przez pewnego podróżnego z Danii, a także odłożone pieniądze. Do skromnych oszczędności dołożył banknoty, które ukochana zostawiła mu w jednej ze swoich książek. Przeliczał ten skromny majątek raz

po raz, zastanawiając się, czy nie powinien po prostu rzucić wszystkiego i pojechać do Danzig.

Serce mówiło: jedź natychmiast i poszukaj dziadków Katrin, ale rozum podpowiadał, żeby wstrzymać się do momentu otrzymania paszportu i nade wszystko – nadejścia pierwszego listu. Dziewczyna zapewniała przecież, że napisze i poda mu wszystkie potrzebne informacje: gdzie ostatecznie zamieszkają i jak wygląda sytuacja z biletami do Ameryki. A może państwo Dulke całkiem zrezygnują z wyprawy za ocean?

Żeby nie myśleć nieustannie o ukochanej, Peter rzucił się w wir pracy fizycznej. Nie tylko ciężko harował w karczmie, ale zgodnie z radą pana Lehmana doprowadzał także do porządku swoje gospodarstwo. Niezależnie od tego, czy to dla nas, czy dla nowego właściciela, myślał, chcę, żeby wszystko było jak należy.

Lubił wyobrazać sobie, że jednak dla nich. Że Katrin wraca, rzuca mu się na szyję i witają się czule, a potem zostają w jego małym domku na końcu wsi i razem w nim gospodarzą. On pracuje w karczmie, ona dba o dom i ogródek, a potem, pod czarną pierzyną nocy, kochają się czule, zupełnie inaczej niż w tamtym podarowanym im przez los tygodniu. Bez łapczywości, bez pośpiechu, bez okropnego poczucia, że każdy wieczór może okazać się tym ostatnim.

Lato się kończyło, listki brzoź coraz częściej znaczyły poduszki mchu złocistymi piegami, a list od Katrin nie przychodził. Peter raz i drugi wybrał się do Sommerfeld, by choć z daleka popatrzeć na dom, w którym jeszcze niedawno mieszkała jego ukochana, a do którego obecnie wprowadziła się hałaśliwa rodzina Borstów. Jacob Dulke wyjechał tydzień po żonie i córce, więc Peter nie miał nawet z kim porozmawiać o Katrin. Tęsknota za nią była tak

dojmująca, że chłopak odczuwał potrzebę, by przynajmniej wymawiać jej imię. Dlatego kiedy tylko mógł, odwiedzał Marlene. Słuchał jej paplaniny, licząc na to, że prędzej czy później kuzynka wspomni o dawnej koleżance. Zagadywał ją w taki sposób, by imię Katrin musiało się pojawiać, bo przecież jeszcze do niedawna były nierozłączne.

U Marlene często bywała teraz bladziutka Anna Kushner, która także – jak się Peterowi wydawało – tęskniła za Katrin. Podobnie jak on sam, słuchała w zamyśleniu, gdy Marlene opowiadała o jakichś zabawach i dziewczęcych wygłupach z czasów, gdy wszystkie trzy były beztruskimi podlotkami. Z tego powodu chłopak poczuł sympatię do Anny i zawsze po takich spotkaniach odprowadzał ją do domu.

Ku jego zdziwieniu Anna, choć zwykle milcząca, okazała się miła i życzliwa. Przede wszystkim umiała słuchać, a tego mu teraz było trzeba. Często podpytywała go, co nowego usłyszał w karczmie, ale chętnie wysłuchiwała także zwierzeń na temat Katrin – bo przyznał jej się do swego uczucia, oczywiście prosząc przy tym o dyskrecję i nie zdradzając za wiele. Nie wspomniał, że jest to miłość odwzajemniona, nie powiedział także o nieformalnym ślubie ani o ich wspólnych planach. Wyznał jedynie, że kocha się w Katrin na zabój. Łatwo było się zwierzać Annie, ponieważ nie oceniała, tylko kiwała głową, a jej oczy wyrażały smutek, jakby cierpiała wraz z nim. Wiedział, że dziewczyna również bardzo się boi z racji swojego słowiańskiego pochodzenia. Wyznała mu, że od dawna nie może spać, bo męczą ją koszmary, w których dawni znajomi pogardzają jej rodziną jako „nie dość niemiecką”.

Czasem Peter chodził na rozdroże, gdzie pierwszy raz odważył się pocałować Katrin, siadał pod drzewem, opierał się plecami

o pień, zamykał oczy i wyobrażał sobie, że ona siedzi tuż obok. Jednego razu wybrał się także na polanę nieopodal Merke, w głębokie trawy, szukając miejsca, gdzie kiedyś leżeli, całując się jak szaleni, a Katrin rozpięła bluzkę i omal się nie rozebrała. Niestety, żdźbła wygniecione wtedy przez ich ciała już dawno się podniosły, wszystko się zbliżniło – i tylko rana w sercu Petera pozostawała wciąż tak samo bolesna i otwarta.

Codziennie po pracy chłopak zachodził do prowadzących punkt pocztowy państwa Kubeinów, mieszkających tuż przy pomniku, na rozstaju dróg w Leipe, którzy prowadzili punkt pocztowy. Pani Kubein początkowo witała go z pełnym zrozumienia uśmiechem; potem jednak z każdym dniem jej twarz stawała się coraz poważniejsza. Ona sądzi, że Katrin o mnie zapomniała, uświadomił sobie Peter. W jej oczach jestem żalonym naiwniakiem, porzuconym przez płochą dziewczynę. I może ma rację, a ja jestem ślepy?

Wreszcie któregoś wieczoru na początku października gospodyni powitała go w objęciu Kubeinów szerokim uśmiechem. Drżącymi dłońmi Peter odebrał od niej list i pobiegł do domu tak prędko, jakby ktoś go gonił i chciał wyrwać mu ten skarb. Nawet nie usiadł. Stanął pod lampą kuchenną, bo dawała najjaśniejsze światło, a jemu wydawało się, że w ten sposób, wyraźniej widząc litery, znajdzie się bliżej Katrin. Z rozdygotanym sercem rozerwał kopertę, a potem nabrał powietrza w płuca i zaczął czytać.

Był to pierwszy list, jaki w ogóle dostał w życiu. Czuł się tak uroczyście, jakby na głowę wkładano mu koronę. W owej chwili był najbogatszym człowiekiem na świecie.

Ukochany!

Jesteśmy z Mamą u dziadków. Ciasno nam tu bardzo, bo choć wiele razy przyjeżdżałyśmy wcześniej na wakacje, to przecież zaledwie z jedną walizką, teraz zaś musiałyśmy zabrać ze sobą cały dobytek, a właściwie wszystko to, z czym nie potrafiłyśmy się rozstać.

Nie narzekam jednak, w każdym razie nie na ciasnotę – takie rzeczy stają się dziwnie nieistotne, kiedy człowiek ma prawdziwe kłopoty. A ja mam, i to aż trzy.

Pierwszym z nich jest brak wieści od ojca. Zaraz po naszym wyjeździe dostałyśmy od niego list, w którym tatko donosił nam, że państwo Borst wprowadzają się za parę dni, że wszystko sprzedane, większość pieniędzy wpłacona do banku, resztę zaś przywiezie ze sobą. Wkrótce miał wsiąść do pociągu i przyjechać tu do nas. Nie dotarł jednak. Nie wiemy, co mogło się stać. Mama zatelefonowała na stację, gdzie pracuje szwagier Frau Schwarz (tej, u której pilnowałam dzieci), i zapytała o tatę; usłyszała, że owszem, mężczyzna odpowiadający jej opisowi kupił bilet i wsiadł do pociągu do Berlina. To wszystko, co wiemy. Nie mamy nawet pewności, czy to rzeczywiście był tatko.

Zachodzimy w głowę, co się mogło stać. Snujemy najdziwniejsze domysły, bo przecież COŚ musiało się wydarzyć. Czy tata zachorował gdzieś po drodze i trafił do szpitala? Czy został napadnięty? Okradziony? Istnieje taka możliwość, lecz żadna z nas w to nie wierzy, bo w takim wypadku już dałby znak życia; wszak wie, jak bardzo się o niego martwimy.

Szwagier Frau Schwarz zatelefonował na stację w Berlinie, lecz tam z kolei nikt nie zapamiętał takiego podróżnego. Zresztą trudno się dziwić: tata nie przyciąga raczej uwagi, nie ma w jego wyglądzie nic takiego, po czym łatwo można by go rozpoznać. „Szatyn średniego wzrostu, oczy niebieskie, ubrany w tradycyjny

strój męski, bez znaków szczególnych”. Jak rozpoznać kogoś po takim opisie – a już zwłaszcza na ogromnym berlińskim dworcu?

Jesteśmy więc skazane na domysły. Jak sobie zapewne wyobrażasz, obie umieramy wprost z niepokoju, jednak mama znosi to znacznie gorzej niż ja. To jest właśnie drugi z moich kłopotów. Martwię się o nią ogromnie. Nie może jeść, a kiedy ją namawiam, twierdzi, że ma żołądek zasupłany ze zgryzoty. Schudła okropnie przez te kilka tygodni i poszarzała na twarzy. Wciąż boli ją głowa. Często płacze, oczy ma czerwone niczym królik. Babcia próbuje ją odkarmić, a jedyny argument, który do niej trafia, to ten, że kiedy wreszcie tata się znajdzie, nie pozna jej, bo tak zbrzydła. Kiedy to słyszy, próbuje jeść, lecz cóż z tego, skoro po kilku kęsach robi jej się niedobrze.

Czy można rozchorować się ze zmartwienia? Nie przypuszczałam, że to możliwe, a jednak właśnie jestem tego świadkiem. Co gorsza, nie mogę jej w żaden sposób pomóc. Nikt z nas nie może. Dziadek jest już niemłody, niedomaga, nękają go problemy ze stawami, nie ma więc mowy o tym, by wyruszył w podróż i pytał na kolejnych stacjach, czy kto nie widział taty. Ja zrobiłabym to chętnie, lecz mama na wieść o mojej gotowości do wyjazdu wpadła w spazmy, chwyciła mnie za ręce i zaczęła błagać, żebym jej nie zostawiała, bo nie może stracić również mnie.

Jak widzisz, pozostaje mi czekać.

No a trzeci kłopot? – zapytasz.

Trzecim jesteś Ty, Kochany. Ty. Bliski, a zarazem daleki. Tęsknię za Tobą tak, że aż mnie boli gdzieś w środku, w okolicach serca, żołądka, płuc, wszędzie mnie boli, jakby tamtego dnia na stacji, kiedy zegnałam się z Tobą, jakiś kawałek mnie został ze mnie wyrwany, przyłgnął do Ciebie i nie chciał się już nigdy od Ciebie oddzielić.

Żeby nie myśleć wciąż o zmartwieniach, próbuję się czymś zająć, dlatego zgłosiłam się do pracy w ochronce dla małych dzieci, prowadzonej przez Macierz Szkolną. Nie bez znaczenia jest i to, że zarabiam w ten sposób pieniądze, bo miałyśmy z mamą niewielkie fundusze; przecież tatko planował do nas dołączyć lada dzień. A poza tym nie chcemy być ciężarem dla dziadków, bo im także się nie przelewa.

Zapisałam się także do polskiego chóru i jeżdżę na próby do budynku Dyrekcji Kolei. Jakież to piękny, wspaniały gmach, powiadam Ci! Kiedy tu do mnie przyjedziesz, zaprowadzę Cię tam, byś mógł zobaczyć ten niezwykły hol: jak w pałacu! Lubię sobie wyobrażać nasze powitanie. Nie będę się Ciebie spodziewać, więc nie wyjdę na stację. Dzwonek do drzwi oderwie mnie od jakiejś domowej czynności, toteż otworzę zaskoczona, a Ty weźmiesz mnie w ramiona i nie wypuścisz z nich bardzo długo, aż wszystko się we mnie zagoi, zablźni się i przestanie boleć. Czasem pozwalałam sobie marzyć jeszcze odważniej, a wówczas w mojej wyobraźni pojawia się także tata, którego jakimś cudem znalazłeś i przywiozłeś ze sobą. Jaki to byłby cudowny dzień!

Nie pisałam do Ciebie tak długo, bo wciąż czekałam, że może następnego dnia przyjedzie tu do nas tatko, a wtedy będę miała zupełnie inne nowiny, radosne – i kto wie, może zapadnie decyzja o wyjeździe za granicę. Ale skoro wciąż go nie ma, uznałam, że niepodobna dłużej zwlekać, bo jeszcze pomyślisz sobie, że o Tobie zapomniałam.

Napisz mi, Kochany, jak sobie radzisz. Czy wspominasz czasem swoją dziewczynę z włosami płowymi jak trawa, swoją żonę zaślubioną przed Bogiem, ale nie przed ludźmi? Czy tęsknisz za mną? Czy tak jak ja zamykasz oczy i przypominasz sobie nasze pocałunki, naszą bliskość?

Żeby nie zostawiać Cię ze smutkiem w duszy po przeczytaniu tego listu, teraz napiszę o czymś dobrym i ładnym. Otóż wybrałam się któregoś dnia pociągiem do Gdyni. Ponoć jeszcze nie tak dawno temu była tam mała wioska rybacka, a teraz kwitnie wspaniałe miasto z portem, stocznia, zakładami przemysłowymi i kąpieliskiem w Orłowie! Dziadek mówił mi o tym, lecz nie spodziewałam się, że można tak szybko zbudować tyle rzeczy niemal od zera. W pobliżu funkcjonuje nawet lotnisko w Rumi-Zagórze. Czy leciałeś kiedyś samolotem, Kochany? Znam odpowiedź. Ja także nie leciałam! Co byś powiedział na to, aby stało się to naszym wspólnym marzeniem?

Gdynia jest cudowna – taka polska, normalna, pozbawiona tego wstrętnego mrocznego osadu (wiesz, co mam na myśli). Mówi się o niej „miasto z morza i marzeń”. Jeśli nie uda nam się wyjechać do Ameryki, to może zamieszkalibyśmy właśnie tu? Znaleźlibyśmy pracę na pewno, bo Gdynia jest znacznie większa od Sommerfeld i Pförten razem wziętych! Pomyśl, jak cudownie byłoby żyć w miejscu, gdzie wolno mieć własne przekonania!

Napisz do mnie, Kochany, a gdy tylko uda Ci się zdobyć dokumenty i sprzedać dom albo znaleźć kogoś, kto zajmie się nim pod Twoją nieobecność, przyjeżdżaj jak najprędzej. Mieszkamy u dziadków przy Grenadiergasse 63. Czekam na Ciebie i kocham Cię całą duszą!

Twoja pani Kessler

*

Rudolf dolał gorącej wody do miednicy, ostrożnie wymieszał, nie chcąc się oparzyć, po czym zdjął koszulę i nachylił się, by obmyć ciało z potu. Miał za sobą pracowite przedpołudnie: usuwał z mieszkania wszelkie przedmioty, które należały do ojca. Chciał się pozbyć najmniejszego śladu jego bytności tutaj, zlikwidować nawet zapach – potu, alkoholu, wody kolońskiej, obecności... To, co miało jakąś konkretną wartość, zamierzał sprzedać, natomiast pozostałe „pamiątki” wyrzucał lub palił w piecu, doznając przy tym dziwnej satysfakcji, a nawet czegoś więcej. Kiedy rwał na strzępy ojcowskie zapiski dotyczące cen leków, gdzieś w dole brzucha poczuł podniecenie, a potem błogość graniczącą z rozkoszą. Branie odwetu za lata upokorzeń, nawet jeśli miało charakter tylko symboliczny, okazało się niezwykle oczyszczające i przyjemne.

Apteki Rudi postanowił ostatecznie nie sprzedawać, lecz powierzył jej prowadzenie niejakiemu Olafowi Kokoschce, młodemu farmaceucie – wprawdzie mieszanego, bo niemiecko-wendyjskiego pochodzenia, lecz o jasno sprecyzowanych poglądach. Kokoschko był nie tylko zwolennikiem, ale wręcz fanatycznym wielbicielem Hitlera, toteż Rudi nie czuł do niego takiej niechęci, jak na przykład do Katrin Dulke.

Obmywszy ciało ciepłą wodą, wytarł się starannie, po czym włożył czyste ubranie. Spojrzał w lustro i uśmiechnął się, widząc odbicie zadowolonej i niewątpliwie przystojnej twarzy. Jak bardzo życie może się zmienić, gdy człowiek pozbędzie się wrzodu na tyłku, pomyślał z satysfakcją, a wówczas przed oczyma jego duszy na chwilę – ale naprawdę tylko na ułamek sekundy – pojawiła się jasna plama ojcowskiej twarzy, niknąca w ciemnościach nocy.

Jedynym problemem, jaki pozostał jeszcze do rozwiązania, była kwestia wyboru dalszej drogi. Rudi wahał się, szarpał, bił z myślami; nie potrafił podjąć decyzji. Od tak niedawna był wolny i zależał od siebie samego; nadal nie przywykł do myśli, że może sam o sobie stanowić. Dotąd ojciec wmawiał mu, że jest nieudacznikiem, dla którego nie ma miejsca w wojsku, bo przecież w koszarach nie będzie troskliwej mamusi, która wypierze zaszczone prześcieradło. Teraz ten problem przestał istnieć, ponieważ pościel pozostawała sucha, choć Rudi wcale nie wstawał w nocy do ubikacji; przeciwnie – spał głębokim snem, jakim powinno się sypiać, gdy jest się młodym.

A zatem mógł wybrać karierę wojskową, nic już nie stało na przeszkodzie. Rzecz w tym, że obecnie, gdy uwolnił się od ojca, Rudolf zrozumiał, że wcale tego nie pragnie. Nie myślał ani o lotnictwie, ani o marynarce, nie wspominając już o oddziałach szturmowych SA. To były marzenia starego Hertza, które aptekarz przelewał na swego syna, pogłębiając w chłopcu przeświadczenie, że spełnienie ich pozostaje poza jego zasięgiem. A o czym marzył sam Rudi? Nie miał pojęcia. Śmierć rodziców zbiegła się zarazem z datą śmierci tamtego dziecka, którym Rudolf niegdyś był – posłusznego, wykonującego polecenia, a nawet starającego się je wyprzedzić, byle tylko zadowolić

dorosłych, zdobyć ich uznanie, zasłużyć jeśli nie na pochwałę, to przynajmniej na brak kpin.

Nie zdawał sobie z tego sprawy i zapewne, gdyby go ktoś zapytał, zdecydowanie by zaprzeczył – lecz prawda była taka, że w noc po znalezieniu zwłok starego Hertza chyba po raz pierwszy w życiu chłopak oddychał zupełnie swobodnie, bez lęku.

Odkrywał teraz zupełnie nowy świat wraz ze wszystkimi jego przyjemnymi stronami. Pozostawienie ojca w wodzie, aby się utopił, było złamaniem potężnego tabu, nie mogło więc nie pozostawić głębokich śladów w psychice wrażliwego młodego człowieka. Oto Rudolf przekonywał się na własnej skórze, że posłuszeństwo nie zawsze popłaca, a odrobina buntu uderza do głowy niczym najlepsze wino. Do tego wszystkiego doszło rozczarowanie, jakiego doznał w relacji z Bogiem. Początkowo czuł się winny, potem jednak zaczął tę winę wypierać, szukać jej po drugiej stronie. Zawarł ze Stwórcą pewien układ, czyż nie? Przecież robił, co mógł, aby dotrzymać warunków umowy: uczył się pilnie, świetnie zdał maturę, próbował nawet zdobyć dziewczynę, lecz wszystko to na nic, skoro matka umarła. To nie on złamał warunki umowy, lecz Bóg. A skoro tak, to... To może wcale nie ma żadnego Boga?

Właśnie dlatego Rudi, który w ową słoneczną sobotę opróżnił mieszkanie ze wszystkiego, co należało do ojca, był zupełnie innym człowiekiem niż ten, który dotąd z ukrycia obserwował Petera Kesslera, pragnąc do niego podejść i zarazem bojąc się tego. Zupełnie jakby narodził się na nowo. I również dlatego teraz, patrząc w lustro, widział młodzieńca mającego przed sobą mnóstwo możliwości. Wystarczyło wyciągnąć po nie rękę i brać.

To nie było tak, że szukał Petera; po prostu natknął się na niego na Pfortener Strasse, gdy wybrał się na grzyby. Któregoś ranka poczuł tęsknotę za smakiem z dzieciństwa; jesienią matka zawsze smażyła przepyszne rydze na maśle. Rudi zamierzał więc dojść do Kulm i tam skrócić w las.

Kessler najwyraźniej wracał do swojej wsi. Szedł ze spuszczoną głową, co jakiś czas kopał jakiś kamyk. Rudolf poczuł dziwny żal na myśl o tym, co mogłoby się stać, gdyby lata temu nie odsunął się od przyjaciela, nie wykonał polecenia ojca, aby zerwać wszystkie kontakty z „tym tchórzem”.

W Peterze był jakiś smutek – widoczny w lekkim przygarbieniu, pochyleniu karku, nawet w sposobie, w jaki stawiał kroki. Tylko tym Rudi mógł sobie potem wytłumaczyć niezrozumiały impuls, który kazał mu zawołać dawnego kolegę.

Kessler przystanął, zdziwiony, a zobaczywszy Rudolfa, wyprostował się i instynktownie zacisnął dłonie w pięści. Tylko na moment, ale jednak.

– Spokojnie – powiedział Rudi, który odczytał tę mowę ciała. – Chcę tylko pogadać.

Peter zrobił zaskoczoną minę, lecz nic nie powiedział; po prostu stał i czekał, aż tamten zrówna się z nim, po czym ruszył dalej.

– Idę na grzyby – wyjaśnił Rudi, dziwiąc się sam sobie, że prowadzi rozmowę z kimś, kogo ignorował od lat. – Nie wiem, czy słyszałeś, że moi rodzice nie żyją. Muszę się nauczyć gospodarzyć w pojedynkę.

Peter potrząsnął głową.

– Nie, nic nie wiedziałem. Przykro mi.

– Jestem teraz sierotą, jak ty.

Kessler milczał, jakby nie chciał przyznać, że mogłoby ich łączyć jakiegokolwiek podobieństwo. Rudolf poczuł przypływ złości.

– Nadal deklarujesz, że nie weźmiesz broni do ręki? – zagadnął. – Czy może coś się zmieniło?

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Od tamtego czasu minęło pół roku. Od naszego spotkania w wesołym miasteczku.

– A, o to ci chodzi. Nie, nic się nie zmieniło i nigdy nie zmieni. Może nie wiesz... Nie pamiętasz, bo byliśmy wtedy dziećmi... Ale tłumaczyłem ci, z czego to wynika.

– Pamiętam, Peter. Tyle że ludzie się zmieniają. Mądrzeją, wyrastają z dziecięcej naiwności.

Rudi sam nie rozumiał, dlaczego się tak zachowywał, skąd zrodziła się w nim nagła potrzeba sprowokowania Kesslera do kłótni. Milczał przez chwilę, lecz nie doczekał się reakcji.

– W przyszłym roku obaj kończymy dziewiętnaście lat – podjął. – Wezmą nas do wojska.

Wzruszenie ramion, milczenie. Rudolf był coraz bardziej rozdrażniony. Nie znosił, gdy go ignorowano.

– Wracasz od swojej panny? – zagadnął znowu, spodziewając się, że tego tematu jego rozmówca nie zignoruje.

– Jakiej panny?

– Nie udawaj! Przecież wiem, że spotykasz się z tą Polką.

Peter zatrzymał się na moment i spojrział na niego ostro.

– Kto ci powiedział? Moja kuzynka Marlene?

Rudi wzruszył ramionami. Nie zamierzał się przecież przyznawać, że śledził tych dwoje.

– Myślisz, że w takiej miejscinie jak Sommerfeld cokolwiek może pozostać tajemnicą? – zaśmiał się drwiąco. – Plotki krążą od dawna, żyją własnym życiem, a już zwłaszcza tak szokujące jak ta, że Niemiec zamierza skalać swoją rasę. Nie wiem, czy słyszałeś... W lipcu uchwalono ustawę o ochronie krwi

niemieckiej. Sporo ryzykujesz, wdając się w związek z brudną Słowianką...

– Milcz!

Udało się. Tym razem Peter okazał emocje, a wówczas Rudi poczuł niezrozumiałą satysfakcję.

– Nie zamierzam tego słuchać! – ciągnął gniewnie Kessler. – A poza tym twoje informacje są nieco przestarzałe, bo nie spotykam się z Katrin! Ona wyjechała już jakiś czas temu!

Po czym z furią kopnął kawałek kostki brukowej, która poniewierała się na skraju drogi, a następnie przyspieszył, dając w ten sposób do zrozumienia Rudolfowi Hertzowi, że nie zamierza iść dalej w jego towarzystwie.

Rydzów było całkiem sporo, w każdym razie Rudi uznał, że wystarczy nie tylko na obiad jako dodatek do ziemniaków, ale też na następny dzień na śniadanie, kiedy będzie mógł zjeść jajecznicę z rydzami. Miał zatem powody do zadowolenia, lecz jakoś wcale go nie odczuwał. Przeciwnie – rozmowa z Peterem zostawiła w jego duszy dziwny osad.

Właściwie po co go zaczepiłem? – zadawał sobie pytanie. Co chciałem osiągnąć? Dokuczyć mu? Rozdrażnić? Czy może tylko sprawdzić, jak by to było, gdybyśmy nadal się przyjaźnili, rozmawiali ze sobą, od czasu do czasu wybrali się gdzieś razem?

Tak, ten ostatni powód wydawał się całkiem prawdopodobny. W gruncie rzeczy Rudolf, choć jeszcze niedawno chodził do szkoły i aktywnie działał w Hitlerjugend, czuł się samotny. Nigdy z nikim nie zdołał nawiązać prawdziwej przyjaźni – z nikim poza Peterem, ale to było tyle lat temu, że nie potrafił traktować tego wspomnienia poważnie. Wydawało się raczej dziecięcym

bajdurzeniem, fantazją o niespełnionej relacji, aniżeli czymś, co rzeczywiście się wydarzyło.

Zresztą Kessler z pewnością go nie cierpiał. Rudi doskonale pamiętał, że początkowo – tuż po tym nieszczęsnym podtopieniu, za które zresztą został okropnie zbesztany przez ojca – Peter posyłał mu porozumiewawcze uśmiechy i okazywał sympatię. Nigdy jednak nie doczekał się ze strony małego Hertza nawet mrugnięcia. Rudolf udawał, że go nie zna. Dlaczego to robił, skoro w głębi duszy brakowało mu dawnego przyjaciela? Po pierwsze – uwierzył, że Kesslerowie to tchórze. Dla Rudolfa, wychowywanego w kulcie służby ojczyźnie, była to prawdziwa hańba, postawa godna potępienia. A po drugie – zapewne dlatego, że chciał zasłużyć na pochwałę ojca.

Teraz przeżywał okres buntu i negacji wszystkiego, czego kiedyś uczył go stary Hertz. Nic więc dziwnego, że w Peterze widział pewien symbol, jakby chłopak uosabiał wszystko to, co Rudi stracił przez ojcowskie nakazy i zakazy. Był zakazanym owocem, rajem utraconym – zapewne dlatego przyjaźń z nim stała się niejako obiektem pożądania.

Kto wie, na co ostatecznie zdecydowałby się Rudolf, jaką życiową ścieżką by podążył – a może zwyczajnie dałby się ponieść nurtowi – gdyby nie przypadek. Mianowicie następnego dnia po grzybobraniu chłopak wybrał się na targ na zakupy, bo rydze owszem, zostały, lecz jajek na jajecznicy w spiżarni nie było.

Nie przywykł jeszcze do samodzielnego robienia zakupów, ponieważ do niedawna zajmowała się tym matka, a po jej śmierci dojadali wraz z ojcem zapasy. Dopiero od kilku tygodni Rudi gospodarzył sam, musiał więc planować, co zje i co kupi. Gdyby miał więcej pieniędzy, pomyślałby o zatrudnieniu gospodyni, lecz

apteka przynosiła teraz niewielkie dochody. Doskonale wiedział, że nadeszła pora, by rozejrzeć się za robotą albo przynajmniej zarejestrować się w biurze pośrednictwa pracy, jednak wciąż odsuwał od siebie tę myśl. Nie dlatego, że był szczególnie leniwy – po prostu jako jeden z najlepszych uczniów zawsze uważał, że zasługuje na coś więcej niż fizyczna harówka w cegielni lub tkalni.

Czym mógłbym się zająć, żeby nie tylko się utrzymać, ale i żyć na zadowolającym poziomie oraz robić coś, co przyniesie mi satysfakcję? – zadał sobie pytanie, wracając z targu z koszykiem pełnym jajek. I w tym właśnie momencie, ledwie w jego głowie wybrzmiało ostatnie słowo, ktoś wbiegł w niego z impetem, wytrącając mu z rąk zakupy, przez co po chwili na bruku wykwitła wielka plama surowej jajecznicy ze skorupkami.

W Rudolfie zawrzała krew. Nigdy nie lubił ćwiczebnych bójek, które urządzano na zbiórkach Hitlerjugend, zapewne dlatego, że odbywały się one na zimno, bez emocji. Tym razem było inaczej – gniew spowodował, że pięści same mu się zacisnęły; Rudi chwycił intruza za kołnierz, a drugą ręką wymierzył mu solidny cios w twarz.

– Trzymaj go! – usłyszał, choć wcale nie zamierzał puścić delikwenta. – To złodziej!

Gdzieś zza pleców doszedł go tupot ciężkich butów, a po chwili przy Rudim zjawił się niejaki Wartewitch, funkcjonariusz policji w stopniu szef-wachmistrza. Był tylko kilka lat starszy od Rudolfa, wyglądał jednak znacznie dojrzalej dzięki wąsom, które zapuścił zaraz po maturze. Rudi pamiętał go jeszcze ze szkoły, choć z racji różnicy wieku nigdy nie byli kolegami.

– A, Hertz – przywitał go policjant, chwytając uciekiniera w żelazny uścisk swoich wielkich dłoni. Gdyby nie to, na pewno

wykonałby nazistowski salut. – Dziękuję za pomoc. To się nazywa obywatelska postawa dla dobra Rzeszy.

– Zawsze do usług – odparł Rudi, którego dłoń bolała niemiłosiernie po wymierzeniu ciosu, lecz za nic by się do tego nie przyznał. – Każdemu chyba zależy, żeby panował tu porządek.

– Słusznie, słusznie. – Funkcjonariusz uderzył w pryncypialny ton. – Oczyszczenie niemieckiego społeczeństwa z takich mętów powinno być naszą wspólną sprawą. A swoją drogą, niezły sierpowy.

Rudolf potarł rękę, po czym nonszalancko włożył ją do kieszeni spodni. Skłonił się lekko, jakby przyjmowanie takich podziękowań i w ogóle łapanie drobnych złodziejasków było jego codziennością. Tymczasem Wartewitch właśnie zauważył kogoś po drugiej stronie ulicy, skinął głową w jego stronę i głośno zawołał:

– O takich rzeczach powinieneś pisać, Finkel! Coś, co podnosi na duchu i daje przykład, oto temat na artykuł!

Po czym uśmiechnął się pod swoim czarnym jak smoła wąsikiem i odszedł, wlokąc za sobą złodzieja – drobnego mężczyznę o szczurzej twarzy. Rudi rozejrzał się, by zobaczyć, kim jest ów Finkel, o którym nigdy dotąd nie słyszał. Nie musiał jednak szukać go wzrokiem – jak się okazało, tamten przebiegł przez jezdnię i już po chwili stał obok niego.

– Johann Finkel, żurnalista – powiedział. Był rudy i miał nieprawdopodobnie piegowatą twarz. Drobne, brązowe plamki pokrywały nawet jego powieki. – Napiszę o tym, a jakże. Jak pańska godność, jeśli można?

– A jaka to gazeta, jeśli można? – odbił pytanie Rudi.

– „Sommerfelder Tageblatt”. Polecam prenumeratę.

Było w tym rudzielcu coś, co z miejsca wzbudziło w Rudolfie sympatię. Dlatego przedstawił się, a potem cierpliwie, choć wciąż

z pierwotną nonszalancją odpowiedział na pytania dziennikarza. Najwyraźniej sympatia była wzajemna, bo zanim się pożegnali, Finkel rzucił z uśmiechem:

– Łebski z ciebie młodzieniec, Hertz. Gdybyś przypadkiem szukał zajęcia, zajrzyj do nas do redakcji. Potrzebujemy bystrego umysłu i ciętego języka.

Wracając na targ, by znów kupić nieszczęsne jajka, Rudolf rozważał tę propozycję. Cóż, w końcu zdał maturę, był niegłupi, pisać umiał i lubił. To nic stałego, rzecz tymczasowa, tłumaczył sobie, ale przez najbliższe pół roku i tak nie ma sensu rozglądać się za prawdziwą pracą... Wezmą mnie do wojska, odsłużę swoje, a po powrocie – kto wie? Może rzeczywiście mógłbym zostać dziennikarzem, ale nie tym klejącym nudne artykuły o wzroście cen albo zarobkach urzędników, nie tym od propagandy, lecz takim z działu kryminalnego, który opisuje zagadkowe sprawy i na własną rękę prowadzi śledztwo, w ten sposób pomagając policji...?

Brzmiało to dobrze; zupełnie jakby Rudi był zastępcą szeryfa i pomagał utrzymać porządek na Dzikim Zachodzie. Jeszcze do niedawna zaczytywał się w powieściach Karla Maya, a ich bohaterowie, Old Shatterhand oraz Winnetou, byli jego idolami. Myśl o pełnieniu ważnej funkcji, a zarazem robieniu czegoś, co nada sens jego codzienności, była dla chłopaka niezwykle kusząca.

Następnego dnia włożył czystą koszulę i starannie wypastował buty, po czym udał się do siedziby „Sommerfelder Tageblatt”, która znajdowała się przy rynku. Zamierzał zapytać o możliwość porozglądania się, przyjrzenia się pracy gazety lokalnej. Jeśli miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, rozwiały się one niczym dym znad ogniska, gdy tylko chłopak przekroczył próg redakcji.

W głębi pomieszczenia, przestępując z nogi na nogę, stał Peter. Miętosił w dłoniach czapkę, a całe jego ciało wyraźnie mówiło, że nie czuje się bezpiecznie; wyglądał jak przyczajone, wystraszone zwierzątko, gotowe w każdej chwili zerwać się do ucieczki. Rudi skinął mu głową na powitanie, po czym, chcąc nie chcąc, wysłuchał słów Johanna Finkela, który właśnie zwrócił się do Kesslera:

– Żeby napisać artykuł, trzeba wiedzieć coś więcej. Wsiadł do pociągu? Nawet tego nie wiesz. Wyjechał? Nie masz pewności. Nie dziw się, chłopie, że policja nie chce się tym zająć, bo nawet jeśli w podróży coś mu się stało, to nie na terenie miasta Sommerfeld. A zresztą wcale bym się nie zdziwił, gdyby to nie było żadne zaginięcie. Mało to jest takich, co wykorzystują pierwszą sposobność, żeby odejść od kobiety? Dostał pieniądze ze sprzedaży domu, więc się ulotnił! To jeszcze nie przestępstwo, chłopcze. A może nie chciał mieszkać z teściową? Temu też wcale bym się nie dziwił. Kiedyś i ty to zrozumiesz.

Dziennikarz zarechotał, lecz jego żart nie rozbawił Petera, który bezradnie powiódł wokół spojrzeniem, po czym założył czapkę i wyszedł bez słowa. Rudi pomyślał, że załatwi swoją sprawę później – teraz musiał wypytać, o co chodzi. Dlatego ukłonił się rudzielcowi i jednym susem wyskoczył na ulicę, by dogonić Kesslera, który właśnie wsiadał na rower.

– Zaczekaj! – zawołał, a gdy tamten się zatrzymał, podszedł do niego prędko.

– Czego znowu chcesz? – Wzrok Petera był chmurny, a wyraz twarzy nieufny. – Jeśli zamierzasz zapytać, czy zmądrzałem i wezmę do ręki karabin, to moja odpowiedź brzmi: nie, nadal pozostaję tak samo głupi.

– Ach, tamto. Nie, daj spokój, w gruncie rzeczy nic mi do tego. – Rudi machnął ręką. – Słuchaj, o co tu chodziło? O kim mówił Finkel? Ktoś zaginął?

– A tobie po co to wiedzieć?

No tak. Kessler postrzegał go jako wroga i w sumie Rudolf nie mógł go za to winić. Niby dlaczego miałyby być inaczej? Od lat traktowany przez rówieśników jak obywatel drugiej kategorii, zapewne nauczył się, by nikomu nie ufać.

– Słuchaj, Peter, wiem, że nie po drodze nam było przez te ostatnie lata... Ale czy nie mógłbyś o tym zapomnieć? Komuś takiemu jak ty przyjaźń z kimś takim jak ja może się naprawdę przydać. Lada dzień możesz znaleźć się w opałach z powodu swoich przekonań, a ja... Byłem dowódcą w Hitlerjugend, mam wiele znajomości...

Cóż, chyba użył niewłaściwych argumentów, może też niepotrzebnie się uśmiechał. Chciał wyglądać przyjaźnie, lecz Peter zapewne dojrzał w tym uśmiechu grymas drwiny. Zareagował bowiem zupełnie nie tak, jak Hertz by sobie życzył.

– „Komuś takiemu jak ja”? – powtórzył ironicznie. – Cóż, Rudi, jedno jest pewne: komuś takiemu jak ja niepotrzebni są fałszywi przyjaciele. A zresztą czy ty w ogóle znasz znaczenie słowa „przyjaciel”? Czy naprawdę według ciebie w przyjaźni chodzi o to, aby któregoś dnia mogła się „przydać”?

Po czym wsiadł na rower i odjechał, pokazując światu dumnie podniesioną głowę. Rudolf stał jeszcze przez chwilę na chodniku, tłumiąc w sobie chęć pobiegnięcia za Kesslerem i obicia mu tej ładnej buźki.

Oczywiście nie zrobił tego. Zacisnął tylko pięści, klnąc w duchu.

– Jeszcze zobaczymy – szepnął, po czym poprawił włosy i ponownie wszedł do budynku, gdzie mieściła się siedziba

redakcji.

– *Heil Hitler!* – przywitał się, wyrzucając przed siebie rękę w nazistowskim pozdrowieniu. – Rudolf Hertz, nie wiem, czy pan mnie pamięta...

– A, tak, oczywiście – mruknął Finkel, najwyraźniej niezadowolony, że musi się wysilać i wykonywać salut rzymski za biurkiem, za którym miał mało miejsca. – Co tam? Namysliłeś się? Chcesz się pobawić w pismaka? Czy może raczej tobie też ktoś zaginął, tak jak temu chłopkowi roztropkowi?

Teraz nie wydawał się już Rudiemu taki sympatyczny jak przy pierwszym spotkaniu; wręcz przeciwnie, młody Hertz dostrzegł w nim ów rodzaj cwaniactwa, którego szczerze nie znosił.

– Mnie osobiście nikt nie zaginął – oznajmił, wsuwając kciuki za pasek, zupełnie jakby już rozpoczynał zabawę w szeryfa. – Natomiast bardzo chętnie poszukam tych, którzy się zgubili innym, choćby Kesslerowi. Chciałem zapytać, czy mógłbym pisać o takich rzeczach... Myślałem o rubryce kryminalnej, co pan na to? Albo jakiejś sensacyjnej, o rzeczach niewyjaśnionych.

Finkel prychnął.

– Sensacje, sensacje! Wam młodym tylko sensacje w głowie!

– Ależ nie o to mi chodzi – zaperzył się Rudi. – Chcę się po prostu wdrożyć. Poznawać dziennikarski fach, obserwując najlepszych... To byłby zaszczyt. Chciałbym w przyszłości zostać prawdziwym żurnalistą, a przecież od czegoś trzeba zacząć. Wspaniale byłoby uczyć się od pana. Dopóki wojsko nie weźmie mnie pod swoje opiekuńcze skrzydła, oczywiście.

Finkel, którego od dawna nikt za nic nie chwalił, wyprostował się na krześle i podniósł głowę wyżej. Udawał, że się waha, ale wystarczyło spojrzeć na jego zadowolone oblicze, aby mieć pewność, że Hertz osiągnął swój cel.

*

Peter odwiedził redakcję gazety przy okazji, ponieważ Otto Lehmann wysłał go do Sommerfeld po odbiór butów pozostawionych do naprawy u Welza, szewca prowadzącego zakład przy rynku. Welz, jak się okazało, wiedział o zaginięciu Jacoba Dulke – wieść ta dotarła do jego uszu za pośrednictwem nadmiernie gadatliwego męża pani Schwarz.

– Na policję trzeba iść – pouczył młodego Kesslera, kiedy zauważył, że chłopaka bardzo ten temat interesuje. – *Kriminalassistent* Bucholz sam z siebie szukać nie będzie, ale jak mu się pomarudzi raz i drugi, to dla świętego spokoju wyśle na poszukiwania tych swoich wachmistrzów i kto wie, może się natkną na jakiś trop.

Niestety, Peter przekonał się, że nie na wiele się to zda, kiedy osobą „marudzącą” jest taki nieliczący się pionek jak on. Od dawna wyklęty wśród „prawdziwych Niemców”, omijany szerokim łukiem, traktowany jak obywatel gorszej kategorii – nie mógł nic wskórać u funkcjonariusza. Dlatego zaraz po wizycie na komisariacie udał się do siedziby redakcji lokalnej gazety, traktując ją jako ostatnią deskę ratunku. Niestety i ten krok nie przyniósł upragnionego rezultatu.

Wracając do Leipe, przeklinał w duszy własny upór. Gdyby potrafił się ukorzyć przed Rudolfem Hertzem, gdyby przyjął jego

wyciągniętą na zgodę rękę (nawet jeśli Rudi uśmiechałby się przy tym drwiąco), to kto wie, może udałoby się czegoś dowiedzieć. Ta „przyjaźń” rzeczywiście mogłaby się do czegoś przydać, niezależnie od tego, że sama myśl o wykorzystywaniu takich znajomości wywoływała w Peterze natychmiastowy i gorący sprzeciw.

Nie zdawał sobie sprawy, że tym, co budziło w nim największą niechęć, była zwyczajna zazdrość. Doskonale pamiętał opowieść Katrin i rumieniec zakłopotania, z jakim relacjonowała rozmowę z Hertzem owego pamiętnego dnia, kiedy odprowadzał ją do domu po zabawie w wesołym miasteczku. Choć nie było w tym nic szczególnie nieprzyzwoitego, już sama myśl o tym, że Rudolf wziął dziewczynę za rękę i wyznał jej, iż żywi do niej uczucia, doprowadzała Petera do szaleństwa. Nie spodziewał się, że jest zdolny do tak silnych emocji, do odczuwania takiej wrogości.

A teraz wyobrażenie, że Katrin zawdzięczałaby cokolwiek właśnie Hertzowi, że to on dzięki swoim znajomościom w jakikolwiek sposób miałby przyczynić się do odnalezienia jej zaginionego ojca, było dla Petera nieznośne. Z drugiej strony jednak chłopak doskonale zdawał sobie sprawę, że to może być ostatnia szansa na dowiedzenie się czegoś o losie Jacoba Dulke.

– Tak czy owak, okazja przepadła. Zaprzepaściłem ją przez głupią dumę – strofował siebie półgłosem, przemierzając na rowerze jesienny las. – I teraz muszę sobie jakoś poradzić. W kolejne soboty pojeżdżę trochę koleją po okolicznych stacjach, może ktoś gdzieś coś słyszał. Nie poddam się.

Myśl o tym, jak szczęśliwa będzie Katrin, jeśli uda mu się zdobyć dla niej pocieszające wieści, była niezwykle przyjemna. Szkopuł tkwił jedynie w tym, że Peter za nic nie mógł sobie wyobrazić, jaki mógłby być powód tego, że pan Dulke nie dotarł do

Danzig. To znaczy – powód inny niż to, czego za wszelką cenę nie chciał przyjąć do wiadomości: że stało mu się coś złego.

Dni mijały – w ciężkiej pracy, tęsknocie i niepokoju. Choć Peter wcześniej czekał z utęsknieniem na list od Katrin i wyobrażał sobie, z jaką radością jej odpisze – pewien, że uczyni to natychmiast – teraz rozumiał, dlaczego dziewczyna zwlekała, bo sam robił dokładnie to samo. Wciąż miał nadzieję, że następny dzień przyniesie jakąś zmianę, jakieś nowiny, którymi mógłby się podzielić z ukochaną i rozweselić jej serce... Rzecz w tym, że żadnych nowin nie było.

W końcu więc napisał, choć zdawał sobie sprawę, że Katrin, czytając te słowa, poczuje się rozczarowana.

Ukochana!

Nie mam dla Ciebie żadnych wiadomości, choć bardzo bym chciał, aby było inaczej. Każdą wolną chwilę poświęcam na szukanie informacji o Twoim ojcu, lecz na próżno. Byłem na policji – niestety, zupełnie nic to nie dało, Kriminalassistent Bucholz nie uznał tej sprawy za godną uwagi, ponieważ – według niego – cokolwiek się stało, wydarzyło się to poza Sommerfeld, on zaś odpowiada jedynie za bezpieczeństwo obywateli na terenie miasta, a nie wtedy, gdy z niego wyjadą.

Myślę, że gdyby o interwencję poprosił człowiek zamożny i znaczący, liczący się, Bucholz postarałby się choć trochę albo przynajmniej udawałby, że się stara. Lecz ja jestem nikim, a nawet mniej niż nikim – przywykłem zresztą do tego, że wyznawcy Hitlera traktują mnie jak śmiecia. Drogą oficjalną zatem nic nie wskóram. Mogę jedynie szukać sam.

Pomyślałem, że jeśli – jak pisałaś – Twój tata miał się przesiąść w Berlinie, to są trzy możliwości. Gdyby coś mu się stało w podróży, na przykład zachorowałby lub zasnął, ktoś by o tym wiedział: albo konduktor pociągu z Sommerfeld do Berlina, albo policja kolejowa w Berlinie, albo wreszcie obsługa pociągu z Berlina do Danzig. Tą ostatnią ewentualnością musisz się zająć Ty na miejscu, ja natomiast pracuję nad dwiema pierwszymi.

Pan Schwarz, o którym wspominałaś w swoim liście, obiecał mi, że wypyta wszystkich konduktorów, którzy jeżdżą na linii do Berlina. Ja sam byłem już na krótkich „wycieczkach” w Jessnitz, Starzeddel, Stargardt i kilku innych miejscowościach na trasie do Guben, wypytywałem o Twego ojca, ale nic z tego nie wynikło. Oczywiście pewnym utrudnieniem jest to, że nie mam pojęcia, jak był ubrany owego dnia, kiedy wyruszył w podróż, no i – jak piszesz – byłoby łatwiej, gdyby miał jakieś znaki szczególne. Pocięsza mnie jednak myśl, że gdyby coś się wydarzyło na którejś z tych małych stacyjek, miejscowi by o tym wiedzieli. Takie miejsciny żyją ploteczkami, w ich nudnej codzienności każde niespodziewane zdarzenie to nie lada gratka.

Jeśli uda mi się uzyskać u pana Lehmana dwa dni wolnego, pojeżdżę nieco dalej, może uda mi się nawet wybrać do Berlina i tam pokręcić w okolicy dworca. Oczywiście wszystko to ma sens jedynie przy założeniu, że ojciec Twój owego feralnego dnia w ogóle wsiadł do pociągu. Bo tak naprawdę tej pewności nie mamy, prawda? Schwarz nie widział go odjeżdżającego, a miał owego dnia nocną zmianę, zaś pracownik stacji, który obsługiwał wówczas pociąg do Berlina, nie zna Twego ojca, więc w swojej relacji opierał się jedynie na opisie. Sama rozumiesz, że to niepewne źródło.

Dlatego szukam i wypytyuję także tu, na miejscu. Rozmawiałem z ciotką Lottą, odwiedziłem Annę Kushner, podpytywałem szewca Welza, byłem też w szpitalu, gdzie zacząłem pielęgnować, Siegfrieda Lohmanna. Zaglądam do wszystkich zakładów: do rymarza, ślusarza, krawca, do sklepów, zagadywałem nawet robotników w przedziałniach i oczywiście w cegielni, gdzie pracował Twój tata – ale nikt nic nie widział ani nie słyszał.

Goście w karczmie, zwykle niezawodne źródło informacji i plotek, w tej sprawie nie posiadają żadnej wiedzy. Proszę Cię, Ukochana, postaraj się znaleźć w tym pociechę, bo brak wiadomości jest w obecnej sytuacji dobrą wiadomością. Gdyby zdarzył się jakiś wypadek, ktoś by już o tym wiedział.

Teraz kilka słów o innych sprawach: przygotowałem dom dla ewentualnego kupca, choć na razie nie znalazł się nikt, kto chciałby go nabyć. Pan Lehmann obiecał, że mi w tym pomoże. Byłem także w Sorau dopytać o paszport. Usłyszałem, że muszę cierpliwie czekać. Usiłowałem wziąć urzędnika pod włos, tłumacząc mu, że pragnę się ożenić z porządną niemiecką dziewczyną, blondynką o błękitnych oczach, i dla dobra Rzeszy spłodzić potomka, małego żołnierzyka ku chwale Führera, zanim mnie wezmą do wojska. On mi na to, że do tego celu nie potrzebuję paszportu. Ale nie straciłem rezonu, wytłumaczyłem mu, że narzeczona marzy o podróży poślubnej... Chyba trochę zmięknął. Kazał przyjechać w przyszłym tygodniu.

Kocham Cię, Katrin, tak bardzo, że aż mnie boli dusza. Wieczorami, po pracy, czytam Twoje książki, bo mi się wydaje, że w jakiś sposób jestem wtedy bliżej Ciebie. Lubię myśleć, że Twoje palce przewracały te same strony, których ja teraz dotykam.

Najbardziej podobają mi się poezje. Nigdy dotąd nie czytałem wierszy, chyba że jeszcze w szkole, ale to było tak dawno... Teraz

odkryłem, że w niektórych mogę odnaleźć własne uczucia. Moim ulubionym jest ten fragment z Rilkego: „Znajdowałem ulice, którymi właśnie przechodziłaś – i lustra w sklepach handlarzy miały jeszcze zawrót głowy po tobie i złęknione odrzucały mój zbyt nagły obraz. – Kto wie, czy nie ten sam ptak przelatował nas dźwiękiem wczoraj, osobno, w wieczorze?”^[3]. Sama powiedz, czy to nie piękne? Kiedy jeszcze mieszkałaś w Sommerfeld, myślałem o czymś podobnym: że świecą nad nami te same gwiazdy, a gdy pan Otto wysyłał mnie na zakupy – że chodzę po tym samym bruku, który wcześniej deptały Twoje stopy. Rzecz w tym, że choćbym myślał dzień cały, nie umiałbym tego ująć tak pięknie jak zrobił to Rilke.

Przyjdzie taki dzień, że znów będziemy razem, Ukochana. Nawet gdybym musiał czekać do końca życia, będę Ci wierny. Ty także dochowaj mi wiary. Nigdy nie wolno Ci zwątpić w moją miłość. Choćbym przestał pisać, zawieruszył się gdzieś, podążając tropem Twego ojca, czekaj na mnie i noś w sercu przekonanie, że znów się spotkamy. Mamy w karczmie pewnego stałego gościa, Węgra z pochodzenia, nazywa się Branyi. Jest wielkim miłośnikiem ptaków. Wiesz, co mi ostatnio powiedział? Że dzikie gęsi kochają jak ludzie. Łączą się w pary na całe życie i choćby zabłąkały się gdzieś podczas swoich wędrówek, zawsze w końcu wracają do gniazda, do domu. Będziemy jak te gęsi, Katrin. Wrócimy oboje, zobaczysz... A jeśli nie, jeśli nie dane nam będzie tu wrócić, to zbuduję nowe gniazdo – gdziekolwiek zechcesz.

Wiesz, że kiedy jest mi źle, szukam pociechy w Piśmie Świętym. Jeżeli otworzysz je w odpowiednim miejscu, znajdziesz taki fragment: „Miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”. Również nasze uczucie wszystko przetrzyma, Katrin, tylko nie wolno nam tracić

ufności. Wszak Święty Paweł mówi: „Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość – te trzy: największa z nich jest jednak miłość”.

Czekaj na mnie, Ukochana. Odnajdę Cię, choćby cały świat był przeciwko nam.

Twój kochający mąż

Peter

[3] R.M. Rilke, *Ty zawczasu utracona kochanko*, przeł. M. Jastrun, Kraków 1967.

*

Marlene usiadła na ławce, uprzednio usunąwszy z niej wilgotne liście. Wzdrygnęła się z zimna, bo listopadowy wiatr wciskał swoje długie palce pod kołnierz jesionki. Czuła się samotna i znudzona. Ute Meyer okazała się nawet nie w połowie tak dobrą koleżanką jak niegdyś Katrin – nie było z nią tak beztrosko i wesoło, ponieważ prawie się nie śmiała. Przeciwnie, зараżała otoczenie jakimś rodzajem wewnętrznego gniewu, agresji; była ponura i wiecznie pokrzykiwała. Marlene z rozrzewnieniem wspominała popołudnia spędzone w towarzystwie Katrin. Chociaż wszędzie łąziła za nimi ta nudna, nijaka Anna Kushner, to i tak potrafiły śmiać się niemal ze wszystkiego, godzinami snuć głupiutkie marzenia i wspominać radosne zabawy z dzieciństwa. Nawet wspólne leżenie na trawie było przyjemne, bo zadawało się wtedy zagadki w rodzaju „co przedstawia ta chmura?” – i już nuda znikwała.

Ale Katrin wyjechała i nawet nie przyszła się pożegnać. Marlene nie mogła sobie przypomnieć, o co właściwie się pokłóciły. I czy w ogóle była jakaś kłótnia? W pewnym momencie pojawił się między nimi chłód, lecz po tylu miesiącach dziewczyna nie kojarzyła już tego z konkretnym wydarzeniem – po prostu zauważyła, że Katrin nie chciała więcej spędzać z nią czasu. Początkowo, uświadomiwszy sobie tę niechęć dawnej przyjaciółki,

Marlene próbowała sprawić, aby tamta była zazdrosna o Ute, jednak ten plan zupełnie się nie powiódł. Katrin odsunęła się, stała się obca, daleka i zimna, a Marlene tęskniła za dawnymi czasami.

Oczywiście została jeszcze Anna, tyle że jej nie dało się naprawdę polubić. Była niczym cień – ktoś, kto milcząco towarzyszy innym, sam zaś nigdy nie wychodzi z inicjatywą, nie miewa pomysłów, nie jest w stanie nikogo rozbawić ani nawet rozzłościć. Marlene myślała czasem o Annie, że przypomina letnią herbatę. Ani nie przyniesie ochłody w skwarne dni, ani nie rozgrzeje rąk, gdy człowiek zmarznie – jest nijaka, bez wyrazu, bez smaku.

Właściwie jakim cudem to chorowite chuchro zaczęło się uważać za jedną z nas? – zadała sobie teraz pytanie, patrząc, jak skulona od chłodu Anna szybkim krokiem idzie w jej stronę. To było chyba wtedy, gdy po raz pierwszy dostała ataku epilepsji w szkole. Katrin zaopiekowała się nią wówczas; inne dziewczynki nie chciały się bawić z tą „dziwaczką, co się ślini, trzepie głową i wywraca oczyma”. Od tamtej pory Anna wszędzie chodziła z Marlene i Katrin, choć ta pierwsza nie była z tego zadowolona.

– Cześć – powiedziała teraz, kiedy chuda koleżanka o popielatej cerze wreszcie przeszła przez Adolf Hitler Platz i stanęła obok ławki, przy Marlene. – Siadaj, bo musimy jeszcze poczekać na Ute Meyer. Powinna zaraz tu być.

Z leciutką satysfakcją odnotowała, że Anna skuliła się jeszcze bardziej, jakby bała się Ute. No tak, nie ona jedna. Wiele osób wolało nie rzucać się w oczy, gdy na horyzoncie pojawiała się najzagorzalsza nazistka w miasteczku. Ale Marlene uważała, że prawdziwi Niemcy, ci o czystej krwi, nie muszą się niczego obawiać. Sama nie była wielbicielką Hitlera; nie podobały jej się

jego dziwne wąsy, nie lubiła też gwałtownych gestów i krzyku – może dlatego, że nazbyt kojarzyły jej się z apodyktycznym ojcem. Ponadto nie bez wpływu na uczucia Marlene w stosunku do Führera pozostawała sytuacja jej ulubionego kuzyna. Dziewczyna doskonale wiedziała, że prędzej czy później Peterowi stanie się krzywda, nawet jeśli nie w sensie fizycznym, to na pewno emocjonalnym – albo zostanie zmuszony do odbycia służby wojskowej, albo ukarany za odmowę. Na myśl o tym truchlała. Peter, najsympatyczniejszy członek jej rodziny, wydawał jej się zbyt delikatny, zbyt wrażliwy, by móc znieść którąkolwiek z tych możliwości. Nie wierzyła, żeby zdołał przetrwać w wojsku, ale tym bardziej nie poradziłby sobie w więzieniu albo, co gorsza, w obozie. W każdym razie tak mówił ojciec, z jawną kpina odnoszący się do religijnych przekonań chłopaka.

Właśnie z powodu tej ojcowskiej niechęci ostatnio Marlene niemal Petera nie widywała. Dopóki trwało lato, kuzyn odwiedzał czasem ciotkę Lottę, ale od początku jesieni Marlene spotykała się z nim bardzo rzadko. I martwiła się o niego.

– Rudolf – odezwała się nagle Anna, odrywając jej myśli od Petera. – Zobacz. Przy słupie ogłoszeniowym.

To było dla niej typowe: zamiast pełnych zdań porozumiewała się pojedynczymi frazami. Ale akurat w tej sytuacji komunikat był aż nadto zrozumiały. Anna wiedziała, że Marlene podkochuje się w Rudim, choć oczywiście nie miała pojęcia, że ostatnio owo uczucie nieco ewoluowało. To już nie było dziewczęce zakochanie, lecz gniewna, zraniona miłość, zabarwiona chęcią odwetu za odrzucenie. Bo przecież Marlene nie była głupia: wreszcie uświadomiła sobie, że Hertz jej nie chce. I że ta niechęć nie ma nic wspólnego z Katrin, jak jej się wcześniej wydawało. Nie.

Wszak Katrin wyjechała, a Rudi nadal nie zauważał istnienia zakochanej w nim Marlene.

Miłość od nienawiści dzieli zaledwie cieniutka granica. I właśnie teraz dziewczyna sama już nie była pewna, po której stronie tej granicy się znajduje. Bo czy można jednocześnie doświadczać obu tych uczuć? Wiedziała jedno: pragnęła, aby Rudolf pożałował, że nie zwraca na nią uwagi, chciała go za to ukarać. Lecz zarazem zdawała sobie sprawę, że gdyby tylko ją pokochał, natychmiast wybaczyłaby mu dotychczasową obojętność.

– Co on robi? – mruknęła. – Notuje coś?

Anna nie odpowiedziała; wydała z siebie jedynie cichutki dźwięk, który równie dobrze mógł być przytaknięciem, jak zaprzeczeniem. Marlene pomyślała, że nie zrobiłoby jej różnicy, gdyby Anna nie odzywała się wcale, skoro i tak nie wiadomo, co właściwie chce powiedzieć.

Odczekała chwilę w nadziei, że chłopak dostrzeże ją z daleka; wyprostowała plecy i poprawiła włosy, ponieważ jesienny wiatr bawił się kilkoma nieposłusznymi kosmykami, lecz Hertz nie zwrócił uwagi na siedzące na ławce dziewczęta. Wyraźnie zaaferowany, przez chwilę zapisywał coś w czarnym brulionie, a potem ruszył w stronę dworca kolejowego.

– Ciekawe, czym się teraz zajmuje. Podobno marzył o lotnictwie – zauważyła Marlene. – Przynajmniej tak mi mówiła Katrin. A właśnie, miałaś od niej jakieś wieści?

– List – brzmiała cicha odpowiedź. – Pytała o ojca.

– Zaraz, zaraz... Ona pytała o twojego ojca?

– Nie, o swojego.

Marlene przypomniało się nagle, że matka wspominała coś o panu Dulke. Że podobno jest poszukiwany. Że któregoś dnia

spotkała na targu Petera, który o niego wypytywał. Ale o co mogło chodzić?

– Nic z tego nie rozumiem – oznajmiła. – Czy ty wiesz coś więcej, Anno?

– No, że zaginął. Tylko tyle. Katrin prosiła, żebym zapytała rodziców, czy go widzieli.

Było to jedno z najdłuższych zdań, jakie Marlene kiedykolwiek usłyszała od Anny.

– Ale dlaczego mieliby go widzieć? Czy państwo Dulke nie wyjechali?

– Katrin z mamą tak. Ojciec miał dołączyć później, ale nie przyjechał.

O, to była nowość, Marlene nie miała o tym pojęcia. Cóż takiego się stało? Katrin od dawna obawiała się o bezpieczeństwo taty, wspominała przecież o jego wywrotowych poglądach. Czyżby teraz przez to się ukrywał? A może aresztowano go w związku z zatwierdzeniem ustawy o ochronie krwi niemieckiej? Tylko czy można ukarać kogoś za to, że dwadzieścia lat wcześniej ożenił się z Polką? Nie, to wydawało się nedorzeczne.

Zaraz, zaraz. Kiedy ktoś zaginie, rozwiesza się ogłoszenia. A Rudi właśnie notował coś przy słupie. Czy przypadkiem też nie jest zainteresowany sprawą pana Dulke? Może jednak nadal kocha się w Katrin?!

– No, już jestem! – Głos Ute Meyer wyrwał kuzynkę Petera z tych rozmyślań. – Idziemy?

Anna, która nagle skurczyła się w sobie jeszcze bardziej, nawet jeśli wydawało się to niemożliwe, skinęła głową. Marlene westchnęła. W owej chwili ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było uczestnictwo w wykładzie o powołaniu niemieckich kobiet: rodzeniu dzieci dla dobra Wielkiej Rzeszy. Nie chciała rodzić

dzieci. Pragnęła tylko przeżyć życie wygodnie i przyjemnie oraz... rozkochać w sobie Rudolfa Hertza.

Mimo to przytaknęła Ute, udając entuzjazm, otrzepała wilgotną od siedzenia na ławce spódnice i wraz z koleżankami poszła w stronę budynku Mädchen Mittelschule, gdzie odbywał się wykład.

*

Peter struchlał, słuchając opowieści podróżnego, niejakiego Knausa, który ze swadą rozprawiał o tym, jak to „doskonale sobie poradzono” z plagą żydowską.

– Powiadam wam, w całej Rzeszy zrobiono porządek z tymi śmieciami – perorował mężczyzna, drapiąc się po obwisłym podgardlu. – Całe ulice były w szkłe. Żydki uciekały, aż miło. – Zarechotał, a wówczas fałdy okalające jego twarz i szyję zatrzęśły się, jakby pod skórą tkwiła jakaś galaretowata substancja. – Nie mówiąc już o tym, ile tego robactwa poszło z dymem! Niby miało się skończyć na niewinnych ogniskach, ale któż może poradzić cokolwiek na to, że ogień tak szybko się rozprzestrzenił, no i parę synagog się niechcący sfajczyło.

Otto Lehmann posłał Peterowi ostrzegawcze spojrzenie. Niepotrzebnie. Chłopak doskonale wiedział, że nie wolno mu zareagować. Nie chodziło nawet o to, że musiał jak najmniej rzucać się w oczy dla własnego dobra, w nadziei na to, że armia nie przypomni sobie o nim przedwcześnie. Szło o coś więcej. Otóż tacy jak on, niepopierający antysemitycznych wybryków i sprzeciwiający się fanatycznemu nazizmowi, byli ostatnio w ogromnej mniejszości. Peter zastanawiał się nawet, czy ludzie wokół niego rzeczywiście zmienili poglądy, czy raczej przyczaili się, przycupnęli jak myszy pod miotłą, by przecześć ten mroczny

czas. Bo tak, początkowo wydawało się, że to nie potrwa długo – wystarczy siedzieć cicho i cierpliwie czekać. Szaleństwo nienawiści narastało stopniowo, a każdy rok i miesiąc przynosił złudzenie, jakoby zwolennicy Hitlera osiągnęli już kres swoich możliwości.

Niestety, wszystko wskazywało na to, że nigdy go nie osiągną. Dzień po dniu przesuwali granice jeszcze dalej, popełniali kolejną podłość, kolejny potworny czyn, a oczy ogółu nadal pozostawały odwrócone.

Odkąd Peter pomagał panu Lehmannowi w karczmie, uważnie przysłuchiwał się rozmowom toczonym przy stole. Pozbawiony możliwości chodzenia do szkoły i słuchania radia (nie posiadał własnego odbiornika), traktował opowieści gości jako rodzaj lekcji o świecie. Chciał być na bieżąco ze zmianami zachodzącymi w kraju i usiłował znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Jak dotąd mu się nie udało.

Znał wielu Żydów. Bywali gośćmi w karczmie, grali na weselach i innych uroczystościach, dostarczali towar, naprawiali buty, jeden był golibrodą, kolejny piekarzem, inny skupował stare szmaty i papier. Nikomu nie robili nic złego, nie popadali w konflikty z prawem. Byli uśmiechniętymi, życzliwymi ludźmi, nawet jeśli niektórzy z nich inaczej się ubierali i mówili z innym akcentem.

Jakieś cztery lata temu, wspominał Peter, coś zaczęło się zmieniać. Najpierw kapela złożona z żydowskich muzyków przestała grywać w karczmie, potem wśród tematów rozmów przy piwie zaczęły dominować te o czystości krwi, przebudzeniu, wstawaniu z kolan i nowym świecie. Od czasu do czasu ktoś jeszcze opowiedział dowcip o „kapralu z wąsikiem”, lecz gdy w życie weszła ustawa o zdradzie stanu, owe żarty ustały. Za kpinę z Hitlera można było pójść siedzieć, nic więc dziwnego, że

dowcipnisiom skończył się dobry humor. Milczenie towarzyszyło gościom zwłaszcza wtedy, gdy na horyzoncie pojawiał się ktoś ze złotym znaczkiem partyjnym wpiętym w klapę. Takie emblematy nosili tylko ci, którzy byli zwolennikami Hitlera od samego początku, nawet wtedy, gdy pozostali mieli go za nieszkodliwego wariata. Pierwsze sto tysięcy fanatycznych wyznawców.

Niekiedy do Leipe docierały plotki i niesprawdzone pogłoski, jak owego dnia, gdy ktoś przerażonym szeptem relacjonował okropne wydarzenia nazwane później nocą długich noży. Niespełna piętnastoletni wówczas Peter nie bardzo w nie wierzył – bo jak tak można: z zimną krwią zabić w nocy bezbronnym ludzi... Przecież to niemożliwe. Nawet jeśli to byli sodomici. Niestety wkrótce gazety potwierdziły: Ernsta Röhma i wielu innych członków SA należało „wyeliminować”, bo byli zepsuci i prowadzili hulaszczy tryb życia. Od tamtej chwili Hitlera postrzegano już nie tylko jako wodza, ale także sprawiedliwego, bezwzględniego sędziego, który jest gotów poświęcić członków własnej partii, by oczyścić naród z elementów niemoralnych.

Z każdym miesiącem w rozmowach gości pojawiały się nowe wątki. Odseparowanie dzieci żydowskich od nie-Żydów w szkołach, zakaz korzystania przez nie z pływalni i obiektów sportowych, ustawy norymberskie, kolejne zjazdy NSDAP, głośno komentowany film *Triumf woli*, szukanie w księgach parafialnych aryjskich przodków, olimpiada i pokaz siły, szokująca wystawa w Monachium („Sztuka zdegenerowana dla dziwek i narkomanów” – jak to z pogardą określił jeden z przybyłych do gospody)...

Wiosną nie mówiło się o niczym innym, jak tylko o anszlusie Austrii. Latem myśli panów odwiedzających karczmę zaprzętała aryżacja zasobów Rzeszy, która – jak wyjaśnił Peterowi Otto

Lehmann – oznaczała po prostu konfiskatę żydowskich majątków. We wrześniu omawiano układ monachijski i przyłączenie Kraju Sudetów do Rzeszy, co oczywiście było „absolutnie niezbędne” dla powiększenia niemieckiej przestrzeni życiowej.

Teraz zaś, późną jesienią, temat rozmowy stanowiło to, co wydarzyło w nocy z 9 na 10 listopada. Kiedy pan Knaus przedstawił swoje rewelacje, potrząsając triumfalnie pięścią, w gospodzie zapadła ponura cisza. Wszyscy zgromadzeni znali wielu Żydów z pobliskiego Forst i byli milczącymi świadkami tego, jak w ciągu ostatnich pięciu lat stopniowo ich ubywało. Znikały kolejne sklepy, kolejne twarze starych przyjaciół, którzy przestawali się pokazywać na ulicy. Jak choćby powszechnie szanowani Hedwiga i Julius Jacobsohnowie, którzy przed trzema laty musieli zamknąć aptekę i uciec, podobno aż do Wiesbaden.

Peter słyszał, że synagogę w Forst splądrowano, podobnie jak mieszkania licznych obywateli pochodzenia żydowskiego, zaś ponad trzydziestu mężczyzn wyznania mojżeszowego aresztowano. Był zszokowany, ponieważ wielu z nich było znajomymi pana Lehmana. Chłopak doskonale wiedział, że nigdy nie uczynili nic złego.

Kiedy dzień pracy się skończył, zmęczony Kessler wrócił do domu. Mimo przygnębienia, jakie wywołała w nim opowieść Knausa, miał w sercu cichą radość. Dwa dni wcześniej odebrał paszport, nie było już więc żadnych formalnych przeszkód – mógł wyjechać w każdej chwili, by spotkać się z ukochaną. Nareszcie przestanie budzić się z lękiem, że nie zdąży, że właśnie tego dnia upomną się o niego siły zbrojne Rzeszy, a wówczas wiadomość o paszporcie czekającym na odbiór zostanie go już w więzieniu.

Na szczęście te koszmary się nie ziściły. Miał już upragniony dokument, mógł wyjechać. Wprawdzie poszukiwania Jacoba

Dulke nie przyniosły żadnych rezultatów, ale pozostawanie w Leipe nie miało już sensu. Peter był gotów się poddać – a jeśli coś go powstrzymywało, to jedynie myśl o rozczarowaniu, z jakim przywita go Katrin. Obiecał przecież, że zrobi wszystko, by odnaleźć jej ojca. Rzecz w tym, że wyczerpał wszelkie możliwości, jakie przyszły mu do głowy.

Sprzedają domu niespecjalnie się kłopotał. Pan Lehmann obiecał, że pod jego nieobecność postara się znaleźć kupca, a pieniądze wpłaci na konto, które specjalnie w tym celu chłopak założył z pomocą swego pracodawcy. Dotąd nie posiadał rachunku bankowego, bo takowy nie był mu potrzebny.

Gdyby nie udało się znaleźć nabywcy, Otto Lehmann obiecał od czasu do czasu zaglądać do gospodarstwa Petera, przewietrzyć dom, napalić w piecu, żeby pozbyć się wilgoci... Jednym słowem, Peter był spokojny o swoją skromną ojcowiznę. W skrytości ducha myślał nawet, że dobrze będzie wiedzieć, że ma się do czego wracać.

Tego wieczoru czuł się znużony bardziej niż zwykle, a winą za to obarczał Knausa i jego opowieść o płonących w całej Rzeszy synagogach. Choć przodkowie Petera nigdy nie stawiali świątyń, bo nie potrzebowali ich do codziennej modlitwy, to przecież jego dusza krzyczała, buntując się przeciwko takiemu traktowaniu bożnic. Konieczność zachowania milczenia i słuchania o tych bezceństwach z kamienną twarzą wyczerpała go bardziej niż praca fizyczna.

Jak zwykle dostał w karczmie trochę jedzenia: gulasz i piętki od chleba, a że przyszła mu chęćka na kiszoną kapustę, postawił ronderek na stole i udał się do pełniącej funkcję spizarki szopy, gdzie trzymał zapasy na zimę. Na półce stały słoiki z przetworami, otrzymane latem od pani Dulke. Wiedział, że nie

można ich tu zostawić, bo przyjdzie mróz i szkło popęka – postanowił więc podarować zapasy panu Lehmannowi, ale wciąż zapominał o tym, by zanieść je do karczmy.

Zauważył, że drzwi były niedomknięte; widocznie rano, sięgając po powidła, niestarannie nałożył skobel. Na wszelki wypadek zajrzał do kamiennego garnka, w którym przechowywał smalec ze skwarkami. W ubiegłym roku, właśnie przez to, że nie zamykał drzwi, stracił całe zapasy smalcu, bo w szopie harcowały myszy. Sprytnie zwierzątka potrafiły odsunąć ciężką pokrywę i wyjadły apetycznie pachnący tłuszcz co do ostatniej skwareczki. Peter swoim zwyczajem obrócił całą rzecz w naukę. Nie omieszkał pomodlić się z radością i podziękować Bogu za ważną lekcję.

Teraz, upewniwszy się, że smalec jest nienaruszony, także odmówił modlitwę dziękczynną. Jeśli człowiek się postarał, naprawdę na każdym kroku znajdował powody do wdzięczności.

A jednak radość – ta prawdziwa, nieudawana radość życia – niemal zupełnie Petera opuściła. Przygnębiały go wydarzenia ostatnich dni, a do tego wręcz boleśnie tęsknił za Katrin. Nigdy wcześniej samotność nie dawała mu się tak dotkliwie we znaki. Bywało, że mówił do dziewczyny; wyobrażał ją sobie, jak siedzi przy stole w kuchni, oparłszy łokcie o blat, a on opowiada jej o tym, że bardzo ją kocha i że było mu bez niej źle.

Teraz wreszcie taka rozmowa stała się realna. Mając paszport, Peter mógł wyjechać i zamieszkać z ukochaną, zatrudnić się w Danzig albo gdzieś w gospodarstwie na Kaszubach, gdzie mieszkali jej krewni. Nawet jeśli by nie popłynęli za ocean, bo przecież pieniędzy na bilet do Ameryki Peter wciąż nie miał, to mogli zamieszkać w Polsce. Katrin uczyłaby go języka. Na pewno by sobie poradził.

Jeszcze kilka dni, mówił sobie, kilka dni i znów będziemy razem. Włożę ciepłe ubranie, spakuję Biblię i dokumenty – to wszystko, czego mi trzeba. Pozanoszę przetwory i książki Katrin do pana Lehmana, a potem – droga wolna.

Uśmiechając się do swoich myśli, nabrał garść kapusty z beczki, uporządkował na półce zapasy – osobno ustawiając dzemy, osobno marynaty. Wrócił do kuchni i zjadł kolację, wybierając wystudzony już gulasz przyklepką i co jakiś czas przegryzając kiszonką, aby pozbyć się z podniebienia posmaku zimnego tłuszczu. Następnie umył się nad miednicą, przeparał koszulę oraz bieliznę, po czym wyszedł na podwórko. Chlusnął wodą na zielsko pod płotem i rozwiesił pranie, by obciekło.

Noc była dość ciepła jak na listopad, postanowił więc nie palić w piecu. Miał już niewiele drewna, a chciał zostawić trochę opału panu Lehmannowi, żeby właściciel gospody mógł ogrzać pusty dom od czasu do czasu, zwłaszcza jeśli przyjdą srogie mrozy.

Wracając do domu, usłyszał łoskot w spiżarce. Musiałem źle odstawić jakiś słoik, pomyślał. Albo to jednak myszy. Kto wie, może nawet szczury. Szczurów Peter nie znosił, choć ich nie zabijał, lecz jedynie przeganiał.

Narzucił na grzbiet starą koszulinę, która służyła mu za ubranie robocze, bo nie chciał zmarznąć przed snem; inaczej długo potem nie mógłby zasnąć. Wziął zapaloną świecę oraz – na wszelki wypadek – miotłę, by w razie potrzeby wypłoszyć gryzonia, po czym przeszedł przez podwórko, by zajrzeć do szopy. Czuł się zupełnie wyczerpany. Gdyby nie to, że nie był pewien, czy tym razem nie zapomniał przykryć garnka ze smalcem, pewnie by sobie darował.

Garnek był zabezpieczony pokrywką. Peter podniósł świecę, aby przy jej wątłym płomieniu uchwycić ruch w momencie, gdy mysz

czmychnie z szopy. Nic się jednak nie wydarzyło. Chłopak przyjrzał się uważnie półkom, spodziewając się, że zobaczy tam końcówkę ogonka albo błysk oczek, w których odbije się światło. Osłupiał, gdy stwierdził, że brakuje dwóch słoików z dżemem. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Przecież dopiero co, zaledwie kilkanaście minut temu, ustawił je na półce w równym rzędzie.

A zatem to nie była mysz, to nie był szczur. Żadne zwierzę nie ukradłoby słoików z przetworami. Peter cofnął się o krok i odstawił miotłę na zewnątrz. Ktokolwiek ukrywał się w szopie, nie należało go przeganiać kijem.

– Kimkolwiek jesteś, wyjdź – powiedział szeptem. – Nie zrobię ci krzywdy.

Odczekał chwilę, lecz odpowiedziała mu absolutna cisza. Intruz musiał się ukryć w głębi, wśród starych worków po zbożu, za beczką z kapustą albo za złożonymi pod ścianą narzędziami stolarskimi, nieużywanymi od czasu śmierci dziadka.

– Nie bój się – odezwał się znowu Peter. – Wiedz, że w tym domu mieszka chrześcijanin. Nie stanie ci się nic złego. Ale nie kradnij już. Jutro rano, zanim pójdę do pracy, wystawię ci jedzenie.

*

Katrin nie miała już sił nawet na to, by płakać. Obmyła zimną wodą spuchnięte od łez oczy i poszła do kuchni, by wraz z babcią przygotować skromny obiad: krupnik na kościach. Drugiego dania ich jadłospis nie przewidywał. Ostatnio wszystko było skromne, nie tylko posiłki. I wszystko, absolutnie wszystko układało się zupełnie nie tak, jak powinno. Katrin tęskniła za Peterem, umierała z niepokoju o ojca, a teraz w dodatku wiele wskazywało na to, że przyjdzie jej pożegnać się z matką.

Urszula Dulke marniała w oczach. W zasadzie zupełnie nie przypominała już dawnej siebie. Cierpiała na okropne bóle głowy, od których niemal traciła przytomność. Wydawała się wysuszona; jej skóra pociemniała, oczy zapadły się w głąb czaszki. Nie mogła jeść, ponieważ mdliło ją na sam widok jedzenia. Niemal nie spała, bo nocą nękały ją koszmary, w których ciało jej męża włóczyły po polach bezpańskie psy. Wiezorami za wszelką cenę walczyła ze znużeniem, szeroko otwartymi oczami wpatrując się w sufit, byle uciec od niechcianych snów. A jeśli już zasnęła, to budziła się z krzykiem i jeszcze silniejszym bólem w skroniach.

– Dlaczego wyjechałyśmy? – jęczała, gdy córka usiłowała ją pocieszyć. – Jak mogłam zostawić Jacoba? Przecież ślubowaliśmy sobie zawsze być razem, w zdrowiu i w chorobie, na dobre i złe.

– Mamo, wyjeżdżałaś wcześniej wiele razy – pocieszała ją Katrin. – Zabierałaś mnie latem do dziadków, a tata zostawał w Sommerfeld, pamiętasz? I nigdy nie działo się nic złego. Nasz wyjazd nie ma związku z jego zniknięciem. To nie twoja wina.

Mimo to Urszula obwiniała się, bo – jak twierdziła – tym razem sytuacja była zupełnie inna.

– Wiedzieliśmy przecież, że coś mu grozi – mówiła rozgorączkowana, trawiona jakimś wewnętrznym ogniem. – Właśnie z tego powodu podjęliśmy decyzję o wyprowadzce! Sama pomyśl. Zostawiłam męża w miejscu, gdzie ostrzegano go przed niebezpieczeństwem. Czy nie należało raczej zamienić się rolami? Przecież to on powinien był wyjechać pierwszy, zabrać cię w bezpieczne miejsce, ja zaś mogłam zająć się sprzedażą dobytku.

– Równie dobrze ja mogłam zostać – odparła Katrin, w duchu przyznając mamie trochę racji. – Więc i ja zawiniłam, jeśli już koniecznie chcesz postrzegać tę sprawę w kategoriach winy.

W gruncie rzeczy jednak nie miało to znaczenia: winna czy niewinna, Urszula marniała, słabła i wkrótce stało się jasne, że toczy ją jakaś tajemnicza choroba, której jednym z objawów był brak sił witalnych. Wezwany przez dziadków polski doktor stwierdził tylko, że według niego nie jest to zaburzenie somatyczne – jednym słowem: że chora jest dusza.

– Oczywiście istnieje możliwość, iż pod czaszką znajduje się guz, który uciskając na delikatne struktury mózgu, powoduje te wszystkie objawy. To by tłumaczyło bóle głowy. Ale obecnie w środowisku lekarskim mówi się sporo o depresji, która także miewa podobne symptomy – wyjaśnił. – Niestety, jak dotąd nie znamy na nią skutecznego lekarstwa. Słyszałem, że doktor Meduna udowodnił pewną skuteczność wstrząsów kardiazolowych, lecz po pierwsze, Meduna wyemigrował do

Ameryki, po drugie zaś, znane są przypadki niezwykle przykrych skutków ubocznych dożylnego podania kardiazolu. Utrata przytomności, drgawki, a nawet zaburzenia pamięci...

– Żadnych eksperymentów! – rzucił ze złością stary Henryk Stern, który sam zmagał się z chorobą wykręcającą mu stawy i coraz bardziej odbierającą sprawność. – Nikt nie będzie wstrzykiwał mojej córce trucizny. Cóż to za leczenie, w którym usuwamy jeden rodzaj cierpienia, lecz wywołujemy inny? Nic z tego! Nie zgadzam się!

Doktor nie dyskutował z takim stanowiskiem, gdyż w gruncie rzeczy zupełnie nie znał się na zaburzeniach psychicznych. Zresztą miał dość własnych problemów, jako że odkrył w swoim drzewie genealogicznym dwie osoby krwi żydowskiej. W zasadzie jedynym, co obecnie zaprzętało jego myśli, było pytanie, dokąd powinien wywieźć swoich bliskich. Bo że powinien, to było oczywiste.

I tak oto gdańskie mieszkanie przy Grenadiergasse stało się miejscem wypełnionym smutkiem i chorobą. Dziadek prawie już nie opuszczał swego pokoju, zwinięta w ciasny kłębek mama całymi dniami leżała twarzą do ściany, na przemian jęcząc z bólu i popadając w dziwny stupor, podczas którego nie odpowiadała na pytania, nie reagowała na próby nakarmienia jej albo choćby podania herbaty – zaś babcia Cila i Katrin usiłowały zachować resztki normalności, chodząc na zakupy, sprzątając, gotując i dyskutując o tym, co jeszcze można by zrobić, by znaleźć Jacoba. Wydawało się oczywiste, że gdyby przyjechał, stan Urszuli z pewnością by się poprawił, a nawet gdyby wciąż chorowała, można by wreszcie zrealizować plany wyjazdu do Ameryki. W obecnej sytuacji nawet Katrin, choć zakochana i tak bardzo

stęskniona za Peterem, brała pod uwagę emigrację za ocean – byle tylko ocalić życie mamy. W Ameryce wszystko jest lepsze, nowocześniejsze, myślała. Może tam umieją leczyć takie choroby. Może tamtejsi medycy potrafiliby sprawić, aby mama zaczęła znowu jeść i nabierać sił.

Rzecz w tym, że bez ojca wyjazd stał się niemożliwy. Nawet nie dlatego, że by sobie nie poradziły – przeciwnie, Katrin czuła się dorosła, odpowiedzialna i odważniejsza niż kiedykolwiek przedtem. Ale nie mogłaby wyjechać, nie wiedząc, co się dzieje z tatą. Może był w więzieniu i czekał na list? Może gdyby dać odpowiednią łapówkę, uwolniono by go? W takim wypadku mogłyby z mamą wykorzystać pieniądze, które tata umieścił na koncie w banku po sprzedaży domu. To nic, że nie wystarczyłoby wówczas na bilety do Ameryki – ważne, że rodzina znów byłaby razem.

Katrin napisała o tym Peterowi i poprosiła, żeby spróbował się czegoś dowiedzieć w lokalnych strukturach policji bezpieczeństwa. Oczywiście nie on sam, bo z nim nikt nie zechciałby rozmawiać. Ale może Marlene? Albo Anna Kushner, która podobno miała kogoś znajomego w SA? Wprawdzie brunatne koszule nie zajmowały się takimi sprawami, lecz przecież w tak małym mieście funkcjonariusze policji i szturmowcy dobrze się znali.

Tak czy owak, emigracja na razie nie wchodziła w grę. A na domiar złego wydarzyło się coś jeszcze – coś, czego Katrin się nie spodziewała i co spadło na nią jak grom z jasnego nieba. Nie od razu się połapała, bo właściwie od samego początku, dokładnie od dwunastego roku życia, miesiączkowała bardzo nieregularnie i skąpo. Dopiero ostatnio, w osiemnastej wiosnie życia, jej menstruacje stały się obfitsze, choć nadal zdarzały się między nimi dwumiesięczne przerwy.

Tylko tym Katrin mogła sobie wytłumaczyć fakt, że nie zorientowała się od razu. Pamiętny tydzień, w którym każdego wieczoru namiętnie żegnała się z ukochanym, wydarzył się w sierpniu. Teraz była połowa listopada. Od tamtej pory nie krwawiła ani razu. Brzuch nadal miała płaski, nie dokuczały jej także żadne inne objawy ciąży, nie męczyły mdłości. A jednak miała niezbitą pewność, że nosi w sobie dziecko. W końcu jej ciało zaczęło się zmieniać. Piersi powiększyły się, stały się wrażliwe na dotyk. Lecz największa zmiana zaszła w psychice. Zupełnie jakby nagle wszystko się przewartościowało. Dawne pragnienie niezależności, usamodzielnienia się i zaznania swobody wydawało jej się teraz dziecinadą. Obecnie Katrin marzyła o spokojnym życiu gdzieś z dala od wrzaskliwych wynurzeń Hitlera; potrzebowała poczucia bezpieczeństwa, stabilności i ciepła domowego ogniska. Chciała mieć pewność, że jej bliskim nic nie grozi. Pragnęła czuć u swego boku ciepło ciała Petera, o którym myślała już naprawdę jak o swoim mężu. I jeszcze – marzyła o ukochanym dzieciątku, które mogłaby trzymać w ramionach. O istotce, która będzie owocem wielkiej, czulej miłości. Chciała troszczyć się o to maleństwo, uczyć je świata, pokazywać mu urodę życia. Nie bała się pracy, nie przerażała jej wizja trudności, nieprzespanych nocy, całego tego codziennego znoju, który jest nieodłączną częścią macierzyństwa. Przeciwnie – w zadziwiającym tempie dojrzała do przekonania, że tylko takie życie ma prawdziwy sens, bo jego istota tkwi w kochaniu i dawaniu siebie innym.

Gdyby nie lękała się tak bardzo o rodziców, gdyby nie tęskniła aż do bólu serca za Peterem i nie umierała ze strachu o to, że wezmą go do wojska, zanim zdąży do niej przyjechać – mogłaby być zupełnie szczęśliwa.

*

Dziewczyna wyglądała na najwyżej szesnaście lat – była niewysoka i bardzo szczupła. Jej czarne oczy spoglądały nieufnie spod zbyt długiej grzywki. Charakterystyczne rysy aż nadto dobitnie dowodziły żydowskiego pochodzenia.

– Nie bój się – powtórzył Peter. – Nic ci tu nie grozi.

Nie doczekał się odpowiedzi. Choć próbował dotrzeć do niej od prawie dwóch godzin, nieznajoma ani nie odpowiadała, ani nie wydawała się choć trochę mniej przerażona. Ktoś ją musiał skrzywdzić, myślał Kessler. Albo była świadkiem czegoś strasznego.

– Nie jestem nazistą – spróbował ponownie. – Nie należałem nawet do Hitlerjugend. Nie zrobię ci krzywdy.

Dziewczyna rozejrzała się czujnie, jakby szukała drogi ucieczki, choć wydawało się oczywiste, że nie zdoła zrobić nawet kilkunastu kroków. Była boso, a jej stopy, czerwone i obrzmiałe, krwawiły. Na domiar złego miała na sobie jedynie koszulę nocną. Spod materiału, obrębionego przybrudzoną koronką, wystawały podrapane łydki. Peter podejrzewał, że musiała długo się błąkać po lesie i że wybiegła z domu nocą. Zapewne dlatego nie zdążyła włożyć butów ani ciepłego okrycia.

Odkąd Kessler wrócił z pracy i zajrzawszy do szopy, znalazł dziewczynę skuloną w kącie, dygoczącą tak, że aż szczękały jej

zęby, nie udało mu się wydobyć z niej ani słowa. Nie odpowiadała na pytania: ani o to, skąd przychodzi, ani o imię, ani dlaczego uciekła. Bo że uciekła, to było pewne. Tylko to jedno.

Peter, nie umiejąc inaczej pomóc nieszczęsnej nieznajomej i wzbraniając się przed użyciem siły nawet w dobrej sprawie, po prostu przyniósł do szopy pled i troskliwie okrył dziewczynę, a potem wrócił jeszcze z gorącą herbatą, do której wsypał kilka łyżeczek cukru i wlał odrobinę bimbru, przyszło mu bowiem do głowy, że to biedaczkę rozgrzeje i nieco wzmocni. Uciekinierka wypila zawartość kubka, wstrząsając się co kilka łyków. Zapewne reagowała w ten sposób na mocny alkohol, lecz nie miało to znaczenia – ważne, że po chwili przestała tak strasznie dygotać. Teraz siedziała pod ścianą szopy, opatulona pledem, i kołysała się leciutko. Ani na chwilę nie spuściła wzroku z Petera, śledziła jego każdy ruch. Wyglądała jak przyczajone zwierzątko, które spodziewa się ataku.

– Jesteś Żydówką – odezwał się znowu Peter. – Wiem, że kilka dni temu wytłuczono wam szyby w domach i sklepach. Słyszałem, że spalono synagogę w Forst. Jesteś z Forst?

Oczy dziewczyny rozszerzyły się z przerażenia. Po chwili przyłożyła okutane pledem dłonie do uszu, zakryła je szczelnie i zaczęła się kołysać, wydając z siebie dziwne dźwięki, niby jękliwy śpiew. Może się modli, pomyślał Peter.

– Rozumiesz po niemiecku? – upewnił się jeszcze, choć już się domyślał, że i tym razem odpowiedzi nie będzie.

Chciał zabrać ją do domu, dać jej jakieś ciepłe ubranie, nakarmić i położyć do łóżka, lecz zdał sobie sprawę, że chwilowo było to niemożliwe. Najpierw musiał zdobyć zaufanie uciekinierki; przekonać ją, że nic jej nie grozi.

– Przyniosę ci zupy – oznajmił po namyśle. – I ubrania po dziadku. Był ode mnie niższy. Na ciebie i tak będą za duże, ale to nic. Im więcej tego na siebie naciągniesz, tym cieplej ci będzie. A koszulę nocną zdejmij, trzeba ją spalić, bo każdy od razu pozna, że uciekasz. Butów nie mam, tylko tę jedną parę, co na sobie. Ale coś zdobędę, nie martw się. Mam kuzynkę i ciotkę w miasteczku, może znajdą jakąś starą parę trzewików, a jak nie, to na razie owiniemy ci nogi szmatami i zrobimy podeszwy z deszczulek. Nie możesz chodzić bosy. Nogi całe sobie poraniłaś... A poza tym idzie zima, podmrażasz palce i tyle z tego będzie. Dziadek opowiadał, że odmrożone to nawet odpaść mogą. Normalnie, jak sopelki z dachu je można utracić.

Trudno było stwierdzić, czy panna zrozumiała cokolwiek z tej jego gadaniny; w każdym razie już nie zatykała uszu, a nerwowe kołysanie zamieniło się w ledwo dostrzegalny, miarowy, uspokajający ruch drobnego, skulonego ciała.

Następnego ranka Peter zaniósł jej jajecznicę – wykorzystał wszystkie cztery jajka, jakie miał w spizarce (w ostatnich dniach kury słabo się nosły). Dziewczyna, ubrana w kilka warstw starych ubrań i przykryta dziadkowym kożuchem, leżała na naprędce skonstruowanym legowisku ze starych worków, dygocząc jak w febrze. Nie wyglądało na to, aby mogła cokolwiek zjeść, nie otworzyła nawet ust. Chcąc nie chcąc, Peter sam spożył posiłek, a nieznamomej jedynie zwilżył usta i zostawił obok posłania kubek wody ze szczyptą soli. Pamiętał, że tym właśnie poił go dziadek w dzieciństwie, gdy chłopcu zdarzyło się chorować.

W pracy nie mógł się na niczym skupić, wszystko leciało mu z rąk. A jeśli ona umrze pod moją nieobecność? – zastanawiał się i truchlał na samą myśl. Może właśnie teraz potrzebuje pomocy,

czołga się po zimnej posadzce, usiłując wydostać się z szopy? Czy należy powiedzieć o wszystkim panu Lehmannowi? Wezwać doktora? Albo zawiadomić policję?

Jakaś część jego duszy, ta bogobojna, pokorna i prostolinijna, skłaniała się ku takiemu rozwiązaniu. Przecież od tego jest lekarz, żeby leczył. Od tego policjant, żeby pomagał obywatelom. A jednak Peter przestał ufać obu instytucjom, opuściła go prosta, dziecinna wiara w to, że jeśli jest prawym, uczciwym człowiekiem, to nie spotka go nic złego. Nie potrafił już nawet w pełni zaufać Bogu, w którego wszak wierzył z całą mocą – bo wraz z dorosłością przyszło zrozumienie, że źli ludzie mogą czasem zniweczyć nawet boskie plany.

Dlatego zachował ostrożność. Nikogo nie powiadomił, nikomu się nie zwierzył. Skoro nieznajoma musiała uciekać, to zapewne przed jakimś prześladowcą, którego Peter nie znał. I dopóki go nie pozna, nie będzie wiedział, komu można zaufać.

Tego dnia po pracy odebrał list od ukochanej. Pomyśleć, że gdyby nie żydowska dziewczyna w szopie, właśnie bym się pakował, stwierdził gorzko w duchu. Rozrywałbym teraz drżącymi palcami kopertę, aby się dowiedzieć, czy Katrin przypadkiem nie zmieniła adresu. A moja dusza śpiewałaby z radości, że lada dzień znów ją zobaczę, wezmę w ramiona i usłyszę, że kocha mnie jak dawniej.

Jak dziwnie czasem plotą się ludzkie losy. Drobnе wydarzenie, na pozór tylko jedna z milionów cegiełek tworzących nasz świat, może zachwiać całą budowlą. Od trzech miesięcy Peter czekał na ten dzień, w którym zdobędzie paszport, by móc wyjechać z Leipe – a tymczasem teraz, ponieważ nieznajoma Żydówka wybrała sobie jego szopę na schronienie, zwyczajnie nie mógł tego

uczynić. Wiedział, że nie ruszy się z domu, dopóki nie zapewni bezpieczeństwa chorej dziewczynie.

W dodatku Katrin miała do niego prośbę: w swoim liście błagała, żeby spróbował się dowiedzieć, czy Jacob Dulke nie został aresztowany. Jeśli tak się stało, pisała, jeśli siedzi w więzieniu albo w obozie, to czy nie udałoby się go uwolnić dzięki łapówce?

Ukochany! Być może dotychczas strzelaliśmy kulą w płot. Może szukaliśmy nie tam, gdzie należało. Jeśli tata wcale nie zaginął w podróży, lecz został aresztowany, ZANIM wyjechał? Wiem, że Ty sam nie możesz tego sprawdzić, ale może Marlene albo Anna? Pamiętam, że jakiś znajomy Anny, chyba na imię mu Helmut, zamierzał wstąpić do SA. Być może nawet już to zrobił. Poproś ją o pomoc; zapytaj, czy w imię starej przyjaźni zrobiłaby to dla mnie, dowiedziałaby się, czy brunatne koszule posiadają jakieś informacje na temat zniknięcia tatki. Gdyby się okazało, że rzeczywiście aresztowano go za poglądy, to napisz mi o tym jak najprędzej, a wtedy ja przyjadę, by wybrać pieniądze z banku i wręczyć łapówkę choćby samemu Hitlerowi.

Pojawił się więc kolejny powód, by wstrzymać się z wyjazdem. Peter wiedział, że co nagle, to po diable, i że w tej sytuacji powinien działać spokojnie, rozważnie i cierpliwie. Niestety nie mógł się uspokoić. Był rozdygotany, cierpiał na bezsenność, a jeśli już zasnął, to budził się z lękiem, nie umiając pozbyć się okropnego wrażenia, że jest nieustannie obserwowany, że zza okna śledzi go czyjś przenikliwy wzrok. Modlił się w tych dniach więcej niż kiedykolwiek, znajdując pociechę jedynie w rozmowach z Bogiem i w lekturze Pisma. Choć po prawdzie nawet to nie wystarczało, by odpędzić strach.

Żydowska dziewczyna wciąż gorączkowała. Na szczęście większość ran na stopach zagoiła się na tyle, że mogła chodzić bez cierpienia – w każdym razie tak Peter wywnioskował, obserwując jej twarz, która już nie kurczyła się z bólu, gdy nieznajoma wstawiała. Nadal się nie odzywała, lecz dwa razy zdarzyło się, że podziękowała skinieniem głowy za wodę, co Kessler uznał za bardzo dobry znak.

Wkrótce poczuje się lepiej, mówił sobie w duchu, a wówczas może wyruszy w dalszą drogę, bo dokądś przecież wędrowała, miała z pewnością jakiś cel, inny niż moja szopa. Ja tymczasem spróbuję się dowiedzieć – o ile to w ogóle możliwe – czy łapówka załatwiłaby sprawę Jacoba Dulke. Jeśli tak, zaczekam na Katrin, ona przyjedzie do Sommerfeld i wypłaci pieniądze. A jeśli nie, to czym prędzej pojedę do niej. Byle wreszcie być razem. Potem wszystko się jakoś ułoży.

Starał się odpędzać myśli o tym, czego lękał się najbardziej – że nie zdąży przed poborem do wojska. Że zanim czegokolwiek się dowie albo doczeka się przyjazdu ukochanej, usłyszy na drodze tupot ciężkich butów, a potem rozlegnie się walenie do drzwi – i zwyczajnie go wezmą, nie pytając, czy to właściwy moment, czy nie rujną mu w ten sposób życia, czy nie odbierają tego, co najważniejsze.

Tymczasem jednak nie pozwalał sobie popadać w zwątpienie. Modlił się żarliwie, a potem próbował działać. Żydówkę odkarmię i odzieję, postanowił, a jeśli nie odejdzie, spróbuję wysłać w jakieś bezpieczne miejsce.

Jakie by to miało być miejsce, tego Peter już nie wiedział, ale na razie nie był w stanie się nad tym zastanawiać, bo za dużo miał na głowie innych zmartwień. Przede wszystkim – sprawa pana Dulke. Choć wcześniej wydawało mu się, że wykorzystał wszystkie

możliwe sposoby na odnalezienie ojca Katrin, teraz przyszło mu na myśl, że rzeczywiście Jacob mógł zostać aresztowany. W takim wypadku poszukiwania na dworcach kolejowych i wypytywanie konduktorów nie miały żadnego sensu. I być może dlatego wszystkie te próby nie przyniosły oczekiwanych rezultatów.

Następnego dnia po otrzymaniu listu od Katrin Peter wybrał się z wizytą do Marlene. Niestety, kuzynka albo nie mogła, albo nie chciała mu pomóc. Wydawała się nawet odrobinę urażona, że krewniak wypytuje o jej dawną przyjaciółkę; odpowiadała półśłówkami i chłopak przez moment zastanawiał się, czy ona przypadkiem czegoś nie ukrywa. Odsunął jednak od siebie tę myśl, bo przecież komuś musiał ufać – z jego pogodnym, otwartym usposobieniem po prostu niepodobna było żyć bez wiary w ludzi. Gdybym zwątpił w najbliższą rodzinę, myślał, to byłoby tak, jakbym miał pozostać sam na świecie. Muszę zachować choć odrobinę ufności.

Wprost od Marlene udał się pod dom Anny Kushner, choć nie był przekonany, czy jest w tym jakikolwiek sens. Nie znał osobiście tego jej kolegi Helmuta, o którym wspomniała Katrin w liście, ale kojarzył, jak wygląda. Był to otyły chłopak, powszechnie nie lubiany jako dziecko i często wyśmiewany przez rówieśników. Peter wiedział już wystarczająco dużo o świecie oraz systemie wartości nazistów, by zdawać sobie sprawę, że ktoś taki nie może być znaczącą osobą w hierarchii organizacji, która propagowała kult tężyzny fizycznej. I nawet jeśli Helmut przywdział brudną koszulę, z pewnością nie pełnił ważnej funkcji w SA.

Nie było jednak wyjścia – skoro Kessler nie znał nikogo innego, musiał się zwrócić właśnie do Anny. Zapukał, poprosił matkę dziewczyny, aby wywołała ją przed dom, po czym stał dość długo,

mnąc czapkę w rękach i modląc się w duchu, by ten trop okazał się wreszcie właściwym.

– Witaj, Anno – przywitał się, gdy dziewczyna, skulona jak zawsze i trwożliwie rozglądająca się na boki, wyszła do niego. – Przyszedłem, bo... Katrin wpadła na pomysł, że mógłbym poprosić cię o pomoc. W imię waszej przyjaźni.

Wydawało mu się, że odwołanie się do koleżeństwa dziewcząt będzie najwłaściwszym wstępem – nic więc dziwnego, że poczuł się zaskoczony, widząc na jej twarzy wyraźną przykrość. Czy popełniłem gafę? Może należało mówić w swoim imieniu? – pomyślał.

– O co chodzi? – zapytała Anna tonem chłodnym i oficjalnym.

– Katrin wspomniała w liście, że twój przyjaciel Helmut zamierzał wstąpić do brunatnych koszul. Stąd prośba: czy mogłabyś... A raczej on... Może mógłby sprawdzić, czy tata Katrin nie został aresztowany? Bo przecież na pewno słyszałaś co nieco o poglądach pana Dulke. Cóż, krótko mówiąc... Nie był on wielbicielem kaprała z wąsikami...

Anna drgnęła, słysząc ostatnie zdanie, po czym skuliła ramiona jeszcze bardziej, zupełnie jakby chciała zniknąć. Jej ciemne oczy były rozbiegane, wystraszone spojrzenie omiotło okna domu po drugiej stronie ulicy, choć Peter mówił tak cicho, że w tamtym budynku na pewno nie mógł być słyszany.

– Owszem, Helmut wstąpił do SA – odpowiedziała po pełnej napięcia chwili. – Ale nie sądzę, żeby... Nie. On nie pomoże.

– A... Może zna kogoś? Albo ty? Czy macie jakichś znajomych, którzy...?

– Przykro mi. Nic nie mogę zrobić w tej sprawie.

Dziewczyna odwróciła się, po czym bez słowa, nawet się nie żegnając, weszła do domu i zamknęła drzwi.

*

Rudolf Hertz przechadzał się uliczkami wokół zamku, usiłując wyglądać poważnie i dojrzałe, a przede wszystkim stłumić nachodzącą go co chwila chęć ziewania. Nie dało się jednak ukryć, że nudził się przeraźliwie. Zgłaszając się do pracy w gazecie, liczył na to, że dane mu będzie pisać ciekawe artykuły, najchętniej o niewyjaśnionych zagadkach, sprawach tajemniczych i ciągnących się w nieskończoność albo określanych przez policję mianem nierozwiązywalnych. Tymczasem *Kriminalassistent* Bucholz, do którego chłopak udał się w poszukiwaniu ciekawego tematu, zwyczajnie go wyśmiał.

– Przejdź się po mieście i popatrz na te zapijaczone gęby – żartował ponuro, lekceważąc prośby Rudiego, by opowiedział mu o jakimś dochodzeniu. – Poprzyglądaj się naszemu lokalnemu półświatkowi, nadstaw uszu. Dobry pies gończy musi często przebywać w rewirze, oswajać się ze zwierzyną. Dopiero wtedy nabiera rozeznania, uczy się odróżniać świeże tropy od starych i bezużytecznych. Może węsząc, natkniesz się na ślad jakiejś zbrodni.

Rudi zżymał się w duchu na takie porównania, ale tylko uśmiechnął się służalczo. Wiedział, że znajomości w policji mogą mu się bardzo przydać. Jako kandydat na dziennikarza musiał się wykazać, a ciekawych tematów brakowało. Finkel kazał mu pisać

o głupstwach w rodzaju pożaru, który wybuchł na ostatnim piętrze kamienicy przy Burgstrasse. Rzecz w tym, że nikt w owym pożarze nie ucierpiał, ogień natychmiast ugaszono, a przyczyną okazało się zapalenie się sadzy w kominie – więc nie bardzo było na czym zbudować artykuł.

Rudi żył teraz z dnia na dzień, starając się na nic nie czekać, nie snuć planów, nie marzyć. Zapomniał już o Katrin Dulke i nadziejach, jakie niegdyś wobec niej żywił. Rana w sercu spowodowana przez śmierć matki także przestała boleć. Ojca nie wspominał nigdy, a jeśli od czasu do czasu miewał koszmary, w których wracała do niego pamiętna lipcowa noc, nauczył się zaraz po przebudzeniu natychmiast odsuwać myśli o nich, wyzbywać się niechcianych wspomnień.

Jedynym, czego wyzbyć się nie potrafił, były uporczywe myśli o Peterze. To dlatego, że jestem samotny, mówił sobie Rudolf. Nie mam przyjaciół, nie prowadzę już oddziału pimfów, prawie z nikim się nie widuję, nie licząc oczywiście Finkela i innych pracowników redakcji, ale to nie są kontakty towarzyskie.

Myśl o tym, że mógłby odzyskać dawną przyjaźń, była kusząca. Tym bardziej że stałoby się to wbrew woli ojca. A Rudolf bardzo polubił postępowanie tak, jakby robił mu na przekór. Żywił nadzieję, że ojciec ma w swoim piekle zakratowane okno, przez które patrzy na syna.

Od śmierci starego Hertza minęło wystarczająco dużo czasu, by Rudi zdołał przeanalizować i zrozumieć własne reakcje. Pojmował już, że przez lata walczył o ojcowską miłość, lecz jakkolwiek się starał, doznawał jedynie kolejnych upokorzeń. Nie miał poczucia winy w związku z tym, co się wydarzyło w korycie rzeki – uważał, że ojcu przytrafił się nieszczęśliwy wypadek. Widział w tym jakiś

rodzaj sprawiedliwości – nie palec Boży, bo w Boga po śmierci mamy przestał wierzyć – lecz coś podobnego do chichotu losu. Złośliwego, lecz sprawiedliwego.

Tak więc jeśli jego myśli zaprzętało cokolwiek poza zaspokajaniem najprostszych życiowych potrzeb, był to Peter. Niestety Rudi nie mógł go już śledzić, nie miał czasu na to, żeby plątać się w okolicach Leipe; z kolei Kessler rzadko pojawiał się teraz w Sommerfeld, co było zrozumiałe, skoro Katrin Dulke wyjechała.

Tym większe zdumienie przeżył Rudolf pewnego listopadowego dnia, widząc przez okno znajomą twarz. Po drugiej stronie ulicy, tuż przy ratuszu, stał Peter i zerkał w stronę siedziby redakcji, wyraźnie na coś czekając.

Rudi poczuł, że serce wali mu w piersiach niby młot. Skończył właśnie przepisywać na maszynie trywialny artykuł o nowym modelu produkowanym w fabryce kapeluszy Hermanna Lamberta. Dla zasady zapytał jeszcze Finkela, czy ma dla niego jakieś zlecenia, a ponieważ nie było nic takiego, chłopak zaproponował, że skoczy do piekarni po rogaliki. Znał słabość przełożonego do świeżych wypieków i nie zawiódł się. Dziennikarz skinął głową z przyzwoleniem, więc Rudi już po kilku sekundach był na ulicy.

Tuż po wyjściu na zewnątrz zawahał się – bo przecież mogło mu się tylko wydawać, że Kessler czeka w tym miejscu celowo. Może miał coś do załatwienia w okolicy, może właściciel karczmy wysłał go na zakupy...

Ale nie. Peter wyraźnie się ucieszył na widok Rudiego, choć zarazem wydawał się zakłopotany. Nic dziwnego, przecież ostatnia ich rozmowa nie była zbyt przyjazna.

– Rudi... Zaczekaj, Rudolf.

Hertz, który zamierzał udawać, że się spieszy, zatrzymał się w pół kroku i nonszalancko odwrócił się w stronę dawnego przyjaciela.

– O, Kessler – wycedził, kryjąc prawdziwe uczucia pod warstewką sarkazmu. – Czyżbyś jednak doszedł do wniosku, że znajomość ze mną może ci się przydać?

Zaledwie wypowiedział te słowa, natychmiast ich pożałował, bo Peter zrobił minę, jakby chciał się wycofać i odejść. W jego twarzy można było czytać jak w otwartej księdze, ujawniły się bowiem na niej wszystkie uczucia: przykrość, gniew, a potem pokora i dziwna rezygnacja.

– Nie – mruknął, z wysiłkiem wykrzywając usta w parodii uśmiechu. – Nie w tym rzecz. Mam na myśli... Nie chodzi o to, że może mi się przydać...

Wyraźnie zaplątał się w tym, co zamierzał powiedzieć. Rudolf obejrzał się niespokojnie na okna redakcji.

– Chodź ze mną – rzucił cicho. – Idę do piekarni. Mojego szefa mniej interesują inteligentne artykuły niż świeże rogaliki.

Peter parsknął śmiechem, a Rudi przez kilka sekund czuł się tak, jakby ktoś cofnął czas – jakby znów stali się beztroskimi chłopcami, łobuziakami w krótkich spodenkach, toczącymi po ulicach fajerki albo szukającymi na liściach łopianu ślimaków, żeby urządzać im wyścigi.

Ruszyli w stronę Breite Strasse, gdzie znajdowała się piekarnia Ottona Bratge. Hertz usiłował uciszyć emocje, które z niezrozumiałych powodów buzowały w jego sercu.

– Wiem, że kochałeś się w Katrin – odezwał się nagle Peter. – I dlatego byłem dla ciebie nieprzyjemny. Z zazdrości. Ale teraz to już nieważne.

Rudi milczał, a serce rozkołysało mu się w piersi niby dzwon. No jasne, dziewczyna musiała opowiedzieć Kesslerowi o tamtym zdarzeniu nad rzeką. O tej jego nieporadnej prośbie, by ze sobą „chodzili”. Jakim cudem nie przyszło mu to wcześniej do głowy? A więc dlatego Peter traktował go tak oschle. Ale teraz Katrin Dulke wyjechała. „To już nieważne” – czy nie tak brzmiały jego słowa? Czyli zauroczenie minęło. To już nieważne! Tamtego już nie ma!

– Potem żałowałem – dodał Peter, po czym zaczerwienił się gwałtownie. – A teraz... Teraz mam do ciebie...

– Zaczekaj – przerwał mu łagodnie Rudolf. – Muszę kupić te cholerne rogaliki.

– Tak. Przepraszam.

Hertz wszedł do sklepu. Płacąc za słodkości, spojrzął przez szybę na stojącego na zewnątrz Petera i nabrał głęboko powietrza, jak przed skokiem do wody. Czuł się dziwnie: jakby w jego życiu działo się coś odświętnego, uroczystego, od czego człowiekowi dech zapiera w piersiach i szklą się oczy. Wreszcie wyszedł z piekarni. Kessler stał na chodniku z rękami w kieszeniach.

– Może spotkamy się po południu? – zaproponował Rudi spontanicznie. – Teraz muszę wracać do redakcji, ale po czwartej będę w domu. Pamiętasz, gdzie mieszkam?

Na twarzy Petera odbiło się zdumienie.

– Nie mam już ojca, który zabraniałby mi przyjaźnić się z tobą – wyjaśnił Rudi, ścisząc głos niemal do szeptu. – Przepraszam, że przez te wszystkie lata udawałem, że cię nie znam. Wiem przecież, że zawdzięczam ci życie.

Kessler niedbale machnął ręką. Widać było, że jest okropnie zakłopotany.

– Nie, nie – zaproponował. – To za dużo powiedziane. Po prostu się głupio bawiliśmy...

– I niemal utonąłem! – Rudi wszedł mu w słowo, a jego stanowczy ton sprawił, że tamten umilkł. – Gdyby nie ty, teraz zostałaby ze mnie kupka kosteczek w cmentarnej ziemi. Taka jest prawda. Zaś drugą prawdą jest to, że mój ojciec sukinsyn zabronił mi się z tobą przyjaźnić, a ja, idiota, byłem mu posłuszny.

Peter milczał przez chwilę, porażony ostrymi słowami, jakie padły, ale już po chwili roześmiał się z widoczną ulgą.

– Lata całe wracałem myślami do tamtego wydarzenia – przyznał. – Domyślałem się, że tata zakazał ci zabaw ze mną. To nawet zrozumiałe, w końcu przeze mnie omal nie stracił syna.

– Nie przez ciebie. – Rudi potrząsnął głową. – Nie ty wymyśliłeś te głupie zawody. A poza tym... Jemu chodziło raczej o twoją religię. O ten wasz upór, żeby nie brać karabinu do ręki...

Urwał, niepewny, jak Peter zareaguje na to określenie. Nie chciał zepsuć porozumienia, jakie się między nimi pojawiło – zerwać tej zawiązanej na nowo nitki sympatii, słabiutkiej jeszcze jak smużka babiego lata. Ku jego uldze Kessler pokiwał głową.

– Tak, już przywykłem, że takim jak wy może się to nie podobać.

– „Takim jak my”? – powtórzył ostrożnie Rudi, niepewny, czy to nie była obelga.

– Mam na myśli całą resztę świata, nie tylko ciebie i twojego ojca. Przyzwyczailem się, że ludzie postrzegają to jako dziwactwo, wygodnictwo albo zwyczajną głupotę. Nazywaj to, jak chcesz.

Rudolf spojrział na niego z namysłem i przemknęła mu przez głowę myśl, że ojciec bardzo się mylił, nazywając postawę Petera tchórzostwem. W rzeczywistości trwanie przy takich niepopularnych obecnie przekonaniach wymagało zdecydowanie większej odwagi niż wymachiwanie bronią.

– To jak? Odwiedzisz mnie? – zapytał, bo zatrzymali się właśnie obok domu towarowego Ericha Niemera, tuż przy wejściu do redakcji. – Chyba mamy sporo do nadrobienia.

– Chętnie, Rudi – brzmiała odpowiedź. – Ale nie dziś, bo do wieczora pracuję. Jestem w Sommerfeld przejazdem, miałem dostarczyć sukienki pani Lehmann do przeróbki – wyjaśnił Peter. – Co powiesz na sobotę?

– Tak, oczywiście. Zapraszam. Po czwartej, pamiętaj.

Tej nocy Rudolf spał doskonale i miał piękne sny o dzieciństwie – może dlatego, że w tym śnie nie było ojca. Były za to łąka pełna kwiatów, ciepła woda w rzece i brązowe kędziory Petera, z którymi igrał wiatr.

*

Dziewczyna stęknęła głucho, jej twarz spięła się w bolesnym skurczu, a zaraz potem na słomę bryzgnęły cuchnące odchody.

– Przepraszam – bąknęła i zamknęła oczy.

Peter czuł się strasznie skrępowany – wcale nie tym, że musi wygarniać zapaskudzoną podściółkę, i nawet nie widokiem chudziutkich pośladków, lecz przejmującym, wręcz bolesnym wstydem chorej.

– Nie musisz przeproszać – powiedział. – Dziś ty niedomagasz, jutro może to spotkać mnie. Kto wie, może wtedy właśnie ty będziesz mi pomagała i wynosiła po mnie brudy. Zresztą to moja wina. Gdybym pomyślał, że przecież od dawna nie jadłaś, nie przyniosłbym ci tłustej kapusty. Należało zacząć od suchego chleba i wody. Dziadek zawsze dawał mi do pogryzania suchy chleb, gdy mnie bolał brzuch. Głupiec ze mnie.

Dziewczyna spojrzała na niego z wdzięcznością, po czym znów nakryła oczy powiekami o niezwykle długich rzęsach. Miała piękną twarz i jeszcze piękniejsze włosy: czarne, lśniące, gęste, wijące się w długich puklach. Przedstawiła się jako Ewa Zucker; miała dziewiętnaście lat, choć wyglądała na znacznie mniej. Była Żydówką z pochodzenia, lecz nie wyznania, bo jej rodzice nie wierzyli w Boga i nie obchodzili żadnych świąt. Twierdziła, że pochodzi z Berlina, Peter jednak z trudem uwierzył w to, że

dałaby radę przebyć taki szmat drogi po owej strasznej nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada. Pytana o szczegóły tamtego wydarzenia, potrząsała głową i zatykała sobie uszy dłońmi. Po kilku dniach wprawdzie zaczęła mówić, lecz jej relacja była porwana na strzępy. Wyglądało na to, że niektóre detale wyrzuciła z pamięci. Pamiętała pożar kamienicy i to, że w środku została mama z dwuletnim braciszkiem. Że przyjechała straż pożarna, ale gasiła tylko sąsiednie budynki, w których mieszkali Niemcy. Tata krzychał, żeby mama skoczyła z drugiej kondygnacji, bo parter i pierwsze piętro już płonęły, ale ona nie miała odwagi i tylko skowyczała ze strachu jak przerażone zwierzę, a w końcu wyrzuciła przez okno dziecko. Ojciec nie zdołał go złapać. Podnosząc z chodnika ciało chłopca z roztrzaskaną główką, malutkiego Eliasza, sam zaczął wyć. Opętańczo, nieludzko. Wtedy przyszedł jeden z niemieckich policjantów i go zastrzelił. Ewa uciekła.

Nie umiała wyjaśnić Peterowi nic więcej.

– Uciekałam całą noc – powtarzała. – Oni mnie podwieźli wozem.

– Jacy oni? – zapytał, ale znów zatkała uszy dłońmi.

Na koszuli nocnej, którą spalił w piecu, znalazł sztywne ślady zaschniętej krwi oraz czegoś żółtawego, dużej ilości tego czegoś; Peter miał dziwną pewność, że jest to nasienie i że Ewa musiała być gwałcona wiele razy.

Początkowo drżała ze strachu, gdy się zbliżał, nawet jeśli niósł jedzenie albo kubek z herbatą. Dygotała i pojękiwała także przez sen. Na szczęście wkrótce to się zmieniło. Z biegiem dni zaufała mu, oswoiła się niczym psiak, który mimo doznanych krzywd na nowo zaczyna wierzyć, że ludzie mogą być dobrzy. Po kilku dobach przestała gorączkować, a ropiejące rany na nogach poczęły się

goić. Nie dawała się namówić na przenosiny do domu, ale przynajmniej zaczęła rozmawiać i jeść. I właśnie po pierwszym obfitym posiłku – przyniesionej z karczmy tłustej kapuście na wędzonce – dostała tak strasznej i bolesnej biegunki, że nie dawała rady nawet przykucnąć nad wiadrem, po prostu załatwiała się pod siebie. Tyle dobrego, że zdążyła zdjąć spodnie po dziadku – bo Peter nie miał więcej ubrań, a o tej porze roku pranie schło bardzo długo.

Na szczęście do soboty wydobrzała, bo gdyby nie to, Kessler musiałby zrezygnować z odwiedzin u Rudiego, a tego nie chciał. Bardzo liczył na tę wizytę – na to, że uda mu się poprosić dawnego przyjaciela, by powęszył w sprawie ewentualnego aresztowania Jacoba Dulke.

Dzięki Bogu Ewa już w piątek czuła się całkiem dobrze. Trudne chwile wymuszonej bliskości fizycznej sprawiły, że między nią a Peterem wytworzyła się swego rodzaju więź. Wreszcie dziewczyna dała się przekonać, że w domu będzie jej cieplej, a tam szybko poczuła się niemal jak u siebie. Kiedy w piątkowy wieczór Kessler wrócił z karczmy, pokoje i kuchnia były wysprzątane, a na stole czekał na niego talerz gęstej zupy ziemniaczanej.

– Dziękuję, ale... Wolałbym, żebyś nie gotowała – wytłumaczył, choć oczywiście zjadł wszystko i pogłaskał się po brzuchu, aby Ewie nie było przykro. – Jadam w karczmie, w której pracuję, i zwykle zabieram ze sobą jakieś resztki. Dziś akurat nic nie przyniosłem, bo wiedziałem, że mamy jeszcze z wczoraj...

– Chciałam ugotować coś dla ciebie – odparła, patrząc mu w oczy tak intensywnie, że aż się zaczerwienił. – Wszystko bym dla ciebie zrobiła, co tylko byś zechciał. Wszystko.

Powoli sięgnęła do szyi i rozpięła guziczek koszuli, po czym rozchyliła ją, ukazując wystające obojczyki. Kessler odwrócił wzrok, skrepowany. Doskonale wiedział, że przez dziewczynę przemawia wdzięczność za uratowanie życia i może też zwykła sympatia, a zresztą niechby nawet się w nim podkochiwała – to nie miało dla niego znaczenia. Nie mogło mieć, skoro kochał Katrin i przysiągł jej wierność tu, w tym pokoju, trzymając rękę na Biblii.

– Posłuchaj mnie, Ewo – rzekł najłagodniej, jak umiał. – Nie powinnaś gotować, ponieważ ktoś może zobaczyć dym z komina. Tu we wsi wszyscy wiedzą, że mieszkam sam i kiedy jestem w karczmie, dom stoi pusty, nie ma kto rozpaścić w westfalce... Myślę, że lepiej będzie, jeśli nikt się nie dowie, że...

Słowa „ukrywam Żydówkę” nie przeszły mu przez gardło, ponieważ czuł, że mogłyby być upokarzające dla Ewy. „Ukrywam”. Tak jakby była złoczyńcą uciekającym przed policją. Jakby popełniła zbrodnię poprzez sam fakt urodzenia się w rodzinie o żydowskich korzeniach i posiadania semickiej urody.

Zresztą nie musiał tego mówić. W jej oczach pojawiło się przerażenie. Najwyraźniej nie pomyślała o tym, że gotując kartoflanę, ściąga niebezpieczeństwo i na siebie, i na niego. Wychowana w wielkim mieście, nigdy nie patrzyła na kominy sąsiednich budynków, nie przyszło jej nawet do głowy, że tutaj wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich.

– Mógłbyś powiedzieć, że odwiedziła cię narzeczona – bąknęła nieśmiało po chwili niezręcznego milczenia. – Mam na myśli... Gdyby ktoś rzeczywiście zobaczył dym. Mógłbyś skłamać.

– Mógłbym – przyznał Peter ostrożnie. – Rzecz w tym, że mam już narzeczoną. Właściwie to nawet... mam żonę. Tyle że nie

powiedzieliśmy nikomu o naszym ślubie. Ale sąsiedzi ją widzieli i zapamiętali.

Ewa pobladła. Przysiadła na krześle i drżącymi palcami zapięła kołnierzyk koszuli.

– Przepraszam – szepnęła. – Musiałeś się poczuć okropnie zażenowany, kiedy ja...

– Nie, nie poczułem się zażenowany. Czasem wdzięczność jest tak wielka, że człowiek zupełnie nie wie, jak się zachować.

Nie odpowiedziała, pokiwała tylko głową, a on jeszcze raz podziękował za supę i poszedł na podwórko, by opłukać się przed snem. Nie chciał tego robić przy niej. Między nim a Ewą musiał na nowo wytworzyć się dawny dystans. Peter uznał, że tak będzie lepiej.

W sobotę tuż po obiedzie wybrał się do Sommerfeld. Choć starał się żyć bardzo oszczędnie, wstąpił do cukierni i kupił dwa kawałki placka z jabłkami, uznając, że nie wypada odwiedzić Rudiego z pustymi rękoma.

Hertz wydawał się odrobinę stremowany. Wyglądało na to, że niecierpliwie czekał na gościa, bo na stole stały już przygotowane kieliszki i butelka wina, jakiś ozdobiony finezyjnymi gwiazdkami z maślanego kremu biszkopt, a także kruche ciastka z oczkiem konfitury wiśniowej. Peter poczuł się idiotycznie ze swoimi dwoma kawałkami placka, lecz ku jego zaskoczeniu zostały one przyjęte z radością. Po chwili skrępowanie minęło, a przy pierwszym kieliszku wina obaj tak się rozluźnili, że rozmowa potoczyła się gładko.

Najpierw ze śmiechem wspominali dawne czasy, dzieciństwo i bez troskie zabawy, potem Rudolf krótko streścił Peterowi pozostałe lata, spędzone w szeregach Hitlerjugend.

– Cokolwiek robiłem, nigdy nie byłem dość dobry – podsumował gorzko.

– Ale... postępowałeś zgodnie ze swymi przekonaniem? – zapytał ostrożnie Peter. Serce zabiło mu mocniej na myśl o tym, że Rudi może się okazać nieoczekiwanym sprzymierzeńcem. – Czy raczej wstąpiłeś do organizacji z musu?

– Nie, no oczywiście, że zgodnie z przekonaniem! – zawołał żarliwie Rudolf, a wąły płomyk nadziei w sercu Kesslera zgasł niczym zdmuchnięty nagłym przeciągiem. – Czy jest w Niemczech ktoś, kto nie dostrzega tej dobrej zmiany, która zaszła i wciąż zachodzi na naszych oczach?! Wystarczy posłuchać radia, by zrozumieć ogrom postępu, jaki się dokonał w naszym kraju! Chyba nie chcesz powiedzieć, że nie wierzysz w narodowy socjalizm!

Peter przezornie wstrzymał się od odpowiedzi; zresztą, jak się zaraz okazało, było to pytanie retoryczne.

– Niemcy znów są wielkim krajem, wielkim narodem! – mówił z zapalem Rudi, a oczy mu płonęły. – Dość już tych upokorzeń, dość traktowania nas jak ludzi gorszego gatunku! Pora wstać z kolan i pozbyć się wstydu! Przegraliśmy wielką wojnę nie militarnie, lecz politycznie, przyjacielu! Dzięki Führerowi odzyskaliśmy swoją godność. Przecież nawet ty, z tymi twoimi wierzeniami, z twoją prostą, dosłowną religijnością, musisz to przyznać!

Wypił już drugi kieliszek wina i najwyraźniej alkohol nieco uderzył mu do głowy, czego dowodziły ogromne rumieńce. Perorował w zapamiętaniu:

– Pamiętam taki *Heimatabend*, na którym rozmawialiśmy o duszy niemieckiej... Wszystko wtedy zrozumiałem, wszystko stało się logiczne. Dusza człowieka należy do duszy *volku*, jest

częścią narodu. Kształtuje ją krajobraz, w jakim ów naród żyje. To dlatego Żydzi są tacy płytki, z tymi swoimi jałowymi umysłami, nie ma w nich głębi... Są chciwi i skupieni jedynie na zysku. Widać to nawet w ich wyglądzie, w tych obrzydliwych twarzach, łakomych ustach, haczykowatych nosach. Pomyśl, jak inaczej miałby się rozwinąć naród pochodzący z pustyni arabskich?! My zaś na odwrót, jako że pochodzimy z wilgotnych, zielonych lasów Pragermanii, tęsknimy za słońcem, kochamy je, stąd też słońce w naszych duszach. Jesteśmy *Lichtmenschen*, ludźmi światła!

Peter zadrżał, zrozumiał, że dawny przyjaciel naprawdę wierzy w to, co mówi. Że jest opętany ideologią, która każe dzielić ludzi na lepszych i gorszych, w dodatku nie ze względu na ich czyny, lecz pochodzenie. I choć te hasła nie były dla niego żadną nowością, pierwszy raz zetknął się z kimś, kto rozprawiał o wyższości rasy nordyckiej z taką zapalczywością, z takim ogniem w oczach.

– Wielka szkoda, że wokół nas wciąż są tacy, którzy nie dbają o czystość krwi – dokończył Rudi, dolewając jeszcze trunku do obu kieliszków, choć Peter nadal nie opróżnił swojego. – Dobrze przynajmniej, że zakazano już małżeństw mieszanych. Pomyśl tylko, na jak wspaniałej drodze znajduje się obecnie nasz naród. W całych Niemczech pozbyliśmy się już prawie całkowicie Żydów. Oczywiście to, do czego doszło podczas *Kristallnacht*, było może lekką przesadą, ale...

Peter pierwszy raz słyszał to określenie: „noc kryształowa”. W duchu zatrzęsł się z oburzenia. Jak wygodnie było nadać taką ładną, kojarzącą się z czymś czystym nazwę bestialstwu, o którym opowiadała Ewa: podpalaniu żydowskich mieszkań, tłuczeniu szyb, katowaniu, zabijaniu i gwałceniu. Jakże łatwo i kojąco dla niemieckiego sumienia.

– Albo inne rasy, ci nieszczęśni Słowianie – podjął Rudolf. – Choćby ta twoja panna, ta Dulke. Z wyglądu idealna Aryjka, wcale się nie dziwię, że dałeś się zwieść tym niebieskim oczętom, zresztą i ja początkowo... – urwał. – Ale to skundlona rodzina. Pomyśl tylko, taka dobra niemiecka krew zmarnowana. Dobrze, że wyjechała.

Kesslera nagle olśniło. To mogła być szansa na załatwienie sprawy, z którą tu przyszedł. A potem będzie mógł wyjść i zapomnieć o tej wizycie; o tym, że naiwnie sądził, jakoby odnowienie przyjaźni z Rudim Hertzem było możliwe.

– Skoro mowa o dobrej niemieckiej krwi – przerwał z udawanym ożywieniem. – Jacob Dulke, ojciec Katrin...

– Tak, wiem, słyszałem, że o niego pytałeś – wszedł mu w słowo Rudi, połknąwszy przynętę. – Byłem na policji, szukałem tematu na artykuł i przy okazji pociągnąłem za sznurki. *Kriminalassistent* Bucholz twierdzi, że szukać tego Dulke nie ma sensu, bo facet po prostu zerwał się z łańcucha. Może miał dosyć życia z takim obciążeniem. W końcu słowiańska żona w dzisiejszych czasach to parszywa sprawa. Lata temu popełnił błąd, a smród ciągnie się za nim do teraz, no nie? Podobno sprzedał dom, zgarnął pieniądze i pojechał szukać lepszego losu gdzieś w zachodnich Niemczech.

Peter przygryzł wargi. Wytrzymaj, nie wolno ci wybuchnąć, powtarzał sobie w duchu.

– A jeśli się mylisz? Krążą plotki, że został aresztowany.

Rudolf wyprostował się, odchylił głowę i uważnie spojrział na Petera, mrużąc oczy. Nie wydawał się już podchmielony, jak zaledwie kilka minut wcześniej.

– Takie pogłoski słyszałem w karczmie – dodał szybko Peter, zaciskając pięści, aby drżenie rąk nie zdradziło jego emocji. –

Ludzie gadają. Szkoda by było... W końcu sam powiedziałaś, że to dobra krew, czysty Niemiec od kilku pokoleń. Wedle mojej wiedzy Dulke nie prowadził żadnej podejrzanej działalności. Ot, zwykły pracownik cegielni.

– Jeśli został aresztowany, to widocznie nie taki zwykły.

– A został?

– Nie mam pojęcia. Ale spróbuję się dowiedzieć. Ma się pewne znajomości.

Peter skinął głową, ze wszystkich sił starając się zachować obojętność i wyglądać na znudzonego. Nie mógł pokazać, że jakoś szczególnie interesuje się tą sprawą, bo to mogłoby przynieść rezultat odwrotny do zamierzonego. Dopił wino i postanowił przez resztę wieczoru udawać radosnego i szczerze oddanego idei narodowego socjalizmu obywatela Rzeszy.

*

Urszula Dulke zmarła na początku grudnia, w dniu wspomnienia Świętej Barbary, otaczanej przez babcię Cilę, jako Kaszubkę, szczególną czcią.

– Święta Barbara ma w swej opiece rybaków – oznajmiła babcia. – A że połowa twojej rodziny to kaszubscy rybacy, więc pójdziemy na nabożeństwo, czy ci się to podoba, czy nie.

Katrin się to nie podobało; nie chciała zostawiać mamy samej, lecz nawet dziadek, choć ledwie chodził, cierpiąc przez obrzęk stawów, wybrał się do kościoła. Właśnie dlatego Urszula została na dwie godziny bez opieki – i dlatego umarła po cichutku, nie pożegnawszy się z nikim.

Katrin wiedziała, że to niemożliwe, aby śmierć nastąpiła pod wpływem emocji, a jednak nie dało się ukryć, że stan chorej pogorszył się gwałtownie po tym, jak przeczytała list od Petera, który jej córka nieopatrznie zostawiła na stole.

Ukochana!

Kreślę te kilka słów w pośpiechu, żeby zanieść list do Kubeinów jeszcze przed pracą. Miałem napisać wczoraj, ale późno wróciłem, bo wybrałem się do Rudiego Hertza z zapytaniem o nowiny. On teraz pracuje w „Sommerfelder Tageblatt”, pisze artykuły, trochę węszy tu i tam, uznałem więc, że aby dowiedzieć się czegoś

o ewentualnym aresztowaniu Twego ojca, nie zawadzi odnowić z nim znajomość. Nie było to łatwe i kosztowało mnie sporo nerwów, bo musiałem schować dumę do kieszeni, znosić przytyki wobec mojej „naiwnej i dosłownej religijności”, a co najgorsze – udawać, że interesują mnie jego fascynacje polityczne. Na szczęście zdzierżyłem. Czego się nie robi, by osiągnąć cel, prawda?

Dążąc więc do osiągnięcia rzeczzonego celu, spędziłem z Rudolfem kilka wieczorów zakrapianych winem, aż wreszcie wczoraj miał dla mnie wieści – otóż jest absolutnie przekonany, że Twój ojciec nie figuruje w rejestrach osób aresztowanych, nie był także przesłuchiwany w ostatnim czasie. Rudi sobie tylko znanym sposobem dotarł do archiwów i sprawdził dokumenty na kilka miesięcy wstecz, aż do lipca, a przecież wtedy jeszcze mieszkałaś w Sommerfeld i Twój tata był z Wami.

Rudolf przychyła się do idiotycznego przekonania owego policjanta, Bucholza, że ojciec Twój po prostu wziął część pieniędzy ze sprzedaży domu i uciekł, by zacząć nowe życie z dala od swej słowiańskiej żony i córki. Resztę pieniędzy pozostawił Wam na koncie bankowym, by zagłuszyć wyrzuty sumienia.

Taki pogląd jest całkowicie zgodny z przekonaniem o wyższości rasy nordyckiej nad Słowianami, bo Rudi zapewne tak by właśnie postąpił, mając żonę Polkę. Nie jest to zły człowiek, tylko opętany ideologią nazistowską i pełen szczerzej wiary w to, że przynależy do lepszej części ludzkości, a ze Słowian i Żydów powinno się uczynić niewolników lub się ich pozbyć.

Nie muszę Ci chyba tłumaczyć, z jaką ulgą zakończę tę znajomość. Lada dzień wyjadę stąd i nigdy więcej nie będę musiał udawać, że znów darzę go przyjaźnią. Najważniejsze, że udało się uzyskać dobre wieści: skoro Twój ojciec nie został aresztowany i skoro w okolicy nikt nie słyszał o jakimkolwiek wypadku na

trasie jego przejazdu, to jest szansa, że z jakiegoś powodu błąka się, próbując do Was dotrzeć. Musimy mieć nadzieję, że wreszcie się odnajdzie.

Muszę kończyć, Ukochana, jeśli chcę pchnąć ten list jeszcze dziś. Czekaj na mnie, niedługo do Ciebie przyjadę. Mam do załatwienia jeszcze tylko jedną sprawę, ostatnią. Proszę, nie trać wiary. Kochaj mnie choć w połowie tak mocno, jak ja kocham Ciebie.

Twój mąż

Katrin doskonale rozumiała, że Peter przytoczył przypuszczenie Rudolfa wyłącznie po to, żeby podkreślić, jak bardzo jest ono absurdalne. Każdy, kto choć odrobinę znał Jacoba, musiał wiedzieć, że Dulke nigdy nie opuściłby żony i córki, a gdyby musiał to zrobić dla ich dobra, na przykład aby je chronić (bo i taką ewentualność Katrin brała pod uwagę), uczyniłby wszystko, by w jakiś sposób przekazać im wiadomość, że je kocha, że o nich myśli, że ich nie porzucił.

Niestety, nękany rozpaczą umysł jej matki nie funkcjonował tak jasno, jak dawniej. Urszula straciła wiarę, dlatego przeczytane w liście okrutne zdania padły na podatny grunt. Poczuli się niepotrzebna, niekochana, opuszczona; uwierzyła, że stanowi przeszkodę, obciążenie, skazę na niemieckim honorze Jacoba; że nawet dla Katrin lepiej będzie, jeśli ona umrze, bo przecież polska matka w dzisiejszych czasach to tylko problem, a już zwłaszcza chora polska matka.

Umarła we śnie i to była z jednej strony dobra wiadomość; przynajmniej nie bała się w chwili śmierci – tak sobie tłumaczyła jej zapłakana, przerażona córka. Ale wszystko inne było złe: to, że nie zdążyły się pożegnać, i to, że Katrin nie miała odwagi, by powiedzieć mamie o ciąży. A teraz już było za późno. Na wszystko

zrobiło się nagle za późno – na wyjazd za granicę, na wspólną radość z nowego członka rodziny, na pytania, które dziewczyna chciała zadać mamie: o to, czy te delikatne muśnięcia, które odczuwa w podbrzuszu, to naprawdę ruchy maleństwa, czy ciężko jej będzie z brzuchem wielkim niby dynia i skąd będzie wiedziała, że zaczyna się poród. I czy to bardzo boli. Czy ona wytrzyma.

Teraz do takich rozmów została jej tylko babcia Cila, lecz Katrin zbyt rzadko bywała wcześniej w Danzig, by naprawdę się z nią zżyć i umieć swobodnie pytać o kobiece sprawy. Dlatego nie zdobyła się na rozmowę; nie przyznała się nawet, że jest w odmiennym stanie – uznała, że czas załatwi za nią ten problem. Przecież lada dzień powiększającego się brzucha nie będzie już można ukryć. Tymczasem pogrążyła się w ciszy, która wypełniła dom po pogrzebie matki. Starła się nie płakać zbyt dużo, bo nie była pewna, czy nie zaszkodzi to dziecku, lecz zarazem nie mogła powstrzymać łez, gdy myślała o rodzicach albo o ukochanym. Czyli niemal nieustannie.

Mieszkając w obcym sobie mieście, Katrin czuła się okropnie samotna, bała się przyszłości i traciła wiarę w to, że ojciec kiedykolwiek się odnajdzie, a jedynym jasnym punktem, jaki widziała przed sobą, była miłość Petera. Jego listy czytała tyle razy, że każde zdanie z nich znała na pamięć. Zamykała oczy i wyobrażała sobie sceny, o których pisał – to, jak wraca do Leipe od Rudiego, zapewne szosą, na rowerze, bo przecież o tej porze roku jest za zimno, za mokro, aby wędrować przez las. Odprowadza rower do karczmy, a potem idzie do domu. Jest późno, ciemno i cicho, a Peter czuje się jeszcze bardziej samotny niż ona, ponieważ otacza go pustka. Pewnie od razu rozpala w piecu, bo gdy człowiek jest sam, bardziej marznie. Co robi później? Myje się nad miednicą? Gotuje sobie wodę na herbatę?

Posiła się jedzeniem przyniesionym z karczmy? Czy przed snem czyta jedną z książek, które Katrin zostawiła u niego na przechowanie? Na przykład poezje Rilkego? A może modli się lub studiuje Pismo Święte, tę starą Biblię, najważniejszą z jego pamiątek rodzinnych?

Myśli o Peterze sprawiały, że dziewczyna nie traciła nadziei na lepsze jutro. Czekala na niego o każdej porze dnia i nocy, wyobrażając sobie, jaka to będzie radość, gdy w końcu przyjedzie. Tymczasem jednak mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem – a jego nie było.

*

Rudolf kątem oka obserwował zwalistą sylwetkę Helmuta Stiemana, który przechadzał się po peronie wzdłuż budynku dworca kolejowego, puszczając się jak paw w swoim brunatnym mundurze. Było w tym chłopaku coś, co sprawiało, że nie dało się go lubić, a już na pewno nie można było mu ufać. Miał jakiś rodzaj przebiegłości w spojrzeniu, jakby nieustannie kalkulował. W każdym razie tak postrzegał go Rudi.

Stieman nie miał tu właściwie nic do roboty, lecz lubił pojawiać się ni stąd, ni zowąd w różnych punktach miasta tylko po to, by obserwować niepokój na twarzach przechodniów. Bo rzeczywiście samym swoim pojawieniem się budził lęk, i to nawet w ludziach, którzy mogli się poszczycić zupełnie czystym sumieniem.

Rudi też nie miał nic do roboty na stacji. Generalnie nie otrzymywał wielu zadań – Finkel nadal przydzielał mu jedynie błahe tematy, które dało się opisać zaledwie w kilku lakonicznych zdaniach. Uroczystość patriotyczna pod obeliskiem przy Friesenhohe, rozbudowa browaru Müllera, otwarcie fabryki tektury w Hoh-Jeser... Same drobiazgi, żadnej sensacji. Od tamtego pamiętnego lipcowego dnia, kiedy w korycie Lubst znaleziono ciało starego Hertza, w Sommerfeld nie wydarzyło się nic szczególnego, oczywiście poza drobnymi kradzieżami czy bójkami wyrostków.

I poza zaginięciem pana Dulke, dopowiedział sobie w duchu Rudolf. Właśnie ta sprawa przywiodła go tutaj, na stację kolejową. Oficjalnie nie prowadzono śledztwa, lecz Rudi postanowił trochę powęszyć na własną rękę. Za wszelką cenę chciał zaimponować Peterowi, pokazać mu, że coś potrafi. I może jeszcze – pragnął, aby tamten był mu wdzięczny. Żeby dziękował, uścisnął go, objął...
Ale przede wszystkim – żeby podziwiał.

Zawiadowca stacji nie potrafił nic powiedzieć o Jacobie Dulke, podobnie jak pozostali pracownicy, którzy sprawdzali stan torów i stukali jakimiś młotkami w całe to żelastwo, z którego zbudowane były wagony. Rudi nie miał zmysłu technicznego, nie interesowało go, w co właściwie stukają i o czym świadczą takie, a nie inne odgłosy. Pytania, które zadawał kolejarzom, były zgoła innej natury. Na przykład: czy pasażerowie mogą w czasie jazdy otwierać drzwi pociągu? Czy to technicznie możliwe? A skoro tak – to czy obsługa składu, jadącego na przykład do Berlina, zauważyłaby, gdyby coś takiego się stało? Lub gdyby ktoś wypadł przez takie otwarte drzwi? Co by się wówczas wydarzyło? Zsunąłby się po nasypie, czyż nie? Czy maszynista kierujący kolejną lokomotywą miałby szansę dostrzec leżące ciało? Odpowiedź brzmiała: nie, raczej nie miałby szans, gdyż nasypy porośnięte są gęstą roślinnością.

Ciekawe, ciekawe... Rudi wysnuł swoją teorię, którą na razie z nikim się nie podzielił. Nie do końca wierzył w plotki, że Jacob Dulke po prostu wziął pieniądze i wyjechał na zachód, by tam zacząć lepsze życie, oczywiście bez żony Polki u boku. Naturalnie w teorii było to nie tylko możliwe, ale nawet całkiem realne, bo po pierwsze, jak świat światem mężczyźni porzucali żony, odchodzili do młodszych i ładniejszych albo po prostu wybierali wolność; po

drugie zaś, związek z Polką stanowił przeszkodę w rozwoju ewentualnej kariery. Rudi słyszał już o kilku takich przypadkach, gdy mieszane małżeństwa unieważniano sądownie.

A jednak tym razem nie mogło o to chodzić, w każdym razie nie na to nie wskazywało. Całkiem niedawno Rudolf natknął się na tę natrętną koleżankę Katrin, wyfiokowaną i skropioną perfumami aż do mdłości Marlene Wiemann, której szczerze nie znosił, lecz której gadulstwo w tym wypadku okazało się przydatne.

– Och, każdy się chyba domyślał, że pan Dulke nie był dobrym Niemcem – trajkotała, trzepocząc rzęsami i wypinając biust. – Nie miałam dowodów, bo gdybym miała, to na pewno bym doniosła. Ale podejrzewam, że gromadził zakazane książki i czasopisma. Więc moim zdaniem, choć oczywiście mogą się mylić... on mógł być nawet komunistą! Może wstąpił do jakiegoś związku nihilistycznego czy anarchistycznego... Czy jak to się tam nazywa! I teraz siedzi biedak w jakimś więzieniu, bo jak się ktoś wpakuje w taką działalność, to przecież prędzej czy później napyta sobie biedy...

Urwała, spoglądając na niego zalotnie.

– Więc uważasz, że nie odszedłby od żony? – upewnił się Rudi. – Dobrze znałaś ich rodzinę?

– Och, traktowali mnie niemal jak córkę! Jestem przekonana, że Jacob Dulke nigdy nie porzuciłby ani pani Urszuli, ani Katrin! I wiesz co? Jeśli wplątał się w jakąś organizację antypaństwową, to z pewnością za ich wiedzą i zgodą.

W jej spojrzeniu błysnął teraz jakiś zimny płomień. Rudi odwrócił wzrok. Jeśli dotychczas nie znosił Marlene, to jak nazwać to, co czuł teraz? Wstręt? Pogarda? Z jednej strony twierdzi, że państwo Dulke traktowali ją jak córkę, a z drugiej przyznaje, że doniosłaby na nich, gdyby tylko miała dowody... A teraz jeszcze

próbuję rzucić cień podejrzania na swoją przyjaciółkę. Co za paskudne dziewczynisko! W głębi duszy Rudolf solennie postanowił sobie, że będzie unikał jej jak ognia.

Tak więc młody Hertz po namyśle odrzucił wersję, według której Jacob porzucił rodzinę. Pozostawały jeszcze inne hipotezy, nie do końca sprecyzowane w jego głowie: że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, w wyniku którego jadący do Berlina Dulke wypadł z pociągu – albo że doszło do bójki, być może na tle rabunkowym, a wówczas Dulke nie wypadł, lecz został z wagonu wypchnięty.

Rzecz w tym, że te przypuszczenia pozostawały – i musiały pozostać – niesprawdzone. Bo niby jak miał dowieść prawdziwości takiego podejrzania? Jak odtworzyć bieg wydarzeń? Przejść całą trasę wzdłuż torów do Berlina, penetrując chaszczę po obu stronach nasypu? To było nie do wykonania, szczególnie jeśli się wzięło pod uwagę, że Rudi prowadził własne amatorskie śledztwo, bez udziału policji, gdyż ta lokalna nie była zainteresowana rozwiązaniem zagadki.

Dlatego jedynym, co mógł robić Hertz, było prowadzenie rozmów z ludźmi podróżującymi pociągami. Zarówno z pasażerami, jak i z pracownikami kolei. Może teraz, gdy liście opadły, a gołe gałęzie krzewów i drzew odsłoniły widok w głąb zarośli, ktoś dostrzeże jakiś strzępek ubrania, płaszcz, walizkę, but? Co prawda logika podpowiadała mu, że nie ma to większego sensu, bo dywan opadłych liści przykryje ciało, o ile rzeczywiście ono gdzieś tam leży. A jednak Rudi nie tracił nadziei, pytał dalej. W wyobraźni odgrywał sceny, jak to pewnego dnia trafia na właściwy trop, jak mówi o tym Peterowi, jak słyszy żarliwe podziękowania i widzi w jego oczach to wszystko, co bardzo chciał

w nich ujrzeć: podziw, wdzięczność i szczerą, najszczerszą przyjaźń.

Gdyby Rudolf umiał spojrzeć na samego siebie z boku, chłodnym okiem przyjrzeć się własnym reakcjom i przeanalizować je, zrozumiałby, że oto przeżywa pierwszą miłość – dokładnie to uczucie, o którym zawsze marzył, którego pragnął i zazdrościł innym, tyle że nie do dziewczyny, lecz do dawnego przyjaciela. Niestety, nie dane mu było tego pojąć; nie uświadamiał sobie, że kocha, być może dlatego, że wszelka myśl o żywieniu takich sentymentów wobec własnej płci była mu wstrętna. Od lat poddawany praniu mózgu na ideowych zbiórkach Hitlerjugend, nasłuchiwał się wykładów o obrzydliwosti sodomii, o zgnilizni moralnej, rozpadzie rodziny, a pośrednio również upadku narodu... W Rzeszy robiono wszystko, by zozydzić Niemcom homoseksualizm, a tych, którzy ulegali takim sklonnošciom, zamykano w obozach, uznajac ich za element rownie niebezpieczny, co pospolici kryminaliŝci. Dlatego Rudiemu nawet nie przeszło przez mysl, że jego uczucie do Petera moze miec romantyczną naturę. Uznał, że łomotanie serca w piersi, przyspieszony oddech, tęsknota i fantazje o wspólnym spędzaniu czasu to po prostu dowody na to, jak bardzo brakowało mu dotąd przyjaźni i jak tęsknił za przyjacielem po tym, gdy ojciec, ten chory na brak ludzkich uczuć głupiec, pozbawił go radości z chłopięcych zabaw.

Tymczasem jednak wydarzyło się coś, co otworzyło mu oczy i sprawiło, że zrozumiał wszystko. Nawet jeśli wolał nadal żyć w nieświadomości.

*

W ostatnich dniach Peter miotał się, podejmował sprzeczne decyzje, jednym słowem – kompletnie się zagubił. Modlił się niemal całą noc, błagając Boga o to, by zesłał mu radę, aż wreszcie zasnął nad Pismem Świętym – lecz rano, gdy obudził się z odciskiem księgi na policzku i zapuchniętymi powiekami, nie czuł się ani odrobinę mądrzejszy.

Nadal żył w ogromnym napięciu, serce dudniło mu w skroniach, a oddech miał spłycony ze strachu, że nie zdąży, że lada chwila pani Kubein wręczy mu pismo z wezwaniem do wojska, a ponieważ on je zignoruje, kolejnego dnia usłyszy ciężkie kroki i zobaczy w drzwiach ponure twarze żandarmów, którzy przyjdą po niego, zawloką przed komisję poborową i każą służyć w armii. Bał się tego panicznie, lecz nie dlatego, że czekało go więzienie albo obóz, lecz ze względu na Katrin. Wiedział, że ona na niego czeka, że potrzebuje go, liczy na niego. Ponad wszystko pragnął jej nie zawieść.

Gdyby chociaż miał pewność, że ich miłość przetrwa, że będą jak te dzikie gęsi z opowieści węgierskiego kupca – wówczas pogodziłby się z losem i przyjął z godnością wszelkie konsekwencje swojej decyzji. Przecież od dawna wiedział, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić za swoją odmienną. Odczuwał nawet coś w rodzaju dumy na myśl o tym, że się nie ugnie, lecz postąpi

tak, jak go uczono – że okaże się wierny przekonaniom, którym hołdowali jego przodkowie.

Rzecz w tym, że miłość Katrin – najcenniejszy dar, jaki dostał od Boga – zmieniła wszystko. Pragnął okazać się jej godny; stać się mężczyzną, który zadba o swoją żonę, otoczy ją opieką; czuł się za nią odpowiedzialny. W dodatku szczęście było tak blisko! Skoro odebrał już paszport i zrobił wszystko, co mógł, w sprawie poszukiwań pana Dulke, należało po prostu spakować w tobołek kilka najpotrzebniejszych rzeczy i wyruszyć w drogę. A jednak Peter nie potrafił się na to zdobyć. Bo czyż mógł wyjechać, zostawiając na pastwę losu biedną Ewę? Dziewczynę, która przeżyła piekło na ziemi, która była świadkiem śmierci braciszka i ojca, słuchała wycia płonącej żywcem matki, a potem pobiegła boso, w cienkiej koszuli, w listopadową noc? Dziewczynę, która najprawdopodobniej została zgwałcona i porzucona gdzieś na skraju drogi niczym niepotrzebny przedmiot?

Rozwahał pozostawienie jej w domu i naopowiadanie mieszkańcom Leipe jakichś bzdur, na przykład że jest jego niedawno odnalezioną kuzynką albo narzeczoną, tak jak wcześniej sama sugerowała. Poza panem Lehmannem i panią Kubein, która przekazywała chłopakowi listy, niewiele osób wiedziało o Katrin. A nawet jeśli, to przecież młodość bywa płocha i zmienna, Peterowi mogło się serce odmienić i nikomu nic do tego, prawda? Kłopot w tym, że kiedy zapytał Ewę, czy zostałaby sama, czy mogłaby mieszkać w jego domku i pod jego nieobecność opiekować się gospodarstwem, zaczęła się trząść i popłakiwać, a wreszcie niemal wpadła w histerię. Zrozumiał, że ta dziewczyna panicznie się boi – i że samotność jest teraz ostatnim, czego potrzebuje.

A poza tym – z czego by żyła? Jak zdołałaby się utrzymać? Jak długo by trwało, zanim ktoś zainteresowałby się samotną, bezbronną panną? I to wcale nie ktoś dobry, pomocny i szlachetny, ale jeden z tych, którzy mieli mrok w duszy i swastykę w klapie. Jeśli mogli podpalić kamienicę, wytłuc szyby w żydowskim sklepie i skatować jego właściciela, to czy zawahają się przed skrzywdzeniem samotnej kobiety, której semickie rysy były aż nadto wyraźne?

Lecz z drugiej strony – czyż nie miał zobowiązań wobec Katrin? Zwłaszcza teraz, gdy jej ojciec zaginął, a matka zachorowała? Jej także należała się pomoc i opieka, a Peter przysięgał przed Bogiem, że póki żyje, będzie jej strzegł i wesprze ją w każdym kłopotcie.

Wreszcie któregoś ranka, robiąc to, co zwykle, gdy miał jakiś problem – otwierając na chybił trafił Pismo Święte, natknął się na zdanie wypowiedziane przez Jezusa, a zapisane w Ewangelii Świętego Łukasza: „Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie”. Odczytał je na głos kilka razy. Znał je dobrze, kierował się ową zasadą na co dzień, a jednak teraz przyszło mu do głowy, że oto recepta na ten konkretny problem.

Odwróćmy sytuację, myślał, idąc do pracy. Gdyby to Katrin potrzebowała pomocy, gdyby została skrzywdzona i osierocona... Czego chciałbym dla niej? Czego oczekiwałbym od dobrych ludzi, którzy by się nią zaopiekowali? Czy tego, że nakarmią i odzieją, a potem zostawią samą sobie, samotną i przerażoną? Na Boga, nie! Oczekiwałbym, że ich dobroć sięgnie dalej. Że wyrzekną się choć częściowo własnych wygod, by zapewnić jej bezpieczeństwo, że oddadzą jej kawałek własnego życia, nawet gdyby było to dla nich trudne, gdyby wymagało poświęcenia własnego bezpieczeństwa i komfortu...

– Nie! – zawołał półgłosem, bo przyszło mu do głowy, że miałby zrezygnować z wyjazdu do Katrin. – Nie aż tak! Wybacz mi, Boże, ale na taką ofiarę nie jestem gotów! Zniosę wiele, mogę być głodny, zmęczony, mogę cierpieć fizycznie, wytrzymam to wszystko, lecz nie jestem w stanie wyrzec się jedynej istoty, którą kocham i która kocha mnie!

Tego dnia w pracy był wyjątkowo milczący i zamyślony. Analizował w duszy wszystkie możliwe rozwiązania, a wieczorem już wiedział, co powinien zrobić. Kładł się spać ze spokojem w sercu i po raz pierwszy od dawna ze szczerą radością odmówił modlitwę dziękczynną.

Następnego ranka w karczmie niby od niechcienia wypytywał gości o znajomych Żydów. Co się z nimi stało, dokąd wyjechali, czy ktokolwiek został? Zrazu nikt nie chciał z nim rozmawiać, a jeśli już, to odpowiadano szeptem, półsłówkami, z wyraźną nieufnością. Wreszcie jednak Peter dowiedział się czegoś, co stanowiło dla niego punkt zaczepienia: że podobno pod Cottbus istniał jakiś ośrodek, w którym przebywali młodzi Żydzi. Czy nie zostali przepędzeni albo skrzywdzeni podczas nocy pogromu, tego przyjezdny nie wiedział, lecz w każdym razie informacja ta umożliwiła Peterowi dalsze poszukiwania.

W najbliższą sobotę wybrał się do Cottbus i tam zasięgnął języka. Chodził po sklepikach, zaglądał do kantorów, zakładów szewskich oraz krawieckich i cierpliwie wypytywał. Oczywiście początkowo spotykał się z niechęcią, wręcz wrogością, najwyraźniej jednak dobro i szczerść w jego spojrzeniu potrafiły zdziałać cuda, bo pod wieczór już wiedział to, czego potrzebował, aby pomóc swojej podopiecznej.

– Okazuje się, że hachszara[4] ma trzy ośrodki szkoleniowe w powiecie Sorau: gospodarstwo Eichow koło Cottbus, a także dwór Schniebinchen i młyn Jessen – wyjaśnił Ewie po powrocie.

– Tak, słyszałam o takich obozach. Ale żeby zostać wybranym do szkolenia, trzeba być członkiem jednej z organizacji syjonistycznych, a ja nie jestem – odparła. – Nigdy nie interesował mnie syjonizm, nie czuję się nawet Żydówką. Moje pochodzenie nie ma tu nic do rzeczy, jestem po prostu Niemką!

– Rozumiem, Ewo. Ale i ty musisz pojąć, że w obecnej sytuacji trzeba zdecydować się na mniejsze zło. Nie możesz zostać tu sama, ja z kolei nie mogę zostać z tobą, ponieważ lada dzień zechcą mnie wcielić do wojska, a w takiej sytuacji jako odszczepieniec trafię do obozu albo więzienia. Pomyśl, to jest dla ciebie szansa: nie będziesz sama i zamieszkaż wśród ludzi, którzy znaleźli się w podobnym położeniu!

Niestety całej sprawy nie dało się przeprowadzić od ręki, wymagało to czasu. Ewa nie miała przy sobie żadnych dokumentów, co zresztą wydawało się oczywiste, zważywszy na okoliczności, w jakich opuszczała dom. Poza tym ów dom już nie istniał, a wszelkie ślady dawnej tożsamości spłonęły wraz z nim. Mogli więc wymyślić jej nowe imię i nazwisko, nową narodowość.

Peter wiedział, że wystarczy mieć trochę pieniędzy i znać adres, pod który należy się udać, by załatwić fałszywe papiery; nasłuchiwał się o tym niejednokrotnie w karczmie. Był jednak pewien, że nie jest to bezpieczne i że – gdyby przypadkiem rzecz się wydała – Ewie groziłyby poważne konsekwencje.

Ostatecznie wybrał się do dworu w Schniebinchen. Przywitano go tam nieufnie, lecz wcale się temu nie dziwił – jako Aryjczyk nie mógł budzić sympatii ludzi, których tacy jak on okrutnie

krzywdzili. Na szczęście w końcu udało mu się porozmawiać z kierownictwem ośrodka i uzyskać kilka przydatnych i zachęcających informacji, które w domu przekazał Ewie.

– Wielu mieszkających tam młodych ludzi pochodzi z dużych miast. Są podobni do ciebie, rozumiesz? Tak jak ty uciekają przed represjami. W tym pięknym miejscu, na łonie natury, mogą poczuć się bezpiecznie. Wprawdzie niektórzy nie garną się szczególnie do ścisłej codziennej rutyny pracy...

– Dziwisz się? – chlipnęła dziewczyna, która obawiała się czekających ją zmian. – Pamiętaj, że i ja nigdy nie pracowałam. Nie o to chodzi, że byłam leniwa, po prostu nie musiałam. Uczyłam się, grałam na fortepianie, chodziłam na kurs tańca... To były moje obowiązki.

– Och, ciężka praca nie jest taka zła, kiedy do niej przywykniesz. Wierz mi, że dla mnie nieraz okazywała się zbawieniem. W najgorszych chwilach chroniła mnie przed smutkiem... – Peter urwał, uznając, że to nie czas na opowieści o samotnym dzieciństwie. – Teraz uważaj: po zakończeniu szkolenia otrzymasz certyfikat. Jest to warunek konieczny do złożenia wniosku o paszport w Sorau. Nie wiem, jak to z tobą będzie, skoro nie posiadasz dokumentów, ale kazali mi się tym nie kłopotać i absolutnie nie wyrabiać fałszywych papierów. Ponadto będziesz musiała uzyskać zaświadczenie o braku sprzeciwu od urzędu skarbowego i jeszcze jakieś zezwolenie, pogubiłem się w tym. W każdym razie dopiero po spełnieniu tych warunków będziesz mogła się ubiegać o brytyjski certyfikat na wyjazd do Palestyny.

Ewa zapłakała. Wcale nie chciała opuszczać Niemiec. Tu była jej ojczyzna. Lękała się wyjazdu, obawiała się tych wszystkich ludzi, z którymi nie czuła żadnej więzi. Rozumiała jednak, że nie ma

wyjścia. Jej świat – ten, który dotąd znała, w którym czuła się bezpiecznie – spłonął, skończył się, obrócił w proch.

Przez kolejne dwa dni trwały przygotowania. Peter wybrał się na zakupy, bo nie mógł przecież wysłać dziewczyny do obozu w starych ubraniach dziadka. Wreszcie – zaopatrzoną w płaszcz, solidne buty i dwie sukienki, a także tekturową walizkę, do której schowała kilka książek, koc, koszulę nocną, włóczkę oraz druty, by móc sobie wydzierać sweter i ciepłe skarpety – zaprowadził ją leśnymi duktami do wsi, w której znajdował się obóz hachszary. Ewa przez całą drogę milczała, a Peter próbował sobie tłumaczyć, że to, co robi, jest słuszne, ponieważ w ten sposób pomaga dziewczynie. I tylko nic nie mógł poradzić na to, że czuł się jak ktoś, kto stawia własne dobro ponad cudze, a potem odpycha od siebie wyrzuty sumienia tłumaczeniem: „Przecież musiałem”.

Pożegnali się krótko, bez słów. Peter zobaczył wówczas w jej oczach to wszystko, co chciała mu powiedzieć, nie tylko podziękowania, ale też wyznanie głęboko skrywanych uczuć. Była tam także niema prośba, by zabrał ją ze sobą, lecz nie mógł jej spełnić, więc tylko uścisnął to kruche ciało, które w ostatnich dniach stało mu się bliskie, jakby byli rodziną, ucałował wychudłe policzki – i odszedł.

Dwa dni później wybrał się do Sommerfeld, chciał bowiem pożegnać się z ciotką Lottą i Marlene.

– Muszę wyjechać za granicę – wyjaśnił. – Jedyne w ten sposób uniknę poboru do wojska. Poprosiłem pana Lehmana, żeby zaopiekował się domem. Może i ty zechcesz czasem zajrzeć, ciociu? A za jakiś czas Marlene, gdyby wyszła za mąż i chciała mieć własne gospodarstwo, może się tam wprowadzić...

– No dobrze, ale kiedy ty wrócisz?

Rozłożył ręce.

– Nie mam pojęcia. Rozejrzę się za jakimś lokum i pracą, a gdy tylko coś znajdę, natychmiast do was napiszę. Może osiedlę się gdzieś blisko granicy, pod Posen? Moglibyście mnie kiedyś odwiedzić.

Uspokojona ciotka Lotta pokiwała głową. Peter uściskał ją serdecznie, potem pożegnał się z kuzynką, po męsku skinął głową wujowi i podał mu dłoń. Był gotów do podróży, a serce wyśpiewywało mu w piersi hymny dziękczynne. Nareszcie miał się zobaczyć z Katrin! Chwała niech będzie Najwyższemu!

[4] Hachsara – termin używany na określenie programu szkoleniowego przygotowującego Żydów do zasiedlenia Palestyny i życia w kibucach.

*

Rudolf dopił do dna drugi kufel piwa i skinął na dziewczynę, która ścierała okruchy z sąsiedniego stołu. Przepęłniały go gorycz, złość i rozczarowanie. Nie, było znacznie gorzej: czuł się zdradzony.

W ciągu minionych kilkunastu dni trzykrotnie spotkał Petera i za każdym razem zapraszał go na sobotnie popołudnie. Przyjaciel nie odmówił, choć aby być sprawiedliwym, nie obiecał także, że przyjdzie. Po prostu kiwał głową, jakby nieuważnie, w zamyśleniu. Teraz Rudi zrozumiał, że Peter prawdopodobnie wcale go nie słuchał, wtedy jednak wziął to skinięcie za dobrą monetę.

Spędziwszy samotnie kolejny sobotni wieczór, przez całą niedzielę Hertz bił się z myślami. Wydawało mu się – a może tylko sobie wmawiał? – że nic przyjaźni między nim a Kesslerem zawiązała się na nowo. Że udało im się odrobić stracony czas. Wprawdzie Peter po pracy rzadko bywał w miasteczku, lecz nie było w tym nic nienaturalnego, zważywszy, jak krótkie stały się teraz dni. Ale przecież myślał o Rudim, na pewno!

A jeśli nie myślał? Jeśli odnowił znajomość wyłącznie dlatego, że potrzebował informacji o Jacobie Dulke i jego ewentualnym aresztowaniu? Ta myśl, że mógł zostać niecznie wykorzystany, doprowadzała Rudolfa do szału. W końcu postanowił wybrać się

do Leipe. Wiedział, że się narzuca, bo Peter nigdy nie zapraszał go do siebie, a jednak nie potrafił się powstrzymać. Wmawiał sobie, że Kesslerowi coś mogło się stać. To był tylko pretekst, lecz zupełnie wystarczający, by móc usprawiedliwić niezapowiedzianą wizytę w małym domku na skraju wsi.

Wybrał się we wtorek. Wcześniej niż zwykle wymknął się z pracy, podjechał omnibusem do Pforten, a dalej ruszył na piechotę. Dopiero znalazłszy się w Leipe, pomyślał, że przecież Kessler może o tej porze być w pracy. Było wczesne popołudnie, karczma przyjmowała gości, a Peter święcił dzień wolny od pracy w soboty. Rudi uśmiechnął się na myśl o tym, że będzie mógł obserwować przyjaciela, jak krząta się między stołami, zagaduje klientów, może też od czasu do czasu przysiądzie się do niego, dolewając mu piwa. A potem zrobi się późno i wówczas zaproponuje staremu kumpłowi, aby u niego przenocował.

Niestety, Petera w karczmie nie było, a zagadnięta o niego dziewczyna w błękitnym fartuszkuz oznajmiła, że Kessler już tu nie pracuje. Zwolnił się. Co to właściwie znaczy, że się zwolnił? – pomyślał Rudi, ocierając piwną pianę z górnej wargi. Zamówił jeszcze jeden kufel, bo nagle zapragnął się upić i nabrać odwagi, by całą sprawę jakoś po męsku rozegrać, choć sam nie wiedział jak – i właściwie jaką sprawę. Miał niejasne pretensje do Petera, jakby tamten nie powinien podejmować takich decyzji bez jego wiedzy. Uczucie to było kompletnie nieracjonalne, ale Rudi zdał sobie sprawę, że ostatnio w jego życiu wiele jest takich rzeczy.

Po trzecim piwie, jak można się było spodziewać, poczuł się znacznie odważniejszy. Nie był przyzwyczajony do alkoholu, pijał raczej niewiele i okazjonalnie, toteż teraz upił się ilością, która większość mężczyzn raczej zagnałaby do wychodka, niż pozbawiła zdrowego rozsądku. Wyszedł chwiejnie z karczmy, stanął pod

wielkim dębem o nagich konarach pokrytych mchem, buńczucznie się rozkraczył, po czym oddał mocz, obserwując, jak znad oszronionej trawy unosi się para. Potem zapiął rozporek i rozkołysanym krokiem ruszył w stronę domu Kesslera.

Tyle razy obserwował to obejście z ukrycia. Śledził Petera wiosną i przez całe lato, wiedział, gdzie jest szopa i drewnutnia, gdzie zamykane są na noc kury, gdzie przyjaciel wylewa wodę z miednicy i wyrzuca resztki kuchenne oraz ogrodowe. Spodziewał się, że zastanie go przy jakiejś pracy: rąbaniu drewna albo porządkowaniu zapasów w szopie. A może będzie w kurniku?

Zapukał, lecz nikt mu nie odpowiedział. Rudi wiedział, że Kessler nie zamyka drzwi na klucz. Uchylił je i zajrzał ostrożnie do sieni, jednak wewnątrz panował mrok. Chłopak stał jeszcze przez chwilę, nasłuchując, ale ze środka nie dobiegł go najcichszy nawet szmer. Wycofał się więc i zajrzał do szopy, następnie do kurnika i za drewniany wychodek. Petera nigdzie nie było. Hertz postanowił obejść dom i zajrzeć przez okna od strony starego sadu, tak jak robił wiele razy przedtem. Niestety, nic nie zobaczył; we wnętrzu nie świeciła się żadna żarówka.

Wobec tego wrócił na podwórko, otrzepał spodnie z rzepów i paprochów, po czym śmiało nacisnął klamkę.

– Dzień dobry! – zawołał na wszelki wypadek, wchodząc do środka.

Odpowiedziała mu jedynie głucha cisza. Rudolf zajrzał po kolei do wszystkich pomieszczeń, nawet do niemal nigdy nieużywanego pokoju, który – jak się domyślał – musiał kiedyś należeć do dziadka Kesslera. Wszędzie panował wręcz sterylny porządek, jakby nikt tu nie mieszkał. Tylko na stole kuchennym Rudi znalazł kawałek chleba zawinięty w ściereczkę, obok zaś słoik

z napoczętymi powidłami, na którego wieczku leżał ubrudzony nóż.

Rudi nie mógł się powstrzymać – sięgnął po niego i oblizał z lubością. Słodycz rozlała się po języku, sprawiając mu przyjemność nie tylko samym smakiem smażonych śliwek, ale też wspomnieniem przetworów przygotowywanych niegdyś przez matkę.

Zajrzał do kredensu i przez chwilę z niespodziewanym dla siebie wzruszeniem przyglądał się detalom: pękniętej desce do krojenia chleba oraz nożowi ostrzonemu tyle razy, że bardziej przypominał szpikulec. Emaliowanemu kubkowi z obtłuczonym uszkiem, który z zewnątrz był czerwony, a w środku biały. Metalowej kance na mleko. Patrzył na to wszystko i wręcz boleśnie tęsknił za życiem rodzinnym, pełnym ciepła i bezpieczeństwa – takim, jakiego w rzeczywistości nigdy nie miał. Tutaj, choć wszystko było biedne i stare, dosłownie czuło się miłość. A może to Rudi ją czuł?

Przeszedł do pokoju, w którym – jak doskonale wiedział – sypiał jego przyjaciel. Na łóżku, schludnie pościelonym i nakrytym wzorzystą kapą, leżał starannie związany tobołek, obok zaś – zapisana kartka i koperta zaadresowana do Katrin Dulke. Rudolf sięgnął po nią z ciekawością, na wszelki wypadek jeszcze raz rozglądając się uważnie i nasłuchując. Był sam, z całą pewnością. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien czytać, lecz nie potrafił się powstrzymać. Serce tłukło mu się w piersi jak spłoszony ptak, gdy przebiegał wzrokiem po kolejnych liniijkach tekstu, zapisanego nieco koślawym, niewprawnym pismem.

Ukochana!

Nareszcie nadszedł ten dzień, na który tak czekałem: jadę do Ciebie! To moja ostatnia noc w domu, jutro pójdę do Sommerfeld,

żeby wsiąść w pociąg do Berlina. Jak już Ci pisałem, paszport mam od pewnego czasu, ale było coś, co mnie zatrzymywało – opowiem wszystko ze szczegółami, gdy wreszcie się spotkamy! Teraz sprawa jest już załatwiona, tyle że niestety pociągnęła za sobą pewne koszty, których się nie spodziewałem, w związku z czym nie wystarczy mi pieniędzy na całą podróż, jedynie do Berlina.

Nie obawiaj się jednak, na pewno z Bożą pomocą znajdę tam jakąś dorywczą pracę i zarobię na bilet do Danzig. Dlatego właśnie piszę ten list – żebyś się nie martwiła. To potrwa może tydzień, może dwa, ale na pewno się uda.

Kiedy będę na dworcu w Berlinie, rozejrzę się także za Twoim ojcem. Popytam, zajrzę w każdy kąt. Może ktoś coś wie.

Pożegnałem się już z Marlene oraz ciotką, odwiedziłem groby bliskich, podziękowałem panu Lehmannowi i poprosiłem go o opiekę nad domem. Spotkałem nawet Annę. Przypomniałem jej Twój adres i poprosiłem, aby pisała, bo przyszło mi do głowy, że miło Ci będzie od czasu do czasu przeczytać wieści z rodzinnych stron. Jestem gotów do wyjazdu, nikt i nic mnie już tu nie trzyma. Nie mogę powiedzieć, że wyjeżdżam bez sentymentów, bo przecież to jest cały świat, jaki dotąd znałem. A jednak patrzę w przyszłość i staram się nie oglądać za

W tym miejscu tekst się urywał; piszącemu skończyło się miejsce na kartce. Zapewne poszedł do kogoś, by pożyczyć papier, pomyślał Rudolf. Zaraz wróci, dokończy, włoży list do koperty, a rano wyśle go w Sommerfeld; przecież idąc na stację, mija się urząd pocztowy.

A zatem wyjeżdża. Pożegnał się z kuzynką i ciotką, a o przyjacielu nie pomyślał. „Nikt i nic mnie tu nie trzyma” – tak

napisał. Nic. Nie dba o znajomość z Rudolfem, nie zależy mu na ich relacji i w sumie nic dziwnego, skoro nie okazała się przydatna! Rudi był tylko narzędziem, środkiem do osiągnięcia celu – a skoro się nie przydał, to idzie w odstawkę! Zatem Peter nigdy nie darzył go prawdziwą przyjaźnią. Fałszem było to wszystko, co sobie Rudi roił, co wypełniało mu serce w ostatnich tygodniach i sprawiało, że budził się rano z uśmiechem na ustach, że zasypiał rozmarzony, mając pod powiekami ciepłe spojrzenie szarych oczu i te niesforne, brązowe kędziory...

Stop! – powiedział sobie teraz. Stop. Nie możesz o nim w ten sposób myśleć. Nie możesz zachowywać się tak, jakbyś go... kochał.

To był właśnie ów moment, w którym Rudolf Hertz uświadomił sobie z całą jaskrawością, co naprawdę czuje. Z jego piersi wyrwał się głos niepodobny do ludzkiego, przypominający raczej skowyt zranionego zwierzęcia. Rzucił kartkę na łóżko i wybiegł z domu Kesslera, nie oglądając się za siebie, jakby go diabeł gonił. Pędził leśną drogą, przełykając łzy, aż zmęczył się tak, że zrobiło mu się niedobrze, w czym niewątpliwy udział miały także trzy kufle piwa, które wypił w karczmie.

Potem usiadł pod pochyloną brzozą, na wilgotnej poduszce z mchu, i zapłakał z żalu za tym, co okazało się nieprawdziwe, niemożliwe; za piękną przyjaźnią, niewinną i szczerą, która mogłaby połączyć go z Peterem, gdyby nie ta Dulke albo gdyby Peter był taki jak on, gdyby wzniósł się ponad te wszystkie obrzydliwe sprawy damsko-męskie...

W ślad za żalem przyszła gorycz, a z nią, jako jej nieodłączny towarzysz, pojawił się gniew. Kiedy Rudi podniósł się wreszcie i otrzepał siedzenie, jego policzki nie były już mokre od łez, zaś

usta wykrzywił grymas, który nie świadczył o smutku, lecz o żądzy odwetu.

– Nic cię tu nie trzyma? – mruknął. – Nie potrzebujesz starego przyjaciela? Dobrze więc. Zobaczymy, czy nie będziesz go potrzebował także w miejscu, gdzie zamykają takich jak ty.

*

Marlene nie mogła uwierzyć własnym oczom: to naprawdę był Rudi. Zataczający się, ewidentnie pijany w sztok, w powalonym wymiocinami ubraniu, budzący wstręt i politowanie.

– Przynosi hańbę swojej rodzinie – warknęła Ute Meyer i ostentacyjnie odwróciła głowę.

– On już nie ma rodziny – ośmieliła się zauważyć Anna, która wraz z Marlene i Ute wracała z kolejnego wykładu na temat programu Lebensborn.

Ute zerknęła na nią z ukosa, a wówczas Anna, jak to miała w zwyczaju, skurczyła się i skuliła ramiona, jakby chciała zniknąć.

– Coś musiało się stać – stwierdziła Marlene, obejrzawszy się ponownie, by nabrać pewności. – To do niego niepodobne.

Było ciemno, zmrok zapadał teraz tak wcześnie... Mogły się pomylić. Ale cóż, nie ulegało wątpliwości: to był on, obiekt jej westchnień, zwykle taki elegancki, czysty, zadbany. I właśnie ten zadbany Rudolf chwilę temu wytoczył się przed gospodę Schillera, z trudem przeszedł parę metrów, a teraz, rozkraczony szeroko tuż pod latarnią, chwiał się, próbując złapać równowagę.

– I ktoś taki pisze dla lokalnej gazety?! – prychnęła Ute z pogardą. – Doprawdy nie potrzebujemy dziennikarzy o tak słabym charakterze. Mam nadzieję, że jego przełożony się o tym

dowie. Przecież pisząc artykuły, ma niejako wpływ na opinie i poglądy czytelników!

– Och, mężczyznom się to zdarza! – Marlene próbowała bronić chłopaka. – Zresztą Rudiemu chyba po raz pierwszy w życiu...

Ale Ute nie chciała dłużej słuchać o Rudolfie, nie był dla niej interesujący. Przerwała Marlene i poczęła rozprawiać o programie zwiększenia diety, który właśnie przedstawiono im na spotkaniu. Jako fanatyczna nazistka była gotowa użyć swojego ciała, by urodzić dzielnych żołnierzy, którzy zasilą armię Wielkiej Rzeszy.

– A jeśli będziesz rodzić same dziewczynki? Albo jeśli twoje dzieci będą chore? – zapytała sceptycznie kuzynka Petera. – Tak się przytrafiło mojej mamie. Miałam dwie siostry, lecz obie umarły w pierwszych miesiącach życia.

– Widać fizycznie nie nadawała się na matkę – skwitowała Ute, po czym zamilkła na chwilę, przypomniawszy sobie, że jej własna mama zmarła, rodząc kolejne dziecko. – Albo popełniła ten sam błąd, co my. Zaufała jakiemuś Żydowi podającym się za lekarza.

Marlene nie odpowiedziała. Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, jakiej narodowości był lekarz zajmujący się w tamtych latach jej rodziną. Miała wówczas kilka lat. Nikt wtedy nie dbał o rasę czy pochodzenie.

– A poza tym jeśli dzieci urodzą się chore, można się ich pozbyć – dodała jeszcze Ute. – Są przecież sierocińce.

Anna drgnęła, jakby ją ktoś uderzył. Cóż, jedno jest pewne, pomyślała Marlene, spoglądając z ukosa na koleżanki. Przyjaźni z tego nie będzie. Tej okropnej nazistce nie zaufałam nawet wtedy, gdybyśmy zostały tylko my dwie na całym świecie. Poza tym jak może być tak niedelikatna? Marlene wprawdzie nie

przepadała za Anną, lecz mówienie w jej obecności o pozbywaniu się chorych dzieci...? To już była przesada.

Dwa dni później Marlene natknęła się na Rudolfa przed wejściem do księgarni. Wyglądał jak zwykle nienagannie, był czysty i pachniał wodą kolońską, jednak jego twarz wydała jej się zmieniona – była opuchnięta, jakby przepłakał całą noc albo znowu pił.

Ku jej zdumieniu, zamiast jak zwykle ukłonić się i pójść dalej, Hertz zbliżył się do niej i chwycił ją za rękaw.

– Masz jakieś wiadomości o Peterze? – zapytał zduszonym szeptem.

Marlene oniemiała. O ile wiedziała, ci dwaj się nie lubili, a nawet panowała między nimi wrogość. W każdym razie ze strony Rudolfa, bo Peter w nikim nie widział wroga – lecz z pewnością traktował Hertza bardzo chłodno.

– Zniknął – mówił dalej Rudi, dziwnie rozgorączkowany. – Poszedłem się z nim rozmówić. Nie ma go.

Uśmiechnęła się z ulgą. Nie rozumiała wprawdzie, co oznacza owo „rozmówić się”, ale przyszło jej do głowy, że mogło chodzić o pobór do wojska.

– Nie zniknął, tylko wyjechał – odparła lekko. – Od dawna to planował. Nie wiem, czy wiesz, że mężczyźni jego wyznania odmawiają służby wojskowej. W jego wypadku wyjazd za granicę jest jedynym...

– Ale nie! On nie wyjechał! – zawołał Rudi. – Nie rozumiesz! Na łóżku został tobołek, a na stole leży zaadresowany list! Przecież gdyby wyjechał, wysłałby go, no i zabrałby rzeczy!

Marlene zaniemówiła. O czym on, do licha, opowiada?!

– Peter wyjechał – powtórzyła z uporem. – Był u nas, chciał się pożegnać. Kilka dni temu. Obiecał, że wkrótce napisze. Powiedział, że jak wyjdę za mąż i zechcę się usamodzielnąć, to mogę zamieszkać w jego domu. Klucze ma pan Lehmann. Peter nigdy nie zamykał obejścia, ale mówił, że tym razem chyba lepiej będzie...

– Tak, wiem. Wiem, że nie zamykał. I wiem, że zamierzał wyjechać. Ale nie wyjechał. Byłem tam wczoraj w nadziei, że jeszcze go zastanę i rozmówię się z nim, ale... Zajrzałem przez okno. Ten tobołek wciąż leży... I list. Gdyby wyjechał, zabrałby przecież...

Rudolfowi zadrżał głos, a w chwilę potem już trzęsła mu się broda. Marlene ze zdumieniem spostrzegła, że chłopak z trudem powstrzymuje płacz. Przeraziła się, bo choć nadal nic nie rozumiała, to jednak cała ta sytuacja – opowieść Rudiego i jego rozpacz – wydała jej się niezwykle niepokojąca.

– Chodź – powiedziała i teraz to ona pociągnęła go za rękaw. – Napijemy się czegoś i porozmawiamy. Wszystko mi opowiesz, dobrze? – dodała łagodnie.

A ponieważ skinął głową i dał się prowadzić jak dziecko, zaciągnęła go do kawiarni przy Bahnhofstrasse, gdzie zamówiła dwie porcje tortu Sachera i gorącą czekoladę.

– Widziałam cię we wtorek przed gospodą – rzuciła, powiesiwszy płaszcz na wieszaku i wróciwszy do stolika. – Wprawdzie z trudem uwierzyłam, że to ty, ale...

Urwała, czekając na jakąś reakcję z jego strony. Popatrzył na nią wzrokiem tak udręczonym, że niemal natychmiast pożałowała swoich słów. Po co w ogóle wywołała ten temat?!

– Nie pamiętam, co się wtedy działo – odpowiedział po chwili, wlepiając wzrok w leżącą na stoliku serwetę. – Upiłem się. Nie

wiem, co wyprawiałem. Pierwszy raz w życiu byłem pijany tak, że w mojej głowie... W mojej głowie jest czarna dziura. Rozumiesz? Nie miałem nawet pojęcia, że to możliwe: tak zupełnie nic nie pamiętać. Wiem tyle, że byłem wzburzony, więc poszedłem do szynku... Wcześniej wypilem trzy piwa, ale potem już... tylko wódkę.

Marlene zrobiło się żal tego mężczyzny, który zachowywał się jak chłopiec; jakby niechcący skrzywdził kociaka i teraz pragnął cofnąć czas.

– Ale co to ma wspólnego z Peterem? – zapytała. – Nie wszystko rozumiem. I jaki list, jaki tobołek? Po co tam wczoraj poszedłeś?

Rudolf westchnął ciężko, a potem wreszcie na nią spojrzał. Zadrżała. Chyba wołała już, kiedy wpatrywał się w serwetę. W jego oczach ujrzała wiele różnych emocji: udrękę, przerażenie, wstyd i jakąś bolesną determinację.

– Obawiam się – rzekł – że to długa i skomplikowana historia. W każdym razie jest wysoce prawdopodobne, że na niego doniosłem. Nie wiem komu, nie pytaj mnie. Już ci mówiłem: nic nie pamiętam. Ale miałem do niego żal i być może... Nie wykluczam, że mogłem pójść do kogoś z Sipo^[5] i nagadać jakichś głupot. Sama wiesz, że wystarczy byle drobiazg, żeby człowieka zamknęli. Krytyka Führera, lekceważące wypowiedanie się o partii, brak flagi ze swastyką albo niewykonanie salutu... Za wszystko można teraz aresztować. Nie patrz tak na mnie, nie wiem, czy to zrobiłem! Nie mam pojęcia!

[5] Sipo – Policja Bezpieczeństwa

*

Katrin nie zdołała już ukryć swego stanu przed babcią – zresztą od początku niespecjalnie się o to starała. Teraz, w połowie grudnia, brzuch jej się zaokrąglił i sterczał, jakby miała pod sukienką małą piłkę.

– Opowiedz mi o tym kawalerze, Kasiu – zażądała staruszka któregoś dnia, gdy razem obierały ziemniaki, a z oczu Katrin płynęły ciche łzy. – I nie płacz. Nie robię ci przecież wyrzutów. Twoja mama także się pospieszyła, nie czekała z tym do ślubu. Pewnie ci nie powiedziała, co? Nic dziwnego. Nie była z tego dumna.

Nie, nie powiedziała, pomyślała Katrin, a potem rozplakała się jeszcze rzewniej, bo po raz kolejny uświadomiła sobie, o ilu rzeczach nie zdążyła porozmawiać z mamą.

– Ma na imię Peter – zaczęła, kiedy już zdołała się uspokoić. – Jest Niemcem, ale nie nazistą. I właściwie... Właściwie nie jest już kawalerem.

– Głośniej! – upomniał się dziadek z drugiego pokoju, gdzie leżał z ciepłym kompresem na kolanach. – Ja też chcę słyszeć!

– Dajże spokój, stary zbereźniku! – zażartowała babcia Cila. – Zachciewa ci się słuchać o igraszkach w łóżku!

– Nie o igraszkach, tylko o kawalerze. O nim miała mówić.

Katrin, czerwona jak burak, spuściła głowę.

– Babciu – szepnęła błagalnie. – Proszę cię... Jakie igraszki? My tylko chcieliśmy się pożegnać...

– Tak, tak, oczywiście. Tylko się przytulałaś, ale wiatr powiał pod spódnicę i bęc! No dobrze, przecież ja nie o to pytałam i dziadkowi też nie o to idzie. My już za starzy jesteśmy, żeby nas ciekawiły te sprawy.

– Mów za siebie, Cilu! – huknął dziadek.

Jeszcze przez chwilę trwały ich przekomarzania, aż Katrin w końcu przestała się wstydzić i dziadkom nawet udało się doprowadzić ją do śmiechu. Szybko jednak ucichła, niemal natychmiast odczuwszy, jak niestosowna jest taka beztroska w domu pogrążonym w żałobie.

– No więc Peter jest pacyfistą, jak dziadek i jak tatko. Tylko u niego ma to związek z wyznaniem.

I popłynęła opowieść: o ich pierwszym spotkaniu w wesołym miasteczku, o tym, jak widywali się na rozstaju dróg w każdą sobotę, jak Katrin zakochiwała się w nim z każdym tygodniem coraz bardziej, jak bardzo Peter różnił się od innych chłopców – bo był staroświecko wrażliwy i skromny – jak przedziwnie łączy się w nim nieśmiałość z otwarciem na ludzi, jaki jest niedzisiejszy z tą swoją religią, która nakazuje mu dziękować za wszystko, nie brać broni do ręki, naiwnie wierzyć w dobro, a odpowiedzi na wszelkie pytania szukać w Piśmie Świętym.

– Jesteś taka podobna do Ulki – westchnęła babcia, wysłuchawszy historii wnuczki. – Tak samo zakochana, jak ona była w twoim wieku.

– I tak samo w ciąży – mruknął dziadek pod kołdrą, ale i tak obie go usłyszały.

No właśnie, była już prawie w połowie ciąży – i po początkowym przerażeniu, które ogarniało ją na myśl o tym, że przecież to nie jest właściwy czas, bo czeka ich podróż, być może długa tułaczka, że trzeba będzie znaleźć bezpieczne miejsce dla siebie i tego maleństwa, aby mogło dorastać bez strachu – teraz czuła już głównie cichą radość. Wyobrażała sobie, jakim tatą i mężem będzie Peter, jak odpowiedzialnie się nią zaopiekuje (miał przecież w sobie całe pokłady troski, dobroci i czułości); jak nauczy ich dziecko wszystkiego, co sam potrafi – tak jak jego kiedyś uczył dziadek.

Niemal nieustannie trzymała teraz rękę na brzuchu, choć ruchy dziecka czuła jedynie gdzieś głęboko, w środku, i nie dało się ich jeszcze wyczuć pod palcami. Lecz ciepło i krągłość tego domu, który jej ciało stworzyło dla rosnącej w niej istotki, dodawały Katrin otuchy. Odnosiła także wrażenie, że maleństwo musi czerpać siłę do tego, by rosnąć, z ciepła jej dłoni. Jakby poprzez dotyk budowała tarczę, która ochroni to nowe życie przed nieprzyjaznym światem.

Bo niestety – ten był coraz bardziej nieprzyjazny. Cały Gdańsk tonął już w swastykach, podobnie jak Sopot, który Katrin uwielbiała jako dziecko. Jeździła tam wówczas z dziadkiem na kąpielisko. Teraz jednak nie miała najmniejszej ochoty na wizytę w tym miejscu. Nadburmistrz Erich Temp i podlegli mu urzędnicy nie ustawali w prześladowaniach Żydów i Polaków. Katrin z przerażeniem przeczytała w gazecie o spaleniu sopockiej synagogi i wycięciu symbolicznego dębu, który upamiętniał kongres użytkowników języka esperanto. Z miasta musiały zniknąć stragany kupców żydowskich, a adwokatom zabroniono prowadzenia działalności. Towarzystwo Ludowe „Lutnia”, które organizowało w Sopocie występy artystyczne w Domu Polskim,

musiało niemal całkowicie zamknąć jego podwoje, bo urząd nie wydawał zgody na organizację większości zaplanowanych wydarzeń kulturalnych. Z relacji dziadka dziewczyna wiedziała, że podobne problemy miały również inne organizacje krzewiące kulturę polską, jak na przykład Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” i Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej.

Jeszcze silniej tę wrogość wobec Żydów i Polaków czuło się w Wolnym Mieście Gdańsku. Nie było to już dobre miejsce do życia dla takich jak Katrin, co do tego nie było wątpliwości. Gdyby tylko nie czekała na dwóch mężczyzn swojego życia: Petera i tatę, już dawno by stąd wyjechała. Mogła za namową babci Cili poprosić o schronienie w kaszubskiej wsi, gdzie wciąż mieszkała spora część ich rodziny. Mogła też spróbować szczęścia w samej Gdyni, tak jak napisała ukochanemu w jednym z listów. Rejs do Ameryki stał się niemożliwy, głównie ze względów finansowych. Katrin nie miała upoważnienia, by wypłacić pieniądze ulokowane na koncie bankowym po sprzedaży domu, a ponieważ Jacob zaginął, nikt jej takiego pełnomocnictwa podpisać nie mógł. Nie mogła również otrzymać spadku po ojcu, skoro nie było pewne, że Dulke nie żyje. Jednym słowem – Katrin stała się biedna, a dziadkowie nie byli w stanie jej pomóc.

Najgorsze było jednak czekanie. Początkowo na tatę albo wieści o nim, a teraz także na Petera. Mijał tydzień za tygodniem, a on nie przyjeżdżał, nie przychodziły także listy. W ostatnim, jaki od niego dostała, datowanym na listopad, Peter obiecywał rychły przyjazd. Napisał wówczas: „Mam do załatwienia jeszcze tylko jedną sprawę, ostatnią”. Jaka to była sprawa, tego Katrin nie wiedziała, lecz domyślała się, że może chodzić o sprzedaż domu. Tamten list kończył się prośbą, aby nie traciła wiary; starała się

więc czekać z ufnością i nadzieją, lecz przychodziło jej to z coraz większą trudnością.

Aż wreszcie któregoś grudniowego dnia dostarczono list – tyle że nie na jej nazwisko, a zaadresowany do Petera, skreślony niewątpliwie kobiecą ręką. Katrin zdawała sobie sprawę, że nie powinna czytać cudzej korespondencji, jednak wiedzona niepokojem, naradziwszy się z dziadkami, otworzyła kopertę.

Drogi Peterze!

Na wstępie chcę Cię bardzo serdecznie pozdrowić i zapewnić o mojej dozgonnej wdzięczności! Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłeś, i choć wiesz, że nie jestem religijna, będę się za Ciebie modlić do wszystkich bogów tego świata, aby mieli Cię w swojej opiece.

Jest mi teraz dobrze i bezpiecznie. Dowiedziałam się, że dwór, w którym mieszkamy, dawniej należał do niejakiego Ottona Käsbacha, który miał tu zakład chemiczny i produkował tonik Okasa z żółdzi (podobno doskonały na „męskie kłopoty”, tak żartują chłopcy). Ale potem rozwiódł się i wyjechał, a jego była żona wynajęła ten dwór żydowskiej organizacji młodzieżowej.

Same budynki są już nieco zniszczone, mury popękane i porośnięte mchem, lecz oboje wiemy, że zdarzało mi się nocować w gorszych miejscach. Codziennie od rana do jedenastej pracujemy w ogrodzie, zaś po południu uczymy się hebrajskiego, historii i literatury żydowskiej oraz nauk przyrodniczych. Są także zajęcia sportowe, a my, dziewczęta, edukujemy się również z prac domowych, gotowania, pieczenia i szycia. Robimy nawet na drutach, więc włóczka, którą mi podarowałeś, bardzo się przydała. Mogłabym wydziergać ciepły sweter dla Ciebie, ale obawiam się, że już nigdy więcej się nie zobaczymy.

Pomieszczenia są ogrzewane, co w porównaniu z Twoją szopą stanowi nie lada luksus. Mamy tu światło elektryczne, a nawet bieżącą wodę i prysznice! Śpimy w dużych dormitoriach (oczywiście osobno dziewczęta i osobno chłopcy) na łóżkach polowych. Najgorsze jest poranne wstawanie, bo budzą nas już przed szóstą, a teraz, zimą, wydaje się, że to środek nocy. Ale wcześnie chodzimy spać, bo i co mielibyśmy robić wieczorami?

W okolicy mamy park i lasy, tuż obok jest cegielnia, a w samym Schniebinchen – karczma i kolej. Dwadzieścia minut spacerem przez las znajduje się drugi obóz, podobny do naszego, w Jessen. Podobnie jak my, mają tam wielkie ogrody. Są też cztery krowy! Dobrze, że u nas ich nie ma, bo nie umiałabym się z nimi obchodzić. Ale skoro jesteśmy przy zwierzętach – mamy papugę Laure, która codziennie wita nas słowami „Heil Hitler Shalom”.

Nie jestem tu tak samotna, jak się obawiałam. Zaprzyjaźniłam się z jedną przemiłą dziewczyną z Danzig. Nazywa się Jutta Baumwol. Lubię, gdy opowiada mi o rodzinnym mieście i wspomina swoją rodzinę. Zamykam wtedy oczy i wyobrażam sobie Ciebie, jak chodzisz opisywanymi przez nią uliczkami. Może nawet natkniesz się gdzieś na jej brata Itzaka albo siostry, Rebeke lub Sarę? W ten nieoczywisty sposób nasze ścieżki na chwilę zetkną się ponownie, choć nie będziemy o tym wiedzieli.

Nigdy Cię nie zapomnę, Peterze. Obyś był bezpieczny i oby spotkało Cię w życiu wszystko, co najlepsze. Niech Bóg, w którego tak pięknie wierzysz, czuwa zawsze nad Tobą i Twoją Katrin. Mam nadzieję, że ona zdaje sobie sprawę, jaką jest szczęściarą.

Na zawsze oddana

Ewa

PS Wysyłam ten list pod adres, na który pisałeś do swojej dziewczyny, bo zapewne w Leipe już by Cię nie zastał.

Było w tym liście coś niepokojącego; coś, czego Katrin nie potrafiła nazwać. Ostatnie zdanie sprawiło, że chciała natychmiast się spakować, pojechać do Schniebinchen i wydrapać oczy tej całej Ewie, kimkolwiek była. Babcia Cila uspokoiła jednak złe emocje swej wnuczki, tłumacząc, że po pierwsze, to niedobrze dla dziecka, gdy matka odczuwa gniew, a po drugie – przecież w ten sposób Ewa wyraziła zwyczajną wdzięczność.

– Widocznie Peter uratował tę dziewczynę przed pogromem – mruknął dziadek, który także kilka razy przeczytał list. – Musiał ją ukryć w szopie. Dzielny chłopak.

Usłyszawszy to, Katrin poczuła satysfakcję, jakby to ona sama przyszła z pomocą Żydówce w potrzebie. Była dumna z Petera, choć zarazem nie potrafiła odpędzić zazdrości, która kąsała jej serce. Dlaczego nie napisał jej ani słowa o Ewie? I dlaczego wciąż nie przyjeżdżał? Dopisek pod listem dowodził, że miał zamiar rychło wyruszyć i zapewne właśnie znalezienie bezpiecznego miejsca dla Ewy było ową „ostatnią sprawą do załatwienia”. Co go zatem zatrzymało?

Okropny strach zaczął teraz toczyć serce biednej Katrin. To przecież niemożliwe, aby los był tak okrutny! Zabrał jej ojca, potem matkę, a teraz także ukochanego? Pozwolił jej posmakować szczęścia, jakie się nie zdarza, największej, najpiękniejszej bliskości – by brutalnie ją odebrać?

Nie, zabroniła sobie nawet tak myśleć. Dlatego co wieczór, aby nie dać się ponieść rozpacz, deklamowała cytaty z Pisma Świętego, który Peter przytoczył w jednym ze swych listów. „Miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma”.

– Przetrzyma – zapewniała szeptem, obejmując dłońmi swój okrągły brzuch. – Przetrzyma, kochanie, zobaczysz.

*

Anna zacisnęła powieki i usta, starając się nie jęknąć. Wiedziała doskonale, że takie odgłosy podniecają Helmuta jeszcze bardziej. Podczas ich pierwszych stosunków za każdym razem wyrывała się i płakała, a wówczas on kładł rękę na jej szyi i zaciskał, podduszając ją, zaś ruchy jego bioder stawały się szybsze i bardziej brutalne.

Nauczyła się więc znosić w milczeniu to wszystko, co jej robił. Czasem gwałcił, czasem – gdy miała miesięczkę – kazał jej brać do ust swego penisa i ssać, aż wytryśnie... A niekiedy tylko ją szczypał i bawił się jej drobnymi piersiami, kpiąc z nich i szydząc, że nikt inny by jej nie tknął nawet kijem, bo jest za chuda.

– Powinnaś być mi wdzięczna – dyszał jej teraz do ucha, boleśnie przygryzając jego płatek zębami. – Dzięki mnie poznałaś smak męczyzny. Rozkoszuj się tym, póki możesz.

Rant stołu boleśnie wciskał się w jej podbrzusze, a widelczyk do ciasta odciskał się na policzku, bo Helmut oparł ją o stół i brał od tyłu. Na obrusie, tuż obok jej twarzy, leżało kilka drobinek kruszonki z ciasta. Ciekawe, czy łatwo jest zabić, pomyślała. Gdybym chwyciła ten widelczyk i wbiła Helmutowi w oczodół, starając się wcisnąć aż do mózgu? Czy to by wystarczyło, żeby umarł?

Wiedziała, że się o tym nie przekona. Była zbyt słaba, zbyt wątła i zbyt tchórzliwa. Za nic nie trafiłaby w to znienawidzone oko, a nawet gdyby jakimś cudem ręka jej nie zadrżała, nie starczyłoby jej sił, by wbić sztuciec do końca. I zapewne ta góra mięsa zdołałaby się obronić.

Co byłoby potem? Potem Helmut by ją skatował, a na koniec zrobił to, czym straszył ją od samego początku i dzięki czemu trzymał ją w garści: doniósłby na jej ojca. Całe miesiące cierpienia, oddawanie się w milczeniu tej obrzydliwej nazistowskiej świni, sprzedawanie ciała za walutę, jaką był święty spokój – wszystko to poszłoby na marne.

Helmut Stiemann zwrócił na nią uwagę po którymś z ataków epilepsji. Dopiero później się zorientowała, że podniecała go jej chudość i bladość, być może dlatego, że sam był tłusty i rumiany niczym wieprz. Początkowo sądziła, że kieruje nim współczucie, zwłaszcza że przecież podał jej chustkę, by otarła ślinę z ust, a potem wziął na rękę i wyniósł z przedsionka kościoła – bo tam właśnie dostała drgawek.

Było to ponad rok temu. Od tamtej pory stopniowo zbliżał się do niej, udając przyjaciela. Był doskonałym aktorem: potrafił przekonać Annę, że martwi się o jej stan zdrowia, a przy tym wyciągnąć z niej wszelkie informacje o działalności ojca, który aktywnie działał w „Domowinie” aż do jej zamknięcia, pisał do czasopisma „Serbskie Nowiny” i wierzył w panslawizm.

Wreszcie pewnego dnia Helmut odsłonił swoje prawdziwe oblicze. Gdy wieczorem wracali z kina, brutalnie zgwałcił Annę, a zanim zapłakana pobiegła do domu, chwycił ją za szyję, zacisnął palce na jej grdyce, tak jak najbardziej lubił, i wyszeptał:

– Tylko spróbuj komuś pisać, a brunatne koszule natychmiast dowiedzą się o twoim tatuśku.

Więc nie pisała nikomu. Krwawiła wtedy długo, lecz matka niczego nie podejrzewała – sądziła, że to po prostu wyjątkowo bolesna miesiączka.

Jakiś czas potem Helmut sam wstąpił do brunatnych koszul i wtedy dla Anny zaczął się najgorszy czas. Teraz już bała się nie tylko donosu na ojca, ale i o własne życie: Stieman trzymał ją w garści, co jakiś czas przypominając, co z takimi jak ona robią naziści.

– Jesteś epileptyczką – szeptał jej z lubością, napawając się przerażeniem dziewczyny. – Mówi ci to coś? Epilepsja, paskudne choróbko, które czyni z ciebie niepełnowartościową kobietę, bo przecież takie jak ty nie powinny się rozmnażać.

Anna wiedziała, że to prawda. Choć nikt nie mówił o tym wprost, było tajemnicą poliszynela, że nieuleczalnie chorzy są sterylizowani. Tym właśnie straszył ją Helmut. To była jego karta przetargowa w zamian za jej uległość i milczenie.

– Musimy korzystać, póki jeszcze możemy – mruczał lubieżnie, uprawiając z nią seks. – Bo potem to diabli wiedzą, czy będziesz się do czegokolwiek nadawała. Jak oni to robią, swoją drogą? Coś tam w środku wycinają czy raczej zaszywają? Wyobraź sobie tylko: biedna Anna z zaszytą cipką. To by dopiero było nieszczęście.

Z biegiem czasu seks przestał mu wystarczać. Zaczął żądać, aby przynosiła mu jakieś „świeżynki” – tak to nazywał.

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – mówił władcym tonem. – Coś przydatnego o twoich koleżaneczkach. Na pewno masz coś na

tę Katrin albo Marlene... A może jakiś pikantny szczegółik o Rudim Hertzcu?

Anna nie знаła „pikantnych szczegółików”. Starła się powtarzać Helmutowi rzeczy nieszkodliwe, w rodzaju tych, że Katrin ma polską matkę, a jej ojciec działał w związkach zawodowych, albo że kuzyn Marlene jest pacyfistą i nie zapisał się do Hitlerjugend. Lecz to tylko rozwścieczało Stiemana. Bił ją potem i gwałcił jeszcze zapalczywiej, grożąc, że jego cierpliwość w końcu się wyczerpie.

– Może to już pora pociągnąć za sznurki! – powarkiwiał. – Przydadz mi się wreszcie na coś, udowodnij, że jesteś coś warta!

Któregoś dnia przekazała mu więc informacje o Jacobie Dulke. Wiedziała, że sprzedał dom i że wybiera się do Danzig pociągiem. Natknęła się na niego na poczcie, gdzie kupował pocztówki z napisem „Gruß aus Sommerfeld”.

– Wezmę je ze sobą. Przyszło mi do głowy, że Katrin i moja żona ucieszą się z takiej pamiątki – powiedział Dulke, uśmiechając się smutno. – Spójrz, mam zamek i rynek, domek szwajcarski, nawet panoramę z Büttelturm. Kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek tu wrócimy.

– To już pan wyjeżdża? – zapytała wtedy Anna.

Katrin była jedyną dziewczyną w szkole, która okazywała jej bezinteresowną sympatię, a jej rodzice zawsze byli dla Anny uprzejmi. W tym pytaniu nie czaiły się ukryte zamiary, w każdym razie dziewczyna sama wołała w to wierzyć.

– Tak, jadę jutro przed południem. Dziś śpię „Pod Trzema Lipami”. Jakie to dziwne, nocować w hotelu w rodzinnym mieście. No, ale w moim domu mieszka nowa rodzina. Wszystko sprzedane, żona i córka czekają już na mnie w Danzig, zaraz do nich dołączę i razem ruszymy w świat... – Zaśmiał się nerwowo. –

Powiem Katrin, żeby do ciebie napisała. I ty do niej pisz, koniecznie! Grenadiergasse 63. Zapamiętaj!

– Obiecuję. – Anna dygnęła grzecznie. – Proszę jej przekazać pozdrowienia.

Więc tamtego dnia, gdy Stieman zacisnął tłuste paluchy na jej szyi, zadarł spódnicę, by dobrać się do majtek, i zażądał jakichś informacji, wyszeptała:

– Jutro rano Jacob Dulke wyjeżdża do Danzig. Sprzedał dom. Pewnie zamierzają uciec za granicę.

Helmut poluzował chwyt, mogła więc przełknąć swobodniej i uspokoić oddech. Opowiedziała mu o spotkaniu na poczcie. Zainteresowało go to, chyba aż nadto.

– Sprzedał dom i wyjeżdża? A pieniądze? Ma je ze sobą?

– Nie sądzę. Przecież nie woziliby ze sobą fortuny. Pewnie umieścił je w banku.

– Kto wie, kto wie, maleńka. I mówisz, że chce uciec za granicę? To ci kundel zasrany.

Anna nigdy nie zapytała, co Stieman zrobił z tą informacją. Nie chciała wiedzieć. To on sam pochwalił się któregoś dnia, że wykorzystał ją, jak należało. Odpoczywał wtedy po seksie, paląc papierosa i szczypiąc jej sutki, i nagle zaczął mówić:

– Wynajmę dla nas mieszkanie. Nie będziemy już musieli czekać, aż moja matka wyjedzie do krewnych, żeby móc to robić w łóżku. Będę cię miał, ilekroć zechcę.

Anna zadrżała, słysząc tę przerażającą zapowiedź, ale udała zainteresowanie.

– Jak to: wynajmiesz mieszkanie? Dostałeś awans? Podnieśli ci pensję?

– Nie, skądże! – Zaśmiał się i zaciągnął głęboko. – Ale jeśli ma się głowę na karku, są inne sposoby na zdobycie pieniędzy.

Pamiętasz tę historię z Jacobem Dulke? Zaczekałem wtedy na niego pod hotelem i zaproponowałem, że jeśli da mi odpowiednią sumkę, zostawimy jego polską żonę i skundloną córeczkę w spokoju. Trochę się rzucał, nie chciał wierzyć, nawet obrażał mnie i moją mamusię.

Anna milczała, struchlała.

– Ostatecznie spokorniał, kiedy podałem mu adres. Jak to było? Grenadiergasse 63? No i widzisz. Następnego dnia wcale nie pojechał do Danzig, tylko poszedł do banku i wypłacił, ile zażądałem. Wyznaczyłem spotkanie na Schlossberg, żeby nie było świadków. Szkoda, że tego nie widziałaś! Wcisnął mi te banknoty, a trząśł się przy tym jak przy febrze, żebym tylko brał, żebym nie skrzywdził tych jego śmierdzących Polek. – Helmut skrzywił się z obrzydzeniem. – Jak się trafia taki głupiec jak on, to grzechem byłoby nie skorzystać z okazji. Tak czy inaczej, mam pieniądze, i to niemało. Wystarczy na jakiś przyjemny pokój z szerokim łóżkiem.

Znów zarechotał, a Anna wzdrygnęła się na myśl o tym, że stanie się jego seksualną niewolnicą.

– Nie boisz się, że Dulke... pójdzie na policję? – zapytała, próbując pod pozorem naiwności przemycić myśl, która dawała jej nadzieję: że mimo wszystko nikt nie jest bezkarny, nawet fanatyczni naziści w brunatnych koszulach.

– On już nigdzie nie pójdzie. – Stieman powiedział to tonem, który miał ją uspokoić. – Teraz mu szumią brzoźki. Ale o nic więcej nie pytaj. Czasem im mniej się wie, tym lepiej. Do tej pory nie tknąłem tej forszy, bo chciałem, żeby najpierw sprawa ucichła. Wiesz, ktoś mógłby pokoiarzyć fakty. Ale teraz już wszystko przyschło.

Wtedy pierwszy raz Anna poczuła, że naprawdę jest gotowa go zabić i ponieść wszystkie konsekwencje tego czynu. Jeśli dotąd tego nie zrobiła, to jedynie dlatego, że nie potrafiła. Nie miała pojęcia, jak się zabija człowieka.

A teraz, z tym widelcem pod policzkiem – był drugi raz. Mieli już to wynajęte mieszkanie, łóżko było szerokie, a mimo to Helmut brał ją na stole. Ale nie dlatego była gotowa wbić mu sztuciec w oko. Powodem było to, co powiedział, zanim się do niej dobrał.

– Dziś jest dobry dzień. W końcu pozbyłem się Kesslera.

A ponieważ zmartwiała, słysząc te słowa, wyjaśnił, biorąc jej reakcję za szczere zainteresowanie:

– Ciągle węszył wokół sprawy tego Dulke. Nie mogłem pozwolić, żeby natknął się na jakieś ślady. Ale to była łatwizna. Wystarczyło zawiadomić Gestapo, że kolega Kessler ma jakieś zastrzeżenia co do rządów Führera. Podobno kpi sobie ze stopnia wojskowego naszego Wodza i kwestionuje zasadność obowiązkowego poboru do wojska. No i ciach, po krzyku. Peter nie będzie się już nikomu plątał pod nogami. Z tego, co wiem, można mu teraz wysłać paczki do obozu.

Minęły jeszcze trzy dni, zanim Anna podjęła decyzję. Trzy dni wypełnione nieznośnym dygotem i trzy noce bez snu ani odpoczynku. Dziewczyna czuła, jak nienawiść, którą nosiła w sercu od dawna, pęcznieje w niej i rośnie niczym wrzód. Wreszcie, gdy wstał czwarty poranek, miała już plan. Nie była pewna, czy jest dobry, czy się uda, wiedziała jednak, że musi spróbować.

– Chcę zostać do rana – powiedziała tego popołudnia, stawiając na stole butelkę wódki i krakersy. – Chcę, żebyś mnie pieprzył.

Zamierzam się upić i raz w życiu zapomnieć, że jestem chora.

Oczywiście tylko markowała picie. Moczyła usta w alkoholu i wstrząsała się, udając, że trunk jest dla niej za mocny, natomiast wciąż dolewała Helmutowi i odwracała jego uwagę, opowiadając mu, jak ją podnieca, jak jej imponuje, jaki jest męski. Chyba nigdy dotąd nikt nie mówił mu nic miłego, ona także – na ogół milczała z cierpięciznym wyrazem twarzy. Z tego wszystkiego zupełnie zapomniał o seksie. Wystarczającej rozkoszy dostarczyły mu te wszystkie wygadywane przez Annę słodkie bzdury, w które uwierzył, bo bardzo pragnął, by były prawdą.

Wreszcie w butelce pojawiło się dno, a Helmut zaczął bełkotać.

– Chcę do łóżka – zamruczała Anna, zdejmując sukienkę. – Chodź tu do mnie.

Wiedziała, że jeśli on zwali się pod stół, jej plan może się nie powieść. Nigdy nie zdołałaby podnieść tej góry tłuszczu i ułożyć na wznak. Na szczęście Stiemann w końcu uległ namowom, dźwignął się z krzesła i podszedł do łóżka.

– Odwróć się, mój ogierze – zażądała, kiedy runął na brzuch. – Będę cię dosiadać jak konia.

Posłusznie zrobił to, czego zażądała, i rozpiął rozporek.

– No dalej – wybełkotał. – Bierz się za niego, dopóki stoi.

– Zaczekaj, tylko skorzystam z toalety. Zaraz do ciebie wracam.

Uciekła do łazienki, a potem siedziała nago na muszli, dygocząc, choć bardziej chyba z nerwów niż z zimna. Kiedy uznała, że minęło dość czasu, by Helmut zasnął, na palcach wróciła do pokoju i zgasła górne światło, zostawiając włączony jedynie kinkiet. Wyciągnęła z torebki przyniesione z domu dwie chustki ze sztucznego jedwabiu. Wiedziała, że sznurek byłby lepszy, ale nie znalazła wystarczająco mocnego. Używając całej swej wątłej siły, przywiązała ręce pochrapującego Helmuta do ramy łóżka.

Nie obudził się, tylko mruknął coś przez sen. Jego zwiotczały penis spoczywał niczym nieopierzone pisklę w gnieździe rozporka.

Anna patrzyła przez chwilę na Stiemana, jakby oceniała własne dzieło. W rzeczywistości jednak zbierała siły przed tym, co miało nastąpić już za moment. Wiedziała, że najlepiej celować w serce, lecz obawiała się, że może nie trafić albo że będzie to wymagało dużej siły. Przecież serce jest ukryte pod klatką z żeber.

Więc nie, lepiej gardło. Może będzie więcej krwi, na pewno dłużej się umiera, ale to chyba jedyne, z czym da sobie radę. Niemożliwie trzęsącymi się rękami wydobyla z torebki ostatnią rzecz, jaką przyniosła z domu: najostrzejszy nóż, którego matka używała tylko do porcjowania świni. Weszła na łóżko, usiadła okrakiem na ciele swego prześladowcy, a potem długim, płynnym ruchem, jakby przeciągała smyczkiem po strunach płaczliwych skrzypiec, podcięła mu gardło.

*

Droga Katrin!

Dostałam Twój adres od pana Kushnera; podobno Anna miała go w swoim notesiku. Jej rodzice poprosili, abym zawiadomiła Cię o całej sprawie, bo sami nie czują się na siłach o tym pisać.

Wyobraź sobie, że Anna prawdopodobnie zamordowała Helmuta Stiemana. Miała z nim romans – czy możesz to sobie wyobrazić?! Nigdy bym się tego nie spodziewała po naszej skromnej Annie! Cicha woda brzegi rwie! Nikt nie wiedział, zupełnie nikt! Znaleziono go martwego w wynajętym mieszkaniu przy Burgstrasse. Miał poderżnięte gardło i – uważaj – odciętego... Wiesz co... Wepchnęła mu go do ust. Dasz wiarę?

Całe miasto żyje tą zbrodnią. Podobno motywem była zazdrość, ale o kogo – tego nikt nie wie. Co do mnie, trudno mi uwierzyć, że Annie miałyby zależeć na człowieku takim jak Stieman, ale żaden inny powód nie przychodzi mi do głowy.

Skąd pewność, że to ona? Cóż, właściwie tej pewności nie ma, ale ręce ofiary były przywiązane do ramy łóżka szalami, które należały do pani Kushner. A że Anna zniknęła i od tamtej pory nikt jej nie widział, więc sama rozumiesz, dlaczego policja uznała ją za winną tego morderstwa.

Pan Kushner poprosił – ale niech to zostanie między nami – żebym Cię zapytała, czy nie wiesz, gdzie może ukrywać się jego

córka. Powiedział, że byłaś jej najbliższą przyjaciółką i że gdyby miała się do kogoś zwrócić z prośbą o pomoc, to tylko do Ciebie.

Zdaje się, że ten człowiek nie rozumie powagi sytuacji. Zachowuje się tak, jakby największym problemem było to, że Anna zniknęła – a nie, że kogoś zabiła. Mój tata twierdzi, że to cecha Wendów, są po prostu zdegenerowani. A przecież Kushnerowie wydawali się całkiem przyzwoici. Jak to jednak można się rozczarować co do ludzi, prawda?

Całe miasteczko jest w głębokim szoku. Takie rzeczy się u nas nie zdarzały. Rudi jako dziennikarz napisał nawet artykuł do „Sommerfelder Tageblatt”... Oczywiście pominął niektóre drastyczne szczegóły, ale i tak wszyscy o wszystkim wiedzą. Sąsiadka po kilku dniach zawiadomiła policję, bo strasznie śmierdziało, no a gdy policjant wyważył drzwi, ona weszła za nim do środka. Więc o utrzymaniu tajemnicy nie było oczywiście mowy, bo to okropna plotkara.

Swoją drogą, Rudi już nie pracuje w gazecie, ponieważ postanowił wstąpić do SS. Kto by się spodziewał? Nie mam pojęcia, skąd mu się wziął ten pomysł! Przecież zwierzał Ci się kiedyś, że marzy o lotnictwie. Widocznie nie traktował Cię poważnie i tak sobie tylko bajdurzył...

W każdym razie obiecał mi, że jak już będzie esesmanem, to postara się dowiedzieć, co z Peterem. Ach, bo zapomniałam Ci wspomnieć, że Petera podobno aresztowali i trafił do obozu. Ale to nic pewnego, tak naprawdę słyszałam tylko pogłoski.

Pozdrawiam Cię serdecznie. Ciekawa jestem, co u Ciebie. Czy wszyscy zdrowi? Czy Twój tata już się wreszcie odnalazł? Napisz do mnie, proszę! Nudzę się straszliwie, a z tą straszną Ute Meyer nie jest nawet w połowie tak zabawnie jak z Tobą!

Twoja przyjaciółka Marlene

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

OD AUTORKI

Historia Katrin i Petera zaczęła nieśmiało kiełkować w mojej głowie pewnego zimowego dnia podczas pandemii, kiedy wybrałam się na spacer po okolicy. Właśnie wtedy w samym środku lasu natknęłam się na pozostałości po jakimś ceglanym budynku. Nieco dalej, na rozstaju dróg, znalazłam przewrócony kamień z zatartym przez czas napisem w języku niemieckim: *1914–1918 Zum Gedächtnis unserer fürs Vaterland gefallenen Helden. Die Gemainde Leipe.*

A zatem w tym miejscu znajdowała się maleńka, zagubiona wśród lasów wieś Leipe. Jej mieszkańcy wystawili skromny pomnik tym, którzy zginęli w wielkiej wojnie, jak wówczas nazywano I wojnę światową.

„Ku pamięci naszych bohaterów, którzy polegli za ojczyznę”. Takie słowa muszą budzić refleksje. Po pierwsze – o tym, że każdy naród ma swoich bohaterów, a to, co jedna strona określa mianem bohaterstwa, często bywa oceniane jako bestialstwo przez drugą. Jako wnuczka zamordowanych na Wołyniu Polaków wiem o tym doskonale.

Po drugie – o zawikłanych ludzkich losach. O losach tych wszystkich, którzy rodzili się w tym miejscu, żyli, kochali i umierali. O ich niespełnionych nadziejach, marzeniach, radościach i cierpieniach. Kim byli? Jacy byli? Dokąd odeszli?

Podczas tamtego spaceru nie odkryłam już wiele ponad to – tylko ostatki starego sadu z wykoślawionymi od starości drzewkami owocowymi. Ale po powrocie do domu zaczęłam szukać informacji o tym zapomnianym miejscu, które dzika przyroda dawno temu wzięła w posiadanie. I tak, żmudnie szperając w internecie, odkryłam strzępki historii wsi Leipe. Karczma Ottona Lehmana istniała naprawdę, podobnie jak punkt pocztowy u państwa Kubeinów. Piece chlebowe naprawdę były budowane po jednej, domy zaś po drugiej stronie drogi. Wioska rzeczywiście była zelektryfikowana, lecz nie miała kanalizacji.

Od takich poszukiwań się zaczęło. Stąd był już tylko krok do narodzin historii o chłopaku mieszkającym na skraju wsi i o płowowłosej Katrin, której biały domek znajdował się w położonym niedaleko Sommerfeld. Jeśli pójdziecie brukowaną drogą (a bruk jest jeszcze poniemiecki) od Nabłota w stronę Tuplic, to po prawej stronie naprawdę zobaczycie pagórek porośnięty jasną grzywą traw. Właśnie o tym miejscu wspomina Peter.

Sommerfeld to dzisiejsze Lubsko – miasteczko, w którym mieszkam od trzydziestu lat, choć wciąż nie czuję się tu u siebie. Jest w tym jakaś magia, że człowiek przez całe życie tęskni do „kraju lat dziecinnych” – dokładnie w ten sposób, jak pisał o tym Mickiewicz w *Epilogu*. Dla mnie takim „rajem utraconym” jest podszczeciński Goleniów; dla moich nieżyjących już wujów i ciotek z Kuligowskich, Bzdyrów i Gadowskich takim miejscem był Wołyń – „święty i czysty jak pierwsze kochanie”.

Potrafię jednak wyobrazić sobie tych, którzy w podobny sposób tęsknili za Leipe i Sommerfeld. Niemieccy wypędzeni. Ci, których domy zajmowały polskie rodziny po wyzwoleniu. Ci, których

wyszczerbione pojemniki na cukier, ryż i sól wyrzuciłam do śmieci, których starą Biblię znalazłam na strychu.

Czy byli nazistami? Zapewne niektórzy tak, zagorzałymi fanatykami, pełnymi wiary w Hitlera. Inni – z pewnością nie. Nie sztuką jest uogólniać, poprzestawać na łatwych podziałach. Znacznie trudniej dostrzec to, co nieoczywiste.

Według mnie obowiązkiem wszystkich kolejnych pokoleń jest wyciągnąć wnioski z historii. Inaczej jaki sens miałyby śmierć tych, którym poświęcano przydrożne pomniki? A zatem – wyciągnąć wnioski. Zrozumieć, że każda nienawiść prowadzi do nieszczęścia i klęski. Że miłość i zwyczajna ludzka dobroć są zawsze lepsze. Że manipulacja, ograniczanie dostępu do informacji, kłamstwo, odbieranie ludziom praw i wolności, indoktrynacja, brak tolerancji, nacjonalizm, szowinizm, żerowanie na ludzkich kompleksach – to narzędzia zła.

Pisząc tę książkę, sięgałam po owoce pracy wielu innych ludzi. Poza dziesiątkami przeczytanych książek nieocenionym źródłem informacji były dla mnie facebookowe profile „Lubsko dawniej a dziś”, „Brody/Pforten Virtual Museum” oraz „Fundacja Kolejowa Stacja Lubsko/Sommerfeld”. Ponadto korzystałam ze strony internetowej www.niewerle.de – z trudem tłumacząc artykuły, ponieważ nie znam niemieckiego. Tam właśnie znalazłam nie tylko stare fotografie karczmy w Leipe, ale także informacje o obozie hachszary w Schniebinchen (dzisiejsze Świbniki), do którego Peter zaprowadził Ewę. Otto Käsbach rzeczywiście miał tu zakład chemiczny i produkował tonik Okasa z żołądźmi. W obozie tym Ewa faktycznie mogłaby poznać gdańszczankę Juttę Baumwol. Niestety Jutta nie przeżyła wojny,

nie mogłam więc nawet spróbować jej odnaleźć i wypytać o tamte lata.

Wszystkie nazwy ulic, nazwiska sklepikarzy i fabrykantów w Sommerfeld, czyli dzisiejszym Lubsku, są prawdziwe. Za rzeźnią rzeczywiście znajdował się cmentarz żydowski, po którym dziś została jedynie niepozorna tablica obok parkingu przy markecie „Horex”. Naprawdę działało tu towarzystwo łyżwiarskie, funkcjonował prywatny teatr, za Hedwigs Mühle znajdowało się boisko sportowe, w fabryce Cursy produkowano motocykle i rowery, Otto Bratge prowadził piekarnię, Oswald Welz – zakład szewski, Franz Freye miał księgarnię, Elsbeth Dittmann sprzedawała zabawki, Paul Kunisch parasole, zaś Anna Haber – kawę. Prawdziwą postacią jest także pracujący w szpitalu pielęgniarz Siegfried Lohmann.

W pracy nad tą powieścią wspierało mnie wiele osób. Serdecznie dziękuję mojej przyjaciółce Aśce Lewandowskiej za Nielimitowany dostęp do jej bogatej biblioteki. Kłaniam się nisko Marii Paszyńskiej, Magdzie Knedler i Zofii Mąkosie za podpowiedzi i sugestie natury historycznej. Nieocenione okazały się także rozmowy z moim ojczymem, Januszem Zajdzikiem. Pan Tomasz Niemiec z Brodów podzielił się ze mną wiedzą na temat przedwojennego Pforten oraz lokalnej komunikacji publicznej w tamtych czasach – dziękuję serdecznie! Ściskam mocno mojego starszego brata, Bartka Gadowskiego, za to, że zgodził się pełnić rolę beta-czytelnika (oraz – w imieniu Anny – za uratowanie jej życia). Jestem wdzięczna Swenowi Dammowi za konsultacje w tematach niemieckiej obyczajowości, popularnych imion niemieckich oraz za interesującą rozmowę o poczuciu winy, z którym zmagają się współcześni Niemcy.

Dziękuję mojej redaktorce, Malwinie Kozłowskiej, za ciepłe słowa i entuzjastyczną reakcję. Każdy pisarz potrzebuje czasem pochwał na tym wczesnym etapie, zanim usłyszy opinię czytelników.

A nade wszystko – dziękuję Tobie, Krzysiu. Za to, że zabrałeś mnie na ów spacer do Leipe. Za to, że jesteś najlepszym towarzyszem życia, jakiego mogłabym sobie wymarzyć, i że wytrzymałeś ze mną trzydzieści lat. Obiecuj, że wytrwasz jeszcze przynajmniej drugie tyle.



Agnieszka Olejnik, niczym w wielobarwnym gobelinie, snuje i plącze nitki ludzkich losów. Tworzy historię wzlotów i upadków, miłości i zrad, uśmiechów i łez – po prostu życia.

FILIA

SPIS TREŚCI

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

19 KWIETNIA 1939 ROKU

ROK WCZEŚNIEJ

OD AUTORKI

Reklama

Karta redakcyjna

Copyright © by Agnieszka Olejnik, 2022
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN
Zdjęcie na okładce: © Shelley Richmond/Trevillion Images

Redakcja: Malwina Kozłowska
Korekta: Marta Akuszevska, Jarosław Lipski
Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-660-1

FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z.o.o.
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.